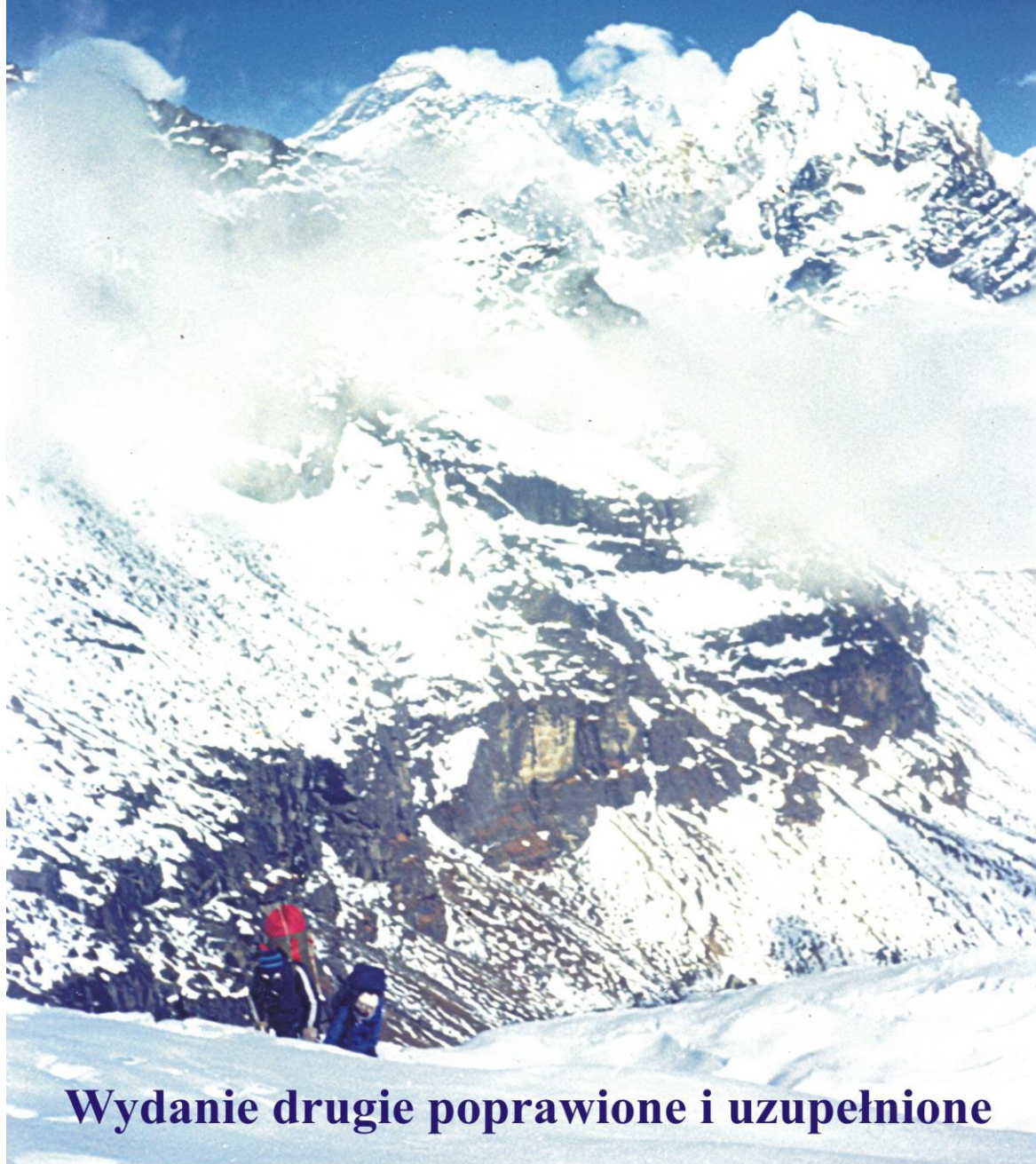


Krzysztof Łoziński

ŚLADY NA ŚNIEGU



Wydanie drugie poprawione i uzupełnione

Część pierwsza – Tatry, Hindukusz



Płynie się zawsze pod prąd, do źródeł.

Z prądem płyną tylko śmieci.

Zbigniew Herbert



W ścianie Kazalnicy na drodze Łapińskiego i Paszuchy.

Krzysztof Łoziński

Ślady na śniegu

Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione, internetowe

Nakładem Studia Opinii

© Krzysztof Łoziński 2002

Projekt okładki Krzysztof Łoziński

Zdjęcie na okładce: z wyprawy na Machermo Kang (fot. Elżbieta Fałtynowicz)

Zdjęcie na str. 2: w ścianie Kazalnicy, na drodze Łapińskiego i Paszuchy (z archiwum autora)

Skład autora

Wydanie I: Wydawnictwo Górskie Poronin 2002 r.

Wydanie internetowe: Niezależny Magazyn Publicystów „Kontrateksty”,
www.kontrateksty.pl 2004 r. (obecnie niedostępne)

Autor dziękuje Małgorzacie Berezowskiej, Irenie Dębowskiej, Elżbiecie Fałtynowicz, Piotrowi Panufnikowi i wszystkim innym osobom, dzięki których życzliwej pomocy mogła powstać ta książka.



Opowiadań zawartych w tej książce nie można traktować jak dokumentu. Autorów przewodników i historyków alpinizmu proszę, by nie uważali ich za źródło do ustalania faktów. Do tych celów służą składane przeze mnie wykazy przejść i sprawozdania z wypraw a nie literackie wspomnienie, w którym ważniejsza jest atmosfera tamtego czasu niż, na przykład, precyzyjne ustalenie dat, miejsc, osób itp.

Skąd taki apel? Stad, że wspinałem się równe 50 lat, zrobiłem setki przejść w różnych górach, od Tatr po Himalaje. Opisuję przejścia tak, jak je pamiętam, ale pamięć bywa zawodna. Nie chcę by ktoś napisał na przykład, że

„Łoziński pisze, że tam była przewieszka, a są dwie”, albo „ta ściana ma nie 400 metrów, lecz 380”. Od tego, ile jest przewieszek i ile co ma metrów są przewodniki, a nie literatura wspomnieniowa. To, że w książce nie opisuję jakiegoś przejścia, lub którejś z wypraw nie znaczy, że ich nie było.

Okoliczności niektórych zdarzeń zostały nieco zmienione, tak, aby osoby w nich występujące pozostały nierozpoznawalne. Dotyczy to zwłaszcza osób, o których musiałem pisać źle. Jeśli nie podaję nazwisk, to znaczy, że podać ich nie chcę i ewentualnych recenzentów proszę o powstrzymanie się od dociekań w tej materii.

Postacie występujące pod pełnym imieniem i nazwiskiem oraz ich czyny są całkowicie prawdziwe, ale akurat te osoby nie mają żadnego powodu, by wstydić się tego, co o nich napisałem.

Kilka osób, które odegrały istotną rolę w moim życiu, nie zostało w książce wymienionych. Nie wspominam wielu istotnych przejść i paru wypraw. Nie znaczy to, że o osobach przemilczanych nie pamiętam. Wszedłem się 50 lat i nie jestem w stanie opisać w jednej książce wszystkich przejść, w jakich brałem udział oraz wszystkich ludzi gór, jakich poznałem. Wybór, którego dokonałem, nie jest wartościujący.

Wydanie obecne jest tylko nieznacznie zmienione w stosunku do wydania pierwszego. Poprawiłem niektóre błędy, uzupełniłem parę informacji. Większość tekstu jest jednak identyczna, jak w pierwszym wydaniu i w wydaniu internetowym (obecnie nie jest dostępne). Istotną różnicą w tym wydaniu są kolorowe zdjęcia, które w wersji drukowanej musiały być czarnobiałe, ze względu na koszty. Niektóre zdjęcia zawsze będą czarnobiałe, bo takie są w oryginale.

W wydaniu obecnym doszedł dodatkowy rozdział, jako uzupełnienie poza głównym tekstem książki. Jest o tym, co robiłem już po opublikowaniu pierwszego wydania.

Droga w góry

Zamiast wstępu - o górach i ludziach

Trudno powiedzieć, kiedy trafiłem w góry. Mam wrażenie, jakbym był w nich zawsze. W dzieciństwie jeździłem z rodzicami w Tatry na narty. Moje najstarsze górskie wspomnienia - to zima w Poroninie. Zjeżdżałem na dziecinnych nartkach, które nazywały się „Miś”, z górki tak małej, że prawie jej nie ma, ale z mojej dziecięcej perspektywy była całkiem spora. Te nartki nawet nie miały wiązań, tylko coś w rodzaju przymocowanego na stałe buta, w który wkładało się nogę w prawdziwym bucie. Nie wiem, ile miałem wówczas lat, ale chyba jeszcze nie chodziłem do szkoły. Pamiętam też widoczne z daleka wielkie ośnieżone góry. Pamiętam, że były dla mnie czymś strasznie tajemniczym i pociągającym.

Na etapie szkoły podstawowej jeździłem z rodzicami na narty w Tatry Zachodnie, głównie do doliny Chochołowskiej. Na narty jeździłem dosyć długo, tak że dorobiłem się nawet dorosłych nart z wiązaniami typu kandahar. Były to jeszcze czasy nart drewnianych i bez wiązań bezpiecznikowych. Buty narciarskie były skórzane i zupełnie miękkie. Kijki były dębowe, a później z bambusa. Narty zarzuciłem, gdy zacząłem intensywnie wspinać się zimą. Ostatni raz byłem na nartach w połowie lat siedemdziesiątych, gdy leczyłem odmrożenia po Hindukuszu i nie mogłem się wspinać.

Pojechałem z kolegami ze studiów na Bukowinę, założyłem swoje narty kandahar, swoje skórzane buty, i wyszedłem na stok. Wszyscy patrzyli na mnie jakoś dziwnie, bo były to już dawno czasy nart metalowych i plastikowych butów. Podjechał nawet do mnie dyżurny goprowiec, starając się odwieść mnie od zamiaru niechybnego połamania nóg i miałem pewne trudności z wytłumaczeniem mu, że ja na tym sprzęcie to parę lat już jeździłem i jakoś żyję w jednej całości. To był mój ostatni kontakt z nartami.

To moje dziecinnie narciarstwo było właściwie turystyką narciarską, a nie narciarstwem zjazdowym. Moi rodzice chodzili w liczniejszym towarzystwie na całe narciarskie „wyrypy”, głównie w Tatrach Zachodnich. Ja byłem jeszcze za mały, by w tych wyprawach uczestniczyć, ale istotne było pewne podejście do gór, które od środowiska rodziców przejąłem. W tej grupie nie było mowy o wyciągach i oślej łączce, za to chodziło się kawał

granią, by na wieczór raz zjechać. Dlatego do dziś nie rozumiem ludzi, którzy mówią, że gdzieś nie można jeździć na nartach, bo tam nie ma wyciągu.



Pod ścianą Jastrzębiej Turni (1966 r.). Fot. Bożena Jesionkiewicz.

Wspinaczkę zacząłem od skałek na Nosalu, Małym Giewoncie i w regłowych dolinkach. Razem z góralskimi chłopakami po prostu łąziłem po skałach i nawet próbowaliśmy stosować coś w rodzaju asekuracji. Mieliśmy kawałek liny, ale kompletnie nic nie umieliśmy. Na tym kawałku starej sizalowej liny nasz sprzęt alpinistyczny się kończył.

Gdy miałem dwanaście lat przeszedłem bardzo ciężką chorobę, jakąś infekcję, do dziś nie wiem, co to w końcu było. Chorowałem bardzo ciężko i długo. Po tej chorobie rodzice stwierdzili, że muszę porządnie wypocząć i pierwszy, a zarazem ostatni, raz w życiu pojechałem z mamą do domu wczasowego. Oczywiście do Zakopanego, bo jakże inaczej. W Zakopanem miałem swoich góralskich kolegów i z tego domu wczasowego, w którym miałem wypoczywać i dochodzić do zdrowia, urywałem się z nimi na skałki. Szybko doszliśmy do wniosku, że skoro możemy chodzić na skałki Nosala, to niewiele dalej jest na Halę Gąsienicową.

Z perspektywy lat muszę stwierdzić, iż to, że przeżyłem ten pierwszy okres wspinania, zakrawa na cud. Wspinaliśmy się wprawdzie po zupełnie łatwych drogach, ale spaść można i tam, zwłaszcza, jak się praktycznie nic nie umie. Za cały sprzęt alpinistyczny mieliśmy połówkę sizalowej zjazdówki. Ani jednego haka lub karabinka. W dodatku żaden z nas nie umiał asekurować. Kontaktów z dorosłymi taternikami unikaliśmy, bo baliśmy się, że nas, dzieciaki, pogonią do domu.

Jednym z moich pierwszych partnerów był kolega w moim wieku o przezwisku Grotołaz i dosyć dziwnej osobowości. Właśnie z Grotołazem zaliczyłem swój pierwszy poważny lot, który mógł bardzo źle się skończyć. Wspinaliśmy się na skałkach na Nosalu, nie wiedząc zupełnie, czy i jakie są tam drogi. Wspinałem się z dolną asekuracją a raczej z dolnym brakiem asekuracji, bo stanowisko było bez żadnego haka i polegało na tym, że Grotołaz siedział na kamieniu w połowie ściany, do niczego nieprzyaucony[1] i trzymał linę w ręku. Nie wiem dlaczego, ale poleciałem. Na szczęście lina przechodziła przez kant skały i prawdopodobnie na tym kancie powstało tak duże tarcie, że partner nie mający stanowiska i nie umiejący asekurować jednak mnie utrzymał. No i nie bez znaczenia pewnie było to, że jako dwunastoletni dzieciak bardzo mało ważyłem.



Ćwiczę hakówkę na bunkrach w Czosnowie. Asekuje Michał Wroczyński. Fot. Bożena Jesionkiewicz.

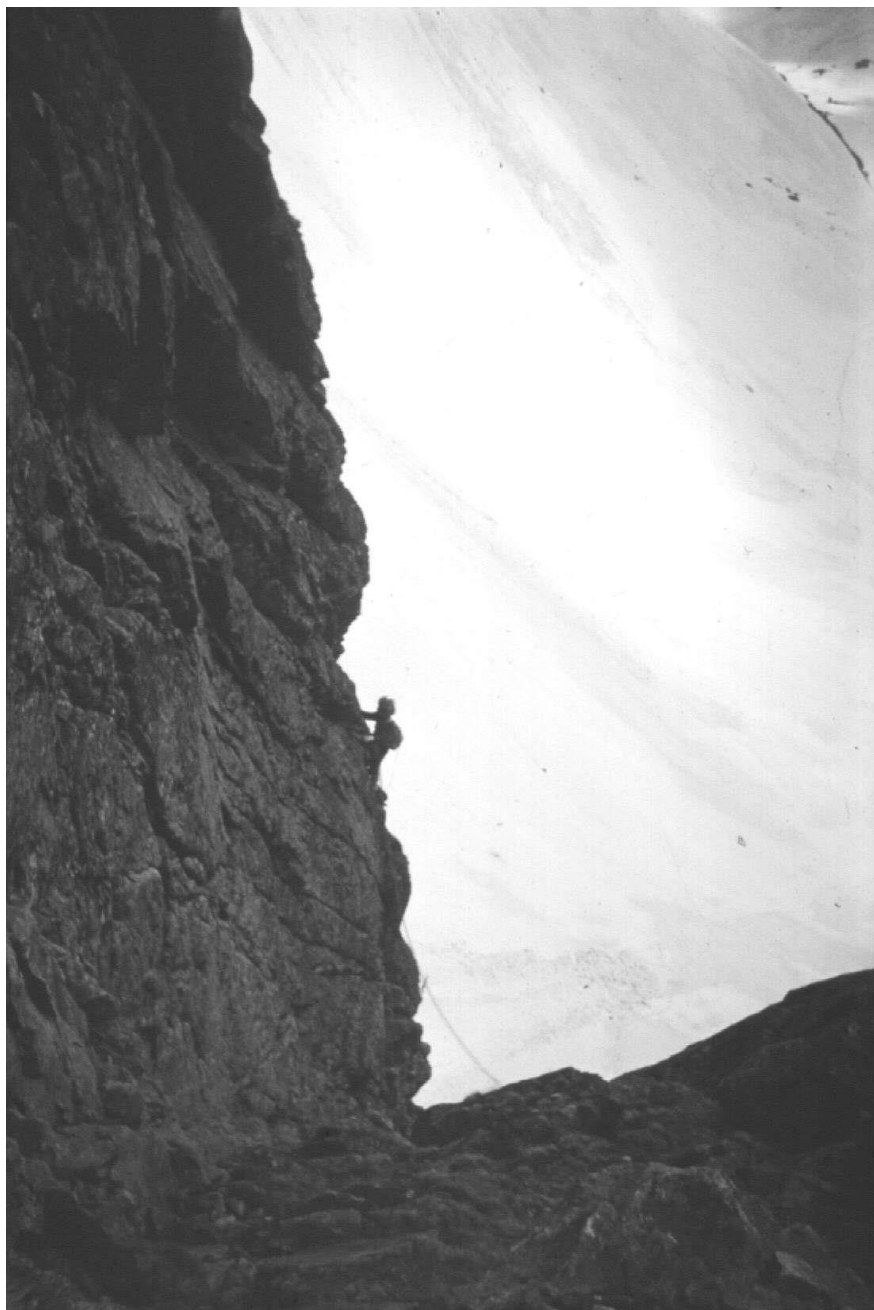
W Warszawie zacząłem szukać kontaktu ze środowiskiem taternickim, ale zamiast do Klubu Wysokogórskiego trafiłem przypadkowo do Speleoklubu. Przez kilka lat chodziłem nie w góry, tylko do jaskiń. Coś mi to jednak dało. Nauczyłem się podstaw techniki i asekuracji, no i dotarłem na podwarszawskie bunkry w Czosnowie. Tam też poznałem pierwszych prawdziwych taterników: Samka Skierskiego, Maćka Popkę, Adama Szurka i Janusza Kurczaba. W Czosnowie też tworzyło się środowisko młodych i bardzo młodych warszawskich taterników, środowisko, które później miało nieźle w górach namieszać. Wówczas jednak wszyscy chodziliśmy do szkoły średniej i rozwiązywaliśmy „problemy” na poziomie Czosnowa. W Tatrach przechodziliśmy wówczas drogi łatwe, głównie wokół Hali Gąsienicowej.

Dzisiejsi taternicy nie znają problemów, jakie musiało pokonywać moje pokolenie. Podstawowym problemem była nędza, a kolejnym brak wolności. To generowało problemy dalsze, takie jak ogromne trudności ze zdobyciem sprzętu lub z wyjazdem za granicę. Polskiego sprzętu alpinistycznego praktycznie nie było, a to, co było, niemal nie nadawało się do użytku. Bardzo długo, bo aż do początku lat siedemdziesiątych, jedyne liny dostępne na polskim rynku były sizalowe lub bawełniane. Te drugie nadawały się wyłącznie do ról pomocniczych. Liny nylonowe, gdy się już pojawiły, też daleko odbiegały od światowych standardów. Mimo to w pierwszym okresie mieliśmy niemal nieograniczone zaufanie do nylonu, który, w przeciwieństwie do sizalu, miał się nie zrywać. To nadmierne zaufanie przyjmowało takie rozmiary, że zdarzało się używać nylonowych zjazdówek do asekuracji! Dopiero gdy niejaki Kiciuś zerwał taką zjazdówkę wyłącznie własnym ciężarem (pokazywał kursantom jak się zjeżdża z Żółtej Igły), przyszło otrzeźwienie.

Sprzęt taternika lat sześćdziesiątych był nie tylko siermiężny, ale i bardzo ciężki. Zaczniemy od ubioru. Wówczas nie było jeszcze nie tylko polaru i goretexu, ale nawet ortalionu (a wydawałoby się, że ortalion był zawsze). Ubieraliśmy się w spodnie z wełnianego filcu i bawełniane kalessony (obrzydliwe to były gacie - istny sprzęt antykonceptyjny). Skafandry wykonane były z brezentu.

Całość uzupełniały flanelowe koszule i swetry. W dobrym tonie było, by sweter był wielokrotnie łatany, co ponoć świadczyło o ciężkich bojach ze ścianą, podobnie jak kiedyś liczne blizny na ciele wojownika. Jerzy Hajdukiewicz zauważył słusznie, że świadczyło to tylko o niechlujstwie, ale moda jest modą.

Taternik ubrany na zimową wspinaczkę przypominał grubego, ciężkiego misia, który miał na sobie tyle ubrania, że już prawie nie mógł się ruszać. Całości dopełniały miękkie skórzane buty, bardzo szybko przemakające. Do tych butów wiązało się żelazne, kute raki. Do wiązania raków służył knot od lampy naftowej, który kupowało się zaraz po przybyciu do Zakopanego w sklepie gospodarczym na Kościeliskiej.



Człowiek i ściana. Fot. Krzysztof Łoziński.

Sprzęt alpinistyczny było tak trudno zdobyć, że miał dla nas niesamowitą wartość. Przypadki ryzykowania sporego lotu, aby tylko nie zostawić haka a tym bardziej karabinka, nie były rzadkością. Jeszcze w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, gdy - porzucony w górach Hindukuszu przez kolegów z wyprawy - siedłem samotnie, kompletnie wyczerpany, doliną Wahanu i bałem się, że nie starczy mi sił, by dojść do ludzi, nie zdecydowałem się na wyrzucenie trzynastu żelaznych śrub lodowych (ciężkich jak cholera) i nieprzydatnego już namiotu. Pamiętam też, jak schodząc na ostatnich nogach z siedmiotysięcznika, zdeteriorowany[2] i poodmrażany, zbierałem z obozów niewykorzystane ładunki butanowe (które każdy zachodni alpinista wyrzuciłby w diabły), by zabrać je z powrotem do Polski. Ale taki westman miał w swoim mieście sklep, w którym takie ładunki mógł bez problemu kupić, a my najbliższy taki punkt mieliśmy w Wiedniu.

Nasza bieda przybierała różne formy. W latach siedemdziesiątych było już nieco lepiej ze sprzętem, ale za to rządząca ekipa Edwarda Gierka zlikwidowała nam szturmżarcie. Cukier, kiełbasa, konserwy, wszystko było na kartki, o ile w ogóle było. Z tego czasu pamiętam dwa zdarzenia. Pierwsze - jak mieszałem serek homogenizowany z deficytowym kakao i deficytowym cukrem, by - po wsadzeniu tego do słoika - zabrać jako szturmżarcie na wspinaczkę. Drugie było takie: tuż przed wyjazdem do Afganistanu dowiedzieliśmy się, że ogłoszono zakaz wywozu z Polski żywności. Władza twierdziła, że żywności w kraju brakuje, bo ponoć turyści wywożą jej za dużo za granicę. Zakaz był totalny i nieomijalny, ale nie wszystkich towarów dotyczył (tylko tych najważniejszych). Pamiętam jak mieszałyśmy legalne płatki owsiane z nielegalnym cukrem i mlekiem w proszku, by ukryć je przed celnikami.

Co najdziwniejsze, był to okres, w którym polski alpinizm odnosił największe sukcesy. Hindukusz Afgański był dla nas wyjątkowym darem losu. Dzięki splotowi okoliczności nienormalnych i politycznych, mieliśmy niezwykle tani i łatwy dostęp do gór wysokich. Okazało się wtedy, że hasło Edwarda Gierka „Polak potrafi” ma swój sens, z tym tylko, że Polak potrafił zupełnie nie to, co Gierek chciał. Polak bowiem potrafił kombinować. I tu pojawia się temat na rozprawkę, którą przysłym historykom alpinizmu polecam: „Rola kombinowania w sukcesach polskiego alpinizmu”.



Po zimowym załamaniu pogody wyglądam jakbym miał 50 lat (miałem 21). Fot. Hanna Brzeska.



Bogdan Zalega i Anna Skowrońska na bunkrach w Janówku. Początek lat siedemdziesiątych. Fot. Krzysztof Łoziński.

Wyglądało to tak: cena przejazdu pociągiem przez ZSRR, z jakiś politycznych powodów, była dla nas, obywateli PRL, nienormalnie niska. Za 2100 złotych można było dojechać pociągiem do Termezu, miasta na granicy Afganistanu (jako nauczyciel w szkole średniej zarabiałem wówczas 2000 złotych). Następnie za 3,5 rubla przepływało się promem przez Amu Darię do Hairatanu, już po stronie afgańskiej. Stamtąd, za dziesięć dolarów na łba wynajmowało się busa do Kabulu, a za następną dychę - ciężarówkę do wylotu doliny w Hindukuszu. W sumie, razem z kosztami żywności i sprzętu, za trzy nauczycielskie pensje mieliśmy dostęp do siedmiotysięcznych szczytów.

Ale i te koszty umieliśmy sobie obniżyć, a nawet na całej sprawie zarobić. Kupowało się w sklepie NRD-owskim na ul. Kruczej zegarek Ruhla za 200 złotych. Ruhla to był najgorszy ale i najtańszy zegarkowy szmelc. W Afganistanie sprzedawało się tę Ruhlę za 1000 afganów i za tyle samo kupowało się kozuch, który sprzedawało się w Polsce za średnio 25 tysięcy złotych. A nikt przecież nie kupował tylko jednej Ruhli. Robiło się jeszcze handle pomniejsze. Na przykład płyn do prania „Kokosal” sprzedawało się w Afganistanie jako szampon.



Wracając z bunkrów należało odwiedzić restaurację "Niespodzianka" w Czosnowie, choć łatwiej tam było dostać po pysku, niż coś do jedzenia. Od lewej: Andrzej Mierzejewski, Dorota Nanowska, Jarosław Kowalski, Magda Sułocka (ok. 1970 r.). Fot. Krzysztof Łoziński.

Bardzo szybko zaczęliśmy odkrywać inne układy. Zauważyliśmy, że bilet lotniczy z Budapesztu do Hanoi kosztuje tylko 4 tysiące złotych i w czasie międzylądowania w Bombaju oświadczyliśmy stewardessie: ja mam wizę indyjską i tu wysiadam (normalny bilet do Indii kosztował blisko 20 tysięcy). Z czasem węgierski personel pytał od razu Polaków wsiadających na lot do Hanoi: „Pan do końca, czy do Bombaju?”

Dzięki takim dziwnym układom prosto z Tatr trafiłem w góry wysokie, niemal całkowicie pomijając tradycyjny etap alpejski. W Alpy też dotarłem, ale dużo później, już po kilku wyprawach w Hindukusz i Himalaje. Na razie jednak wróćmy do lat sześćdziesiątych, skałek, bunkrów i Hali Gąsienicowej.

Pierwszy raz przyjechałem na bunkry w Czosnowie w ramach kursu dla początkujących ze Speleoklubu. Kursu tego zresztą nigdy nie ukończyłem, z przyczyn, których już dziś nie pamiętam. Grotołazów bardziej niż bunkry interesowały wieże triangulacyjne, a jedna z nich znajdowała się w Czosnowie. Na tych wieżach ćwiczyło się zjazdy na linie, prusikowanie i

podchodzenie po drabinkach. W tamtych czasach zjeżdżano tylko w kluczu, nawet nie przez karabinek, a przyrządów do zjazdu jeszcze nikt nie wymyślił. Na wieży triangulacyjnej w Czosnowie odbyłem swój pierwszy w życiu zjazd na linie.

Wprawdzie już wcześniej wspinałem się po skałkach i w otoczeniu Hali Gąsienicowej, ale jeszcze nigdy nie zjeżdżałem. Co więcej zupełnie nie byłem oswojony z ekspozycją. Jaka tam ekspozycja jest na drogach wokół Hali? Żadna. Tu jednak trzeba było zjechać wprawdzie tylko 15 metrów, ale za to w zupełnym lufcie. Wszedłem na wieżę. Instruktor sprawdził mi na wszelki wypadek wszystkie węzły i - jazda. Wychodziłem do zjazdu przez otwór w podłodze platformki i, wychodząc, jeszcze luzem nie widziałem, ale gdy już wyszedłem, zobaczyłem, że wiszę w powietrzu na linie cienkiej jak ołówek i, co tu dużo mówić, złapałem niezłego pietra. Nie miałem jednak wyboru. Wrócić do góry już się nie dało, mogłem tylko zjeżdżać. Zjechałem jakieś trzy metry i wtedy zobaczyłem obok siebie jedną z poziomych belek wieży. Ta belka, w porównaniu z moją cieniutką liną, wydała mi się niemal opoką, stałym gruntem. Wykonałem rozpaczliwy skok i złapałem się belki, puszczając przy tym linę. Zawisłem na rękach nad luzem i moja sytuacja wydała mi się od razu beznadziejna. Na chwycie za okrągłą belkę długo wisieć nie mogłem. Byłem w zupełnej panice. Zapomniałem, że jestem asekurowany.

Moi instruktorzy zachowali się w tym momencie w sposób skuteczny, ale okrutny. Widząc, że jestem w zupełnej panice, pozwolili mi „dojrzeć” i spaść, po czym spokojnie opuścili mnie na linie na ziemię. A to było naprawdę okrutne. Przeżyłem całe „dojrzowanie”, miotanie się, stopniowe rozginanie się palców...

Po tym incydencie pewnie nigdy bym nie został taternikiem, gdyby nie Krysia Rapacka. Gdy zupełnie roztrzęsiony wylądowałem w końcu na ziemi, Krysia podeszła do mnie i powiedziała: „Jak się teraz od razu nie przełamiesz, to nigdy nie będziesz się wspinał, a zawsze będziesz się bał”. Wróciłem na wieżę i jeszcze raz wyszedłem do zjazdu. Bałem się prawie tak samo, ale tym razem się zawniłem. Zjechałem normalnie i tego samego dnia zjechałem jeszcze chyba z dziesięć razy. Ciągle jednak się bałem i wiedziałam, że muszę przełamać się naprawdę. Tydzień później przyjechałem sam do Czosnowa. Wszedłem na wieżę i zjechałem z niej całkowicie samodzielnie, w kluczu, bez żadnej asekuracji, nawet bez prusika[3]. Dopiero po tym poczułem się pewnie. Miałem wówczas czternaście lat.



Pokonywanie okapu techniką hakową. Z archiwum autora.

Kursu w Speleoklubie nie ukończyłem. Nie ukończyłem zresztą żadnego kursu, byłem natomiast później wielokrotnie instruktorem na różnych kursach. Przez pierwsze dziesięć lat wspinania nie należałem też do Klubu Wysokogórskiego ani żadnego innego. Wówczas nie było jeszcze PZA z jego pomysłami, i życie w środowisku górskim było znacznie bardziej normalne i

ludzkie. Pomimo że nie należałem do żadnego klubu, nikt nie przeszkadzał mi się wspinać ani mieszkać na taboriskach Klubu Wysokogórskiego. O tym, że było się taternikiem nie świadczył żaden dokument, tylko to, że chodziło się na wspinaczki. Owszem, istniał Klub Wysokogórski, istniały stopnie taternicze, ale te stopnie można było mieć albo nie mieć i nic specjalnego z tego nie wynikało. Przynależność do klubu miała znaczenie wyłącznie prestiżowe.

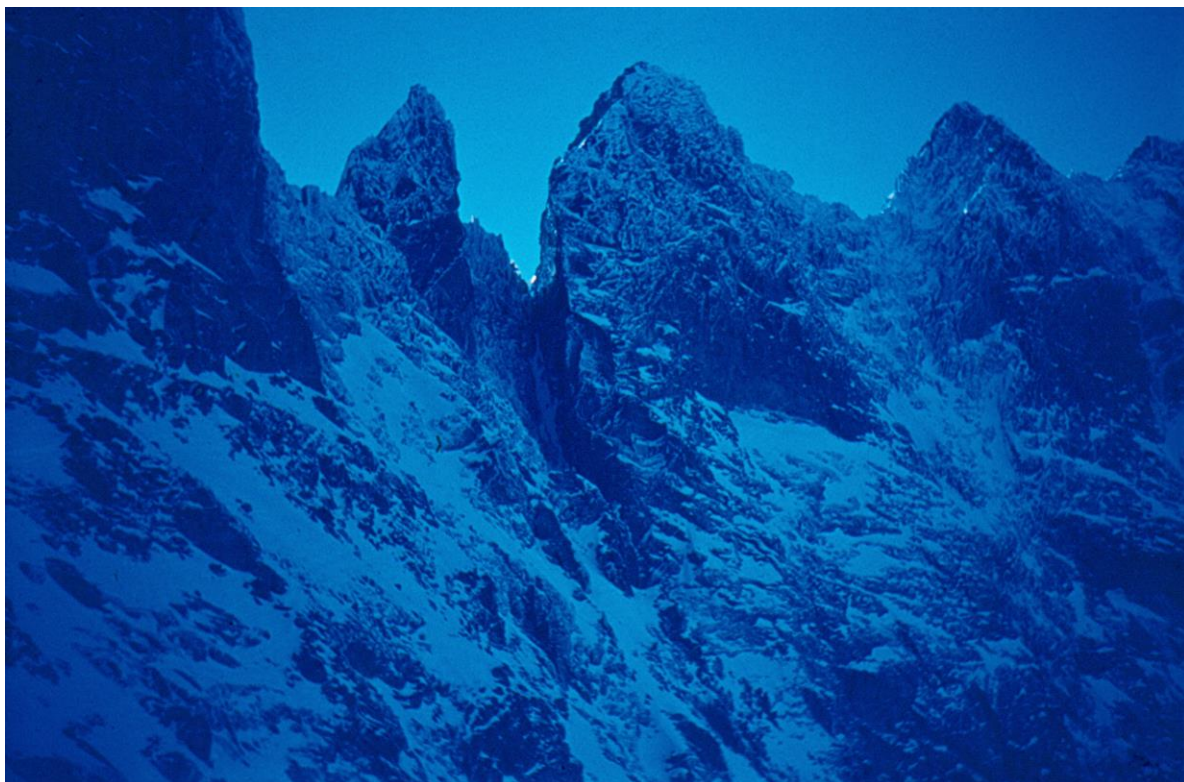
Do jaskiń rozczarowałem się dosyć szybko. Naczytałem się wcześniej książek o jaskiniach, książek pełnych zdjęć różnych wspaniałych nacieków i atmosfery wielkiej przygody. Tymczasem tatrzańskie jaskinie - to ciemne, zimne i mokre dziury, w których właściwie nie ma nic poza błotem i kapiącą za kołnierz wodą. Bardzo szybko przestało mi się tam podobać.

Przez pierwsze lata mojego wspinania, lata jeszcze wczesnej młodości, podchodziłem do alpinizmu w sposób bardzo romantyczny. Wszyscy taternicy wydawali mi się wspaniali, a niektórych odbierałem niemal jak nadludzi. Dopiero później zrozumiałem, że w tym środowisku są bardzo różni ludzie, są mądrzy i głupi, odważni i tchórze. Wtedy jednak połykałem jedną za drugą górskie książki i nie przyjmowałem do wiadomości żadnej krytyki alpinizmu.

Wiodłem na przykład zaciętą walkę z rodzicami, którzy w moim mniemaniu nie rozumieli wyższych racji, a oni po prostu się o mnie bali. Z perspektywy czasu wiem, że bali się słusznie. Dla mnie, zapalonego nastolatka, niebezpieczeństwo w górach nie istniało. Informacje o wypadkach po prostu spychałem, wyrzucałem ze świadomości. Niebezpieczeństwo zaczynałem rozumieć dopiero, gdy zaczęli się zabijać moi koledzy. Wcześniej też znałem ludzi, którzy ulegali wypadkom i ginęli w górach, ale oni należeli do znacznie starszego ode mnie pokolenia. Śmierć w górach Jacka Dyzmy Woszczerowicza i Krysi Lipczyńskiej przyjąłem dość obojętnie, jakby ta śmierć nie była rzeczywistością, jakby była na filmie. Naprawdę mnie siekło dopiero, gdy zginęła Marta.

Marta była nie tylko moją koleżanką ale była też dziewczyną, która mi się bardzo podobała. Następna górską śmierć, którą mocno przeżyłem, to była śmierć Andrzeja Byczkowskiego. Zaczynało do mnie docierać, że niebezpieczeństwo w górach nie jest abstrakcją. Ciągłe jednak wierzyłem w teorię, bardzo popularną wśród taterników tamtego czasu, że jak nie zrobi się błędu w asekuracji, to nic w górach człowiekowi stać się nie może. Całe moje pokolenie, wszyscy moi rówieśnicy, powtarzali jak zaklęcie: „przy

prawidłowej asekuracji nic się taternikowi nie może stać". To była nie tylko naiwna wiara, ale i samousprawiedliwienie.



Żabi Koń, Żabia Turnia Mięguszowiecka i Wołowa Turnia od Północy. Fot. Krzysztof Łoziński.

W 1966 lub 67 roku, wydarzył się pewien incydent, który spowodował w mojej rodzinie sporą nerwowość. Byłem w tym czasie w Tatrach, ale na Słowacji, i nic nie wiedziałem, co się dzieje w Tatrach Polskich. Po powrocie ze Słowacji od razu pojechałem do Warszawy i udałem się prosto do domu, a tu patrzą na mnie jakoś dziwnie, mówią, że się cieszą, że nic mi nie jest itp. Patrzę na rodziców i siostrę jak osłupiały i nie wiem o co chodzi. Okazuje się, że zostałem prawie uśmiercony przez prasę.

W tamtych latach wychodziły tylko trzy główne ogólnopolskie gazety: „Trybuna Ludu”, „Życie Warszawy” i „Sztandar Młodych” i kilka gazet o znacznie mniejszym zasięgu. Pewnego dnia we wszystkich trzech ukazała się maleńka PAP-owska notatka: W rejonie Hali Gąsienicowej w Tatrach uległ wypadkowi taternik Jerzy Łoziński z Warszawy. W stanie ciężkim został przewieziony do szpitala.



Halny wiatr. Fot. Krzysztof Łoziński.

Ja mam na imię Krzysztof i nie mam drugiego imienia, ale Jerzy to imię mojego ojca. Można więc było zrozumieć, że chodzi o mnie, a tylko ktoś pomylił imiona. Moi rodzice nie od razu tę notatkę przeczytali. Mój ojciec, nic nie wiedząc, poszedł do pracy, a tu koledzy zadają mu dziwne pytania:

- Panie inżynierze, czy pański syn jest taternikiem?

- Jest.

- A czy pański syn jest w Tatrach?

- Jest.

Po paru takich pytaniach ojciec zażądał, by w końcu powiedzieli mu, o co chodzi. Dopiero wtedy przeczytał tę notatkę. No i zaczęły się telefony do

Zakopanego. Okazało się, że w szpitalu nie są wcale pewni, jak się delikwent nazywa, a już na drugi dzień okazało się, że to zupełnie kto inny. Po prostu prasa PRL-u była bardzo beztroska. Korespondent PAP-u usłyszał niedokładnie nazwisko, które zresztą było podobne, ale inne, i napisał cokolwiek, nie przejmując się tym, że czyjaś rodzina może to przeczytać.

Jest taki przesąd, że jak kogoś pochowają przez pomyłkę, to będzie długo żył i widać coś jest w tym prawdy, bo przez pięćdziesiąt lat uprawiania alpinizmu, w tym dobre trzydzieści lat bardzo intensywnie, nie miałem żadnego wypadku. To aż nieprawdopodobne, ale tak było.

Dlaczego? Myślę, że miałem po prostu dużo szczęścia. Przeżyłem kilka bardzo poważnych odpadnięć, kilka lotów lawinowych, w tym jeden naprawdę groźny (300 metrów, z góry Mnichowego Żlebu na sam dół), ale jakoś zawsze kończyło się tylko na potłuczeniach i wracałem do schroniska lub do bazy o własnych siłach.[4] Największa krzywda, jaką sobie w górach zrobiłem, to zwichnięcie nogi w Himalajach, ale miało to miejsce w potoku, zaledwie 200 metrów od bazy i nawet wtedy dotarłem do bazy o własnych siłach. Zwichnięcie było zresztą na tyle mało poważne, że już dwa dni po jego nastawieniu amatorskimi siłami, mimo ogromnego bólu, byłem w stanie samodzielnie iść. Wyboru zresztą wielkiego nie miałem, bo nie miał mnie kto zanieść, więc - chciał nie chciał - trzeba było wziąć wór na plecy i kuśtykać do Namche Bazaar[5], a parę dni później nawet do Jiri[6].

Dużo mniej szczęścia miało wielu moich kolegów i dziś, z perspektywy czasu, rozumiem, że rodzice mieli naprawdę powody, by się o mnie bać. Nie liczyłem, ilu ludzi, których dobrze znałem, zginęło w górach, ale było to na pewno kilkadziesiąt osób.

Dwa z tych wypadków były dla mnie szczególnie przykre, bo moi koledzy zginęli na moich drogach. Racjonalnie nie ma w tym mojej winy, bo naprawdę trudno obwiniać kogoś, kto poprowadził drogę, za to, że ktoś inny miał na niej wypadek. Przychodzą jednak głupie myśli, że może, gdybym tych dróg nie zrobił, to Mietek Górniewicz i Darek Kołoczek by żyli[7].



Mgła przelewa się przez grań. Fot. Krzysztof Łoziński.

Wróćmy jeszcze w lata sześćdziesiąte. W schroniskach tatrzańskich panowała wówczas pewna atmosfera, której już nie ma. Na Hali Gąsienicowej były aż cztery schroniska. Państwowy (teoretycznie PTTK-owski) Murowaniec i trzy schroniska prywatne: Wyżnie, Betlejemka i Księżówka. Taternicy w zasadzie nie mieszkali w Murowańcu, ale u Bustryckiej w Wyżnim i Betlejemce, albo u Strączkowej w Księżówce. Warunki w tych schroniskach były dosyć spartańskie. Spało się pokotem i to czasami w miejscach dziwnych. W sezonie zimowym w schroniskach panował niemiłosierny tłok, bo na Hali - oprócz taterników - byli jeszcze narciarze.



Północno-wschodnie ściany Mnicha, Mniszka i Ministranta. Fot. Krzysztof Łoziński.

O ile Wyżnie przypominało jeszcze jakoś schronisko z prawdziwego zdarzenia, była tam kuchnia i jadalnia, to Betlejemka i Księżówka były tylko noclegowniami dla taternicko-narciarskiego tłumu. Braki wygody nadrabiano humorem. Nad drzwiami Betlejemki wisiał szyld: „Betlejemka. Schronisko wysokogórskie imienia Jeremiasza Apollona Hytza”. Ów Jeremiasz Apollon Hytz był postacią fikcyjną, ale w środku wisiała cała tablica upamiętniająca jego dokonania („Nawet dżdżownica się zachwyca osiągnięciami Jota A. Hytza”). Dokonaniem najważniejszym było udowodnienie, że skutek pociąga za sobą przyczynę, co ów J. A. Hytz udowodnił, wchodząc do muszli klozetowej i pociągając za sznurek. Na cześć tego faktu, na schroniskowym wychodku, zamiast zwykłej tabliczki „WC”, wisiał szyld: „Biuro do spraw rozszerzania wyobraźni”.



Przed sezonem letnim chodziliśmy pod Mnicha i Kazalnicę zbierać sprzęt zgubiony zimą. Na zdjęciu prezentuję cenne znalezisko: kilka haków i karabinków. Ok. 1970 r. Fot. z archiwum autora.

W przedziwnych miejscach nocowano też w Morskim Oku. Poza dwoma schroniskami, Starym i Nowym, był jeszcze „kurnik”, czyli szopa obok nowego schroniska. W „kurniku” nie sypiał byle kto, ale tylko znajomi

państwa Łapińskich, bo nie było to legalne miejsce noclegowe. Była też „Aligatornia”, czyli wnęka pod schodkami werandy Nowego Schroniska. W „Aligatorni”, jak sama nazwa wskazuje, rozbijał namiot głównie Aligator, czyli Jan Łącki. Istnym przedpiekłem było Stare Schronisko[8], w którym koczował nieprawdopodobny tłum nie tylko na kupie, na pryzach, ale i pod pryzkami, na korytarzach, w kuchni i na schodach. Gospodarzem Starego Schroniska był stary góral Franciszek, który poza paleniem w piecu zajmował się też łapaniem „waletów”, czyli tych, co nie zapłacili za noclegi. Każdemu złapanemu delikwentowi Franciszek wygłaszał przemowę: „Ja pójdę do recepcyjom, a oni zadzwonią na policyjnom...” W pewnych okresach „waletów” było jednak tak dużo, że nawet Franciszek dawał sobie spokój, bo każdy na pierwszy rzut oka widział, że na około sto miejsc noclegowych w obu schroniskach przypadało dobre trzysta nocujących osób.



Asekurowję w skałkach Podlesickich. Ok. 1975 rok. Fot. Marzena Karbownik (obecnie Podarzewska).

Tak było zwłaszcza w okolicach Świąt Bożego Narodzenia i Sylwestra, gdy do Morskiego Oka ściągał, kto żyw. Tłum gęstniał wówczas do nieprawdopodobnych rozmiarów, spano nawet w łazienkach pod umywalkami i wypijano niebywałe ilości alkoholu.

W Nowym Schronisku życie taternickie koncentrowało się na drugim piętrze, gdzie spano nie tylko w pokojach, ale i na korytarzu. Ba, żeby tylko spano. W drewnianym schronisku, na podłodze, między plecakami i śpiworami, gotowano na juvlach, czyli benzynowych prymusach, które w celu odpalenia podlewano jeszcze dookoła benzyną. Jeszcze by nie było tak źle, gdyby pichcono tylko na niemieckich juvlach, ale robiono to też na ich polskich podróbkach marki Dęba, zwanych popularnie granatami. Rzecz polegała na tym, że Dęba nie paliła się stabilnie, tylko jej temperatura stale rosła i w pewnym momencie zaczynała zionąć już tak wielkimi płomieniami, że trzeba było ten prymus wyrzucić przez okno w śnieg, aby tam zgasł, oblać go wodą, lub wrzucić do potoku. W przypadku zaniechania takich metod, Dęba dokonywała efektownego wybuchu, lejąc płonąca benzyną gdzie popadnie. Niektórzy twierdzili, że to, iż schronisko jeszcze nie spłonęło, jest dowodem na istnienie Boga. O tym, że miejsce i jego klientela były niebanalne świadczył napis wydrapany przez kogoś na ścianie:

$$\text{przechodniu pamiętaj: } \frac{i\hbar}{2\pi} \frac{\delta\psi}{\delta t} = -\frac{\hbar^2}{8\pi m} \Delta\psi + v(x,y,z,t)\psi$$

(jest to równanie Shrödingera).

W lecie mieszkało się na taboriskach, czyli na polach namiotowych. Taborisko w Morskim Oku nie było wówczas tam, gdzie obecnie, tylko bezpośrednio za schroniskiem, nad rozlewiskami Rybiego Potoku. W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych część namiotów nie miała jeszcze podłogi. A wydawałoby się, że namioty z podłogą były zawsze. Nie było nie tylko karimatów, które pojawiły się kilkanaście lat później, ale nawet nadmuchiwanym materaców (w ogóle istniały, ale nie w PRL). Materacyki do biwakowania w górach robiło się z zaszytych w brezent dętek rowerowych. Pierwsze materace nadmuchiwane, gdy już się w Polsce pojawiły, były zrobione ze zwykłej gumy i potwornie ciężkie. Ważyły po kilka kilogramów.

Zresztą cały nasz sprzęt był bardzo ciężki. Haki, wyłącznie kute, z grubego żelaza, zamawiało się u kowali. W Warszawie było dwóch kowali, którzy wyrabiali haki na obstalunek: Fabisiewicz na Grzybowskiej, koło Żelaznej, i Piesiewicz na Stalowej. Haki od Fabisiewicza były miękkie, a od Piesiewicza bardzo twarde. Waga sprzętu powodowała, że jadąc w góry trzeba było nosić potwornie ciężkie plecaki. Dzisiejsze pokolenie nie zna już problemu wora, problemu plecaka tak przytłaczającego, że silni ludzie z trudem przestawiali pod nim nogi, tak, że każde dojsście do taboriska, a zimą - do schroniska, stawało się katorgą. Plecak ważący 60 kilogramów wcale nie był ewenementem.

A problem wora urastał do poważnych rozmiarów, gdy w zimie okazywało się, że autobus dojeżdża tylko do Łysej Polany, albo i co gorsza do Bukowiny. Zaczynał się wtedy koszmarny, wielogodzinny marsz do Morskiego Oka, który odchorowywało się przez kolejne dwa dni.

Jest jeszcze jedna rzecz, która może być niezrozumiała dla młodych ludzi nie znających tamtych czasów: patenciarstwo. W Polsce nie można było kupić praktycznie żadnego sprzętu. Rozwiązania były więc dwa: przywieźć z zagranicy albo zrobić. Jeszcze w czasach szkolnych robiłem na lekcjach robót ręcznych haki z aluminiowej blachy. Te haki były strasznie słabe i nawet obciążane statycznie potrafiły wypadać. Później wycinałem haki piłką do metalu ze stalowego kątownika. Były nawet nienajgorsze, ale bardzo ciężkie.



Wspinam się na bunkrach w Czosnowie.



Północna ściana Mięszowieckiego Szczytu Wielkiego z drogi do Morskiego Oka. Fot. Krzysztof Łoziński.

Największym problemem były karabinki. W Polsce lat sześćdziesiątych nie można było ich kupić, a zrobienie karabinka nie jest już takie proste. Byliśmy więc skazani na import i każda sztuka była skarbem. Oczywiście były one ciężkie, stalowe. Pod koniec lat sześćdziesiątych pojawiły się „samobóje”, czyli stalowe karabinki wytwarzane dla celów przemysłowych a nie alpinistycznych. „Samobóje” miały dwie nieprzyjemne właściwości: pewien sprytny ząbek przy zamku, który kaleczył ręce (trzeba go było spiłowywać) i bliżej nieokreśloną wytrzymałość (stąd nazwa). Jeden wytrzymał blisko 2000 kilogramów, a drugi, identycznie wyglądający, potrafił się rozgiąć pod statycznym obciążeniem.

W ramach samoróbstwa wystrugałem pilnikiem na imadełku nie tylko dziesiątki haków, ale i później trzy kolejne czekany. Jeden z nich był całkiem udany i mam go do dzisiaj. Nazwałem go „Toporek”.

Patenciarstwo dotyczyło też butów. Szczytowym jego przejawem były „korkery”. Używaliśmy ich jeszcze w latach osiemdziesiątych. W 1984 roku gościła w Tatrach spora grupa alpinistów brytyjskich. Jeden z nich zobaczył „korkery” i zapytał, co to jest. „To są buty do wspinaczki za jednego dolara” - odparliśmy, i zaczęliśmy wyjaśniać, że kupuje się piłkarskie trampkokorki, obcina korki, podkleja mikrogumę... „A dlaczego wy po prostu nie kupicie sobie butów do wspinaczki?” - zapytał naiwnie Anglik. Wobec takiego pytania byliśmy bezradni. Wy tłumaczenie PRL-u za pomocą zdań budowanych logicznie jest niemożliwe.

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych, gdy byłem w szkole średniej, zaraziłem swoją górską pasją niemal połowę kolegów z klasy. Trwale wciągnąłem tylko braci Wroczyńskich, z których trzech, Krzysztof, Michał i Piotr, wspinali się jeszcze niedawno. Michał niestety od nas odszedł, pokonany nie przez góry, lecz nowotwór. Czwarty brat, Tomek, był sporo młodszy i jego życie poszło w innym kierunku. Rzecz ciekawa, że choć przez kilka lat jeździliśmy razem na bunkry i w Tatry, to wspinaliśmy się razem w Tatrach zaledwie kilka razy i na mało znaczących drogach.

Ja zresztą w ogóle nie miałem w górach żadnego stałego partnera. W środowisku krąży pogląd, że moim partnerem w latach siedemdziesiątych był „Gaciek”, czyli Janek Hobrzański. Tymczasem myśmy zwiążali się liną zaledwie sześć razy, o ile dobrze liczę, bo po pięćdziesięciu latach mogę czegoś nie pamiętać. Zapamiętano nas jako zespół, bo zrobiliśmy razem trzy bardzo ważne nowe drogi: „Śmigło” na Mniszku, „Czarne Zacięcie” na Czołówce

Mięgusza i dużą, trudną drogę na Młynarzowych Widłach. W sumie zrobiliśmy razem cztery nowe drogi (czwartą jest mała dróżka na Ciemnosmreczyńskiej Turni), ale tylko te trzy były istotne.



Wschodnia ściana Małego Młynarza. Fot. Krzysztof Łoziński.

Moje wspólne wspinanie z Jankiem nie mogło trwać długo. Byliśmy tak bardzo inni i tak bardzo czego innego poszukiwaliśmy w górach, że ten zespół nie mógł być trwały. Janek miał ogromny talent alpinistyczny, talent jaki rzadko się trafia. Ten talent został w dużym stopniu zmarnowany przez politykę Klubu Wysokogórskiego a potem PZA, przez to, że na wyjazdy jeździli ci, co „musieli pojechać” a nie ci, co najlepiej umieli się wspinać. Z podobnych przyczyn zmarnowano talent Ryśka Malczyka.

O tym, jak wielki talent miał Janek, niech świadczy fakt, że we wrześniu 1970 roku przeprowadził na Mnichu wariant zwany dziś „Rysą Hobrzańską” i wyceniany później na VII. Była to próba przejścia większej całości, ale zakończyła się lotem i został z niej tylko wariant. Rzecz jest warta wspomnienia z paru powodów. Pierwszy jest oczywisty. W 1970 roku oficjalnie nie istniał jeszcze w Tatrach siódmy stopień trudności, ani nawet VI+, tymczasem Janek przeprowadził wyciąg o trudnościach VII w tradycyjnych butach typu „Maratony”, bez kostek i friendów[9], których jeszcze nie wynaleziono, bez całościowej uprząży asekuracyjnej. Dzisiejsze pokolenie nie wie, co to były „Maratony”, a były to typowe buty turystyczne: skórzane, na twardym wibracie, według dzisiejszych kryteriów w ogóle nie nadające się do wspinaczki, ale wówczas lepszych nie było.

Powód drugi - to sposób, w jaki zostało to opisane w prasie. W „Taterniku” ukazała się wzmianka, że mało doświadczony Hobrzański spadł z drogi Łapińskiego, która przerastała jego możliwości. Tymczasem Janek spadł, bo właśnie przeszedł trudności, które wówczas przerastały możliwości wszystkich, oraz dlatego, że nie wynaleziono jeszcze kostek i friendów. W tamtym czasie w szerokie szczeliny skalne wbijało się drewniane kołki, ale trzeba było je ze sobą mieć. Janek, pokonując rekordowe - jak na tamte czasy - trudności, po prostu doszedł do końca rysy i dalej, z braku odpowiedniego sprzętu, nie miał co zrobić, a zejście z powrotem w trudnościach VII mało komu się udaje, nawet teraz. Nie miał więc innego wyboru, jak tylko runąć, co skończyło się niezbyt groźnym, na szczęście, wypadkiem. A że go tak opisano... Cóż, jak wiadomo, mądrego nawet głupi zrozumie, tylko inaczej.

Trzeba wspomnieć jeszcze o paru innych postaciach tworzących atmosferę środowiska taternickiego przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Jedną z najbarwniejszych postaci był Teddy (Tadeusz Gibiński), człowiek niezwykle twardy i odważny a jednocześnie słynący z niebywałego poczucia humoru. Mówiło się nawet, że z Teddym nie można się wspinać, bo człowiek zamiast uważać, co robi, to cały czas się śmieje. Teddy był arcymistrzem hakówki. Nazywano go nawet „Teddy nitoman, co ma

wielki wór z jedynekami"[10]. Do słynnych „patentów” hakowych Teddy’ego należało podpieranie zbyt cienkich haków aluminiowymi monetami oraz wbicie w płytką i szeroką szczelinę gałęzi od kosówki, w którą z kolei wbijał jedynekę.



Włodzimierz Kajka prowadzi najtrudniejszy wyciąg prostowania "Kurtykówki". Drogi tej, czy też ciągu wariantów, nigdy nie opisaliśmy. Fot. Krzysztof Łoziński.

O poczuciu humoru Teddy'ego niech świadczy następująca, opowiadana o nim, anegdota:

Teddy prowadził trudny hakowy wyciąg na jakiejś nowej drodze. Wbił chyba ze dwadzieścia jedynek i innych maleńkich haczyków pod rząd, aż któryś z tych „patentów” nie wytrzymał i Teddy spadł robiąc „karabin maszynowy”, czyli wyrwijając za sobą cały rząd haków. Jeden z nich uderzył go w okulary, a te z kolei przecięły mu łuk brwiowy. Krew z rozciętego łuku brwiowego zalała mu oko.

- Kurwa! Nie mam oka! - oświadczył Teddy, wisząc w powietrzu na linie.

Tu nastąpiła kilkusekundowa pauza i Teddy odezwał się ponownie:

- No, kurwa, nie mam oka!

Po kolejnej pauzie Teddy oświadczył:

- Trudno. Będę wspinał się z jednym!

Po czym zaczął z powrotem podchodzić do góry. Gdy następnego dnia Teddy znowu wybierał się na wspinaczkę z obandażowaną głową, ktoś zadał mu pytanie:

- Jak ty się będziesz wspinał z jednym okiem?

- Jak to, jak? Na Juranda - odparł Teddy.

Innym sławnym wydarzeniem, w którym Teddy brał udział, choć nie sam, było powieszenie na drodze „Klasycznej” na Mnichu kasownika z PKS-u. Kasownik ten wisiał kilka lat, po czym tak spodobał się pewnej Angielce, że nie było wyboru. Trzeba jej było go sprzedać.

Teddy zginął tragicznie w górach. W czterosobowym zespole, powiązanym liną w „tramwaj”, prowadził ostatni, łatwiutki wyciąg na drodze Żuławskiego na Żabim Mnichu. Wyciąg ten wyprowadza jedynekowym zachodem na szczyt. Normalnie wszystkie zespoły zwijają już w tym miejscu asekurację i idą bez liny, ale zaczynała się burza i Teddy chciał szybko przejść przez szczyt. Prawdopodobnie na skutek uderzenia pioruna od grani szczytowej oderwał się spory głąz i spadając szarpnął za linę, ściągając Teddygo i jeszcze dwie osoby z zespołu. Wszyscy troje zginęli.



Jacek Bieriezin przekracza razem ze mną zieloną granicę w drodze pod Małego Młynarza. W tle Anioły i Dolina Żabich Stawów Białczańskich. Fot. Krzysztof Łoziński.

Doszło wtedy do jednego z najbardziej odrażających wybryków w historii polskiego alpinizmu. Podczas gdy całe środowisko przeżywało szok po śmierci trojga kolegów, w prasie ogólnopolskiej ukazały się napastliwe artykuły, postponujące głównie Teddy'ego. „Z parasolem na Żabiego Mnicha” - głosił jeden z tytułów, co według autorki miało świadczyć o całkowitym lekceważeniu gór. Czytelnik dowiadywał się też, że Teddy wspinał się w sandałkach na drodze „bardzo trudnej”. Tymczasem parasol rzeczywiście był, ale w plecaku. Wbrew mniemaniu części turystów, używanie parasola w górach to żadna hańba (większość alpinistów to robi), droga zaś była „bardzo trudna” tylko nominalnie. W starej, dawno nie używanej słownej skali, IV - to „bardzo trudno”, ale dla dzisiejszego sprawnego alpinisty trudności czwartego stopnia - to, wbrew nazwie, teren zupełnie łatwy, w którym nie każdy widzi potrzebę asekuracji. W wielkich ścianach takie odcinki przechodzi się często na żywca, w dodatku z worem na plecach, w ramach podejścia pod trudności.



Jadwiga Łozińska na grani Tatr Polskich. Fot. Krzysztof Łoziński.

Bardzo dobrze znam drogę Żuławskiego na Żabim Mnichu i nie widzę żadnego powodu, dla którego sprawny alpinista nie miałby jej przebyć w sandałkach, w skarpetkach lub nawet boso. Cała ta napaść miała trudny do prześledzenia podtekst polityczny. Ktoś tu coś, przeciw komuś, wygrywał, a

śmierć Teddy'ego była tylko pretekstem. PZA do dziś nie uznał za stosowne sprostować tej sprawy. Gdy później, już w wolnej Polsce, chciałem o tym napisać w „Taterniku”, by oczyścić z oplucia jednego z najlepszych i najporządniejszych ludzi z naszego środowiska, usłyszałem, abym sprawy nie ruszał, bo jest „polityczna”.



Bogdan Zalega pod Kazalnicą. Fot. Krzysztof Łoziński.

Na początku lat siedemdziesiątych pojawił się niezwykle zespół, który bardzo przyczynił się do zmiany całego stylu polskiego taternictwa. Byli to Dziadek (Andrzej Michnowski) i Kursant (Lech Skarżyński). Gdy opisywałem historię taternictwa lat siedemdziesiątych w jednym z rozdziałów przewodnika wspinaczkowego, tak scharakteryzowałem ten zespół:

„Styl działalności tego zespołu był kontrowersyjny. Z jednej strony reprezentowali oni znakomite możliwości techniczne i odporność psychiczną nie do zdarcia, co pozwalało na niezwykle błyskotliwe przejścia, z drugiej zaś

prowadzili zupełnie 'niesportowy' tryb życia i podejmowali działania nieraz szokujące ludzi widzących w Tatrach coś w rodzaju narodowej świętości oraz pragnących, by taternik był niemalże wzorem wszelkich cnót. To, między innymi, dzięki nim można było później dokonywać przejść zupełnie zwariowanych i niekonwencjonalnych. W pewnym momencie potrzebni byli ludzie, którzy powiesili w tatrzańskiej ścianie tetrową gaśnicę, zamiast pisać o 'przygodzie z liną, dziewczyną i śmiercią'[11] czy coś w tym stylu. Niewątpliwie zasługą Dziadka i Kursanta było przełamanie tabu ciężącego nad Czołówką Mięguszwieckiego i Kopy Spadowej[12] oraz nad wspinaniem solowym[13]."



Michał Wroczyński pod Szpiglasową Przełęczą. Fot. Krzysztof Łoziński

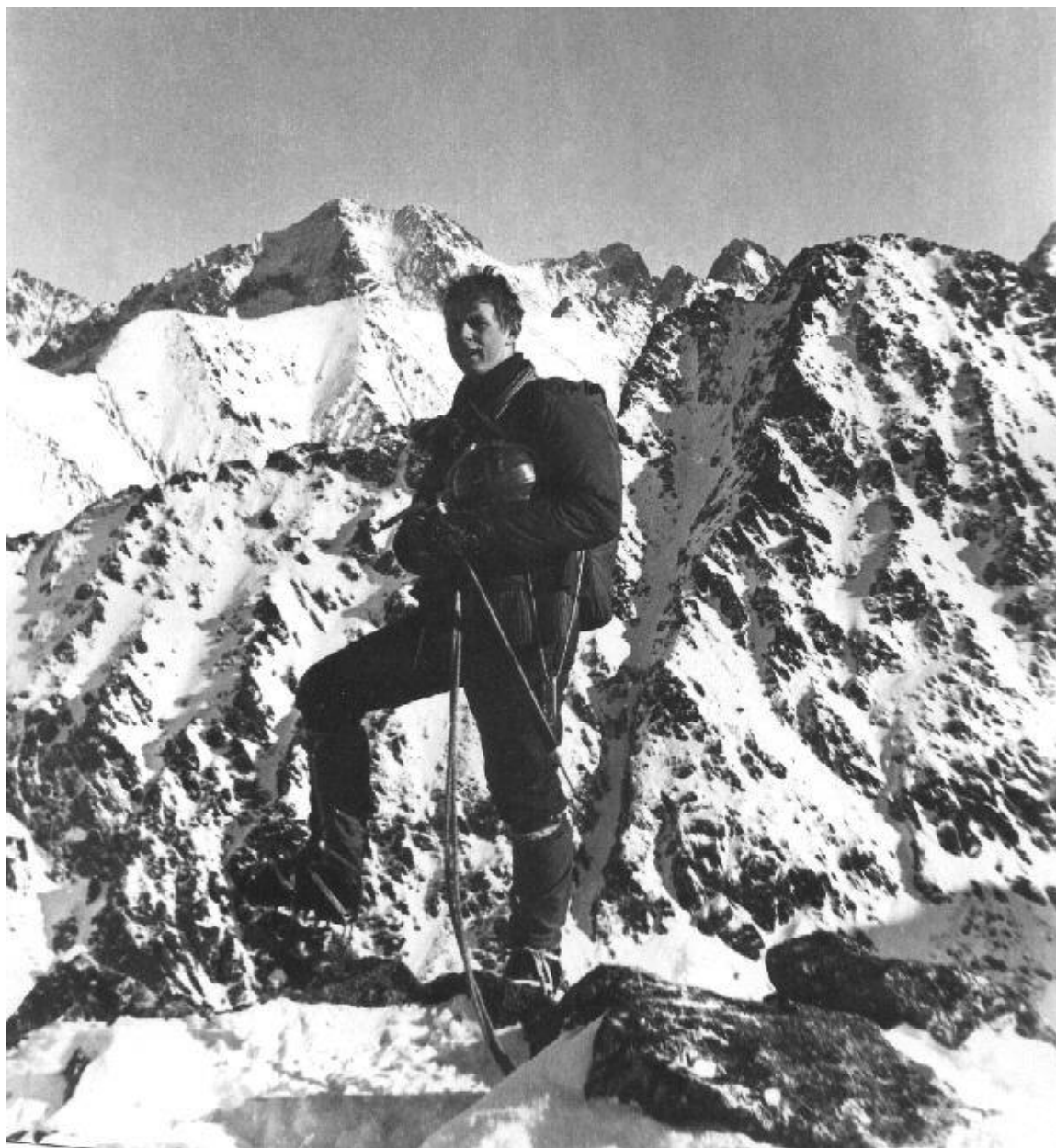
Przykładem ich niekonwencjonalnego trybu życia i sposobu uprawiania alpinizmu niech będzie to, w jaki sposób zostało zrobione pierwsze solowe przejście Filara Mięgusza. Była kiepska pogoda. Pod namiotem Dziadka i Kursanta odbywała się balanga, czyli mówiąc prościej, w gronie kilku osób

piliśmy wódkę. Po południu Kursant gdzieś zniknął, czego prawie nikt nie zauważył. Tymczasem on poszedł sobie solo na Filar Mięgusza, będąc „pod wpływem” i „po spożyciu”. Aby nie było mu smutno wspinać się samemu na tak długiej drodze, wziął ze sobą flaszeczkę, z której po drodze pociągał. Efektem ubocznym tego pociągania było to, że zrobił przejście dwudniowe, bo pod kopułą szczytową zaległ i przespał do rana.

Groza i wszeteczność! - zakrzykną moraliści. Jak można wspinać się pod wpływem alkoholu! A można, można. Reszta środowiska także nie była święta, tylko cierpiała na hipokryzję, co się objawia tym, że człowiek co innego robi, a co innego mówi. Dobrze pamiętam warszawskie balangi, w czasie których, będąc „pod wpływem i po spożyciu”, robiono trawersy na zewnątrz z okna do okna, i to na wysokich piętrach, podciągano się na rękach na zewnętrznych parapetach itp. Pamiętam też różne akcje „z Jasieniem na aussery[14]” w skałkach Jury, gdy po spożyciu przy ognisku sporej ilości wina „Jasień”, ruszano tłumnie i po nocy na skały, oczywiście bez żadnej asekuracji. Pamiętam też zakład o to, że można wypić całe wino w najtrudniejszym miejscu na „Spadających Gwiazdach” i to nie trzymając się rękami. Zakład zrealizowano w nocy i bez asekuracji.

Starsze pokolenie też było święte tylko w gadaniu, ale na Dziadka i Kursanta spadały gromy potępienia, bo robili jawnie to samo, co wszyscy po kryjomu. Oni jednak zupełnie się tymi gromami nie przejmowali i chwala im za to. Robiąc nową drogę na Kopie Spadowej, zwinęli ze schroniska gaśnicę i powiesili ją w ścianie. Ta gaśnica figuruje do dziś we wszystkich przewodnikach, jako charakterystyczny punkt orientacyjny. Na Żabim Niżnim zrobili drogę pod nazwą „Hej ho!”. Kluczowym momentem tej drogi jest skok do chwytu nad przewieszką, którego nie widzi się jeszcze w momencie, gdy się skacze. Jak skoczy się źle, i w chwyt nie trafi, to się spada. Jaką trzeba było mieć żelazną psychikę, by po raz pierwszy skoczyć, nie wiedząc czy tam w ogóle jest jakiś chwyt?

Mało kto dziś pamięta, dlaczego tak zwana „Prawa Dziadkówka” na Czołówce Mięgusza została przez Dziadka i Kursanta nazwana „Wielki Kac”. Oni rzeczywiście poszli robić tę drogę na kacu i musieli zrobić drogę całkowicie klasyczną, bo rzeczywiście, z powodu kaca, zapomnieli ławeczek[15].



Jan Wolf jako mój zimowy kursant na szczycie Żabiego Niżniego. Ok. 1970 r. Fot. Krzysztof Łoziński.

Nie chcę, by czytelnik odniósł wrażenie, że Dziadek i Kursant nic nie robili, tylko pili. Oni zresztą wcale nie pili więcej, niż wiele innych osób, które chcą być dziś uważane za pomniki tylko z tego powodu, że się zestarzały. To zresztą nigdy nie było u nich typowe polskie ponure zapijanie się w trupa zakończone budzeniem się pod płótem lub z twarzą w kotlecie panierowanym. To był po prostu swobodny styl życia połączony z właściwym dla mojego pokolenia odruchowym buntem przeciw ponurej rzeczywistości, jaka nas otaczała.

Kursant zginął w górach. Z jego śmiercią łączy mnie pewien niezwykle splot okoliczności, o którym opowiem ku przestrodze dla młodzieży, by pokazać, że w tym sporcie śmierć kosi niczym na wojnie, więc jeśli ktoś na zabawę w alpinizm się decyduje, to powinien być tego świadomy.

Najpierw jednak muszę wspomnieć o jeszcze jednej postaci z początku lat siedemdziesiątych - o Włodku Kajce.

Włodek był niezwykle pogodnym człowiekiem. Jego po prostu nie można było nie lubić. Należał do tych taterników, którzy od razu zaczęli się wspinać bardzo ostro i też niemal od razu, zaledwie po kilku sezonach, zginęli w górach. Niestety taki życiorys górski jest dość typowy.

Z Włodkiem wspinałem się tylko raz, ale też zrobiliśmy drogę znaczącą: wyprostowanie „Kurtykówki” na Małym Młynarzu. Właściwie nie jest to samodzielna droga, a raczej trzy oddzielne warianty prostujące do „Kurtykówki”, ale gdy robi się drogę naszymi wariantami, to jest ona zdecydowanie mocniejsza od oryginału.



Autor w ścianie Kazalnicy na początku lat siedemdziesiątych. Fot. archiwum autora.

„Kurtykówka” uchodziła wówczas za tatrzański rekord trudności. Była pierwszą drogą w Tatrach wycenioną jawnie na VI+. Poszliśmy z Włodkiem robić bodajże piąte przejście tej drogi i wcale nie planowaliśmy niczego

prostować. Powaga normalnej „Kurtykówki” była wówczas zupełnie wystarczająca. Przeszliśmy normalnie pierwszy wyciąg i ze stanowiska nad nim, zamiast trawersować w prawo, poszliśmy prosto w górę. Nie z powodu zapędów do prostowania, tylko przez pomyłkę. Najpierw wystartował Włodek, ale po kilku metrach spadł. Zamieniliśmy się. Przeprowadziłem kilkanaście metrów i też spadłem, ale wcześniej zdążyłem wbić hak, więc mój urobek nie został zmarnowany. Znow się zamieniliśmy i Włodek dokończył wyciąg, dochodząc do skośnej załupy, która wyprowadziła nas z powrotem do właściwej drogi. Następny wyciąg przeszliśmy normalnie i wyszliśmy na wielką półkę, z której zaczynały się dwa kluczowe wyciągi drogi wyprowadzające pod „dziobek”. Ów „dziobek” to był po prostu wystający ze ściany trapezowaty blok, który trzeba było pokonać jak przewieszkę. To właśnie na nim miało być to sławne miejsce VI+. Włodek popatrzył krytycznie i spytał, czy nie można by dojść pod „dziobek” mniejszymi zakosami. Okazało się, że można i tak powstał drugi prostujący wariant, z lewego końca półki wprost w górę. Te dwa warianty były tak mocne, że „dziobek” okazał się od nich łatwiejszy i specjalnie go nie odczuliśmy.

Pod koniec drogi jest takie miejsce, z którego trawersuje się w prawo do drogi Korosadowicza, czyli praktycznie do łatwego terenu. W tym miejscu ja postanowiłem spróbować, czy aby nie puści prosto do góry. Puściło, choć nie było tam już tak trudno. Z tego, co pamiętam po latach, nie było więcej jak V+.

To było nasze jedyne wspólne przejście. Rok później Włodek zginął w Alpach. Nie w czasie wspinaczki. Utopił się w potoku.

Włodek pochodził z Garwolina, a należał do klubu lubelskiego. Był jednym z dwóch taterników z Garwolina. Drugim był Janusz Huńczak, człowiek którego znałem dość słabo, ale właśnie przez Włodka. Janusz zginął razem z partnerem, którego w ogóle nie znałem. Spadli obaj w zimie z północnej ściany Mięguza.

Kilka lat później pracowałem w Garwolinie w szpitalu psychiatrycznym. Byłem wychowawcą na oddziale odwykowym dla narkomanów. Tam właśnie odnalazła mnie matka Włodka Kajki, która od kogoś dowiedziała się, że go znałem. Wtedy okazało się, że w administracji szpitala pracuje matka Janusza Huńczaka. Ona też chciała ze mną rozmawiać. Rozmowy z matkami zmarłych kolegów nie należą do przyjemności, a ja miałem tego dnia za sobą dwie takie rozmowy, więc wychodziłem z pracy w dość podłym nastroju.

Pracowałem w Garwolinie, ale mieszkałem w Warszawie i po pracy wracałem do domu autostopem. Tego dnia złapałem Nyskę jadącą z Lublina, którą jechało kilka nieznanymi mi osób. Powiedzieli, że mogą mnie podwieźć, ale chcą jeszcze wstąpić na chwilę na cmentarz w Garwolinie. Okazało się, że jedna z pasażerek Nyski, młoda, ładna dziewczyna, chce odwiedzić dwa groby. Niczego nie podejrzewając poszedłem z nimi na cmentarz. Były to groby Włodka i Janusza. Nic wówczas nie powiedziałem, że ich znałem. Naprawdę miałem już tego dnia dosyć makabrycznych rozmów.

Później przyszła zima i dowiedziałem się, że w Tatrach zaginęły trzy osoby: Kursant, żona partnera Huńczaka, który zginął razem z nim na północnej Mięgusza, i jeszcze jeden chłopak, którego nie znałem. Pojechałem w góry i brałem udział w akcji. Szukaliśmy głównie pod Mięguszem, bo ktoś pamiętał, że oni poszli zapalić znicze pod północną ścianą. Nic nie znaleźliśmy, bo szukaliśmy w złym miejscu. Dopiero wiosną znaleziono ich ciała wtopione w lód Czarnego Stawu. Asystowałem goprowcom w makabrycznych czynnościach wyciągania ich ze stawu. Gdy zobaczyłem twarz dziewczyny, poznałem, że to właśnie z nią byłem na cmentarzu w Garwolinie.

Nie chcę, by czytelnik odniósł wrażenie, że wszyscy moi koledzy zginęli w górach. Wielu z nich jednak żyje do dzisiaj. Mimo to trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że uprawianie alpinizmu, zwłaszcza na wyczynowym poziomie, jest szalenie niebezpieczne. Samooszukiwanie się, że tak nie jest, niczemu nie służy. Tu chyba nie da się uniknąć pytania czy warto. Czy warto aż tak ryzykować? Myślę, że odpowiedź na to pytanie jest sprawą indywidualną i każdy powinien znaleźć własną. Powinna to być jednak kwestia świadomego wyboru. Ryzyko jest ceną za to, że góry dostarczają człowiekowi niezwykłych i wyjątkowo intensywnych przeżyć. Doznanie tych przeżyć bez ryzyka jest niemożliwe. Jest to też kwestia wyważenia proporcji i oceny. Pewne niebezpieczeństwo związane jest z samym przebywaniem w górach. To jest ten stan minimum. Ale im mniej jest się w górach aktywnym, tym mniejszych wrażeń się doznaje. Im więcej się ich pragnie, tym bardziej się ryzykuje. I tu właśnie trzeba wyważyć indywidualną proporcję między tym, czego chce się doznać, a tym, jak bardzo chce się ryzykować.

Ale czy ryzyko w ogóle jest potrzebne? Oczywiście, zawsze można zostać w domu, ale gdyby nie było ludzi, którzy podejmują wyzwania, to świat stałby w miejscu. To też kwestia wyboru. Można nie ryzykować nie tylko w sensie fizycznym, można też nie podejmować żadnych kontrowersyjnych działań, nie wyłamywać się z szeregu i przez to nie narażać się na żadną krytykę. Ale w takim przypadku nie należy mieć po latach pretensji, że zostało

się niezauważonym lub zapomnianym. Jeden z autorów napisał: „zwyciężyć, znaczy przeżyć”, a ja myślę że samo przeżycie to trochę za mało. Warto by jeszcze zrobić coś godnego uwagi.

Moje pokolenie powtarzało, jak zaklęcie: przy prawidłowej asekuracji nic się nie może stać. Tymczasem wypadki, które opisałem, pokazują, że jest to nieprawda. Teddy asekurował się prawidłowo i to w miejscu, gdzie wszyscy uważają, że w ogóle ubezpieczać się nie potrzeba. Mało tego, gdyby w ogóle nie był związany liną, to zapewne nic by się nie stało. Urwany blok przeleciałby za jego plecami i nikogo nie porwał. Włodek, Kursant i para, która z nim była, zginęli na dnie doliny. Wypadek w górach, tak samo jak każdy wypadek (na drodze, na budowie itd.), ma to do siebie, że nie sposób go przewidzieć, i nigdy nie jest się na niego przygotowanym. Mnie i moim kolegom nikt tej prawdy nie uświadomił. Myśmy nie dokonywali żadnego świadomego wyboru. Ciągnęły nas góry, ciągnęła wielka przygoda i zachęcała naiwna wiara, że nam nic nie może się stać. Jest takie powiedzenie: jak wykazuje doświadczenie, zabijają się zawsze inni. W pewnym sensie dość długo właśnie tak myślałem.

Bracia Wroczyńscy, jedni z pierwszych moich górskich kompanów, jeszcze ze szkoły, przeżyli długotrwałe uprawianie alpinizmu, ale jeden z nich, Michał, miał w 1970 roku bardzo poważny wypadek w skałkach. W czasie zjazdu spadł razem z liną kilkanaście metrów. Urwało się stanowisko zjazdowe. Michał miał dosłownie potrzaskane obie nogi i połamaną miednicę. Rok później, w krótki czas po zdjęciu ostatniego gipsu, przyjechał do Zakopanego. Byliśmy z Krzyśkiem i Piotrkiem na Hali Gąsienicowej. Michał zadzwonił do nas z dworca i oświadczył, że jest w Zakopanem i dobrze by było, gdybyśmy pomogli mu dojść na Halę. Szliśmy z nim sześć godzin przez Boczań. Michał z trudem przestawiał nogi, ale się zawziął. Gdy dochodziliśmy do Betlejemki, ktoś ze stojących w wejściu do schroniska taterników, widząc ledwo kuśtykającego Michała, zapytał: „Co? Nowe buty?”. „Nie, nowe nogi” - odpowiedział Michał.

Przypisy:

1] Nieprzyaucony - to znaczy nie przywiązany do żadnego stałego punktu, na przykład haka.

[2] Zdeteriorowany - wyniszczony długotrwałym przebywaniem na dużej wysokości.

[3] Prusik - węzeł samozaciskowy, stosowany między innymi do autoasekuracji w czasie zjazdu.

[4] Nawet największy lot, w którym nic się nikomu nie stało, nie jest wypadkiem. Nie można na przykład powiedzieć, że Zbyszek Czyżewski w czasie pierwszego klasycznego przejścia drogi Fereńskiego na Mniechu miał 11 wypadków, bo tyle razy latał. Skoro nic mu się nie stało, to wypadku nie miał.

[5] Namche Bazaar - miejscowość w Solo Khumbu w Nepalu. Takie himalajskie Zakopane.

[6] Jiri - miejscowość w Nepalu, najdalsza, do której docierał autobus. Z Jiri w góry szło się piechotą tydzień.

[7] Mietek zginął na drodze „Talon na Balon” na Turni Zwornikowej, odpadając z ruchomym blokiem. Darek spadł ze starym hakiem w czasie zjazdów z „Czarnego Zacięcia”.

[8] Jest to najstarsze schronisko w Tatrach, postawione w 1873 roku przez Towarzystwo Tatrzańskie.

[9] Kostki i friendy - nowoczesne urządzenia do asekuracji w skale, które częściowo wyparły stosowane wcześniej haki. Kostek i friendów nie trzeba wbijać, tylko klinuje się je w szczelinach.

[10] Nie mitoman, tylko nitoman, od nitów, czyli haków specjalnych, umieszczanych w wywierconych w skale otworkach. Jedynki to rodzaj bardzo małych haków specjalnych.

[11] Aluzja do megalomańskiej twórczości Jaszczka.

[12] Według wcześniejszych wyobrażeń obie czołówki należały do ścian, po których „się nie chodzi”.

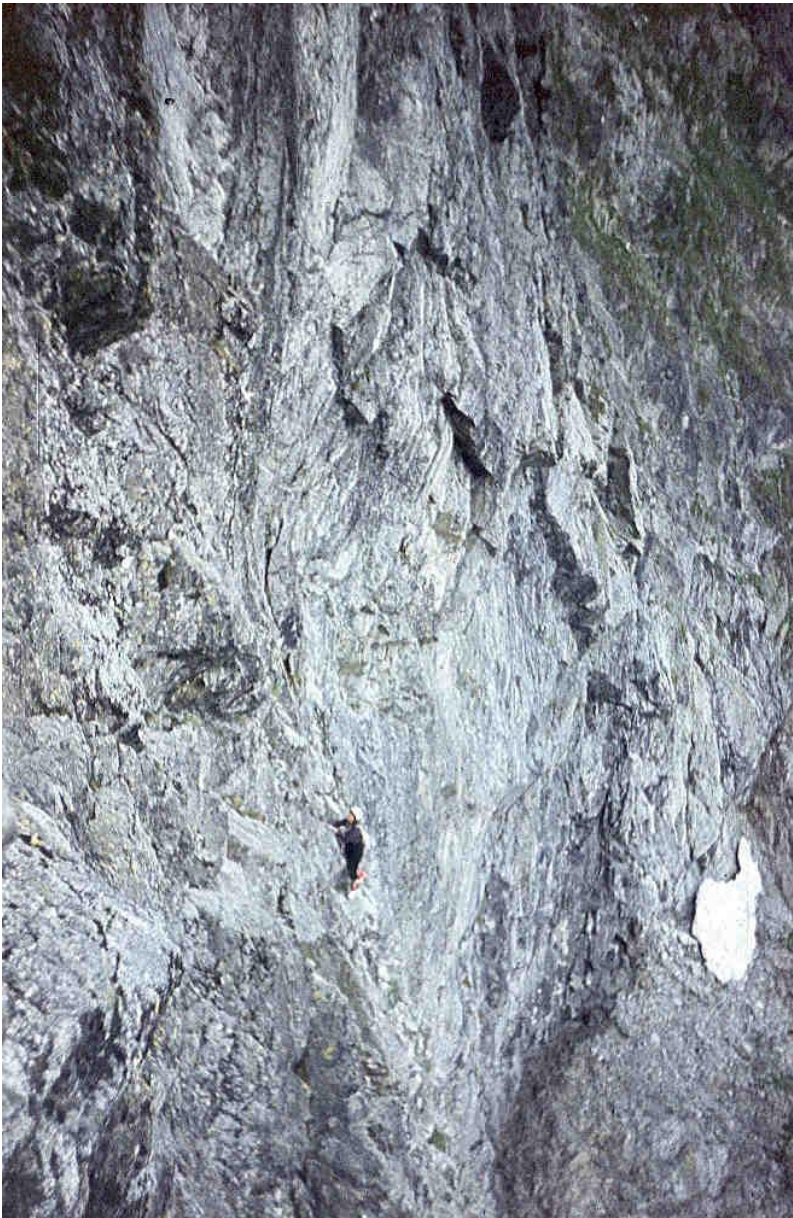
[13] Prawie do końca lat siedemdziesiątych wspinanie solowe było przez zarząd PZA zakazane. Zakaz ten upadł w końcu przez powszechne zlekceważenie, choć formalnie go nigdy nie odwołano.

[14] Ausser - trudny wariant.

[15] Ławeczki - element sprzętu niezbędny do stosowania techniki sztucznych ułatwień. Przy wspinaczce klasycznej sprzęt służy tylko do asekuracji.

Solówki, „żywczyki”, nowe drogi

Najważniejszą częścią mojej działalności alpinistycznej było wspinanie solowe. Przeszedłem solo w sumie ponad trzysta dróg w Tatrach (jak mi się kiedyś udało pracowicie podliczyć) i co nieco w innych górach. Wspinanie solowe z czasem stało się normalną odmianą alpinizmu, jednak w początku lat siedemdziesiątych i w Polsce było wyłomem wobec niemal wszystkich świętych i nienaruszalnych zasad.



Z solowego przejścia drogi Orłowskiego na północnej ścianie Mięgoszowieckiego Szczytu Pośredniego. Fot. z archiwum autora.

W 1974 roku zacząłem systematycznie wspinać się solo. Wcześniej ten rodzaj alpinizmu przeżywał w naszym kraju długotrwały regres. Panował pogląd, że solówki są prawie równoznaczne z samobójstwem i były one nawet zakazane przez zarząd Klubu Wysokogórskiego.

W historii polskiego taternictwa wspinano się solo już wcześniej i to nawet dużo wcześniej, ale były to właściwie odosobnione wybryki. Do historii przeszedł Leporowski, który przebył samotnie kilkanaście trudnych, jak na jego czasy, dróg. Leporowski jednak zginął w czasie solowej wspinaczki i w ten sposób zrodziło się przekonanie, że wspinanie solowe - to prosta droga na cmentarz. Wyznawcy tego poglądu nie uwzględniali pewnego szczegółu. Leporowski zginął nie dlatego, że wspinał się samotnie, tylko dlatego, że wspinał się bez asekuracji.

Sporadyczne przejścia solowe zdarzały się i później, ale były to na ogół przejścia dróg łatwych i krótkich. Z pewnymi jednak wyjątkami, jak na przykład pierwsze przejście solowe północnej ściany Mięguszowieckiego Szczytu, dokonane przez Jana Długosza, które jednak nie znalazło wówczas naśladowców. Drugie przejście solowe tej ściany zrobiłem dopiero ja dwadzieścia lat później.

Istną perłą tego okresu prehistorii solówek było samotne przejście „Wariantu R” na wschodniej ścianie Mnicha, zrobione przez Gienka Chrobaka. Był to jednak wyczyn całkowicie odosobniony i dzięki osobliwemu zwyczajowi redakcji „Taternika” nie publikowania informacji o przejściach solowych został szybko zapomniany.

Ten okres prehistorii solówek zamyka tragiczna próba przejścia drogi Łapińskiego i Paszuchy na ścianie Kazalnicy, w trakcie której zginął szczeciński taternik Cezary Mielczarek.

Ten wypadek przypieczętował w powszechnej świadomości opinię, że solówki - to czyste samobójstwo i sprowokował uchwałę zarządu Klubu Wysokogórskiego całkowicie zakazującą uprawiania alpinizmu solowego.

Kiedy później starałem się wytłumaczyć, na czym polegał przełom 1974 roku, to miałem z tym pewne trudności. Moi rozmówcy mówili najczęściej: „Przecież już wcześniej wspinano się solo.”

To prawda, wcześniej też wspinano się solo. Ja też już wcześniej wspinałem się samotnie. Przeszedłem na przykład Grań Kościelców w obie strony, Płytę Lerskiego i Filar Staszla[1], ale te drogi można uważać za

taterniczkę tylko na Hali Gąsienicowej. Już w Morskim Oku nikt by takiego włączenia się po kamieniach nie uważał za wspinaczkę.

To, co stało się latem 1974, to była zupełnie nowa jakość. Najpierw ja, potem jeszcze trzech innych taterników, a potem coraz liczniejsza grupa zaczęła wspinać się solo systematycznie po coraz trudniejszych ścianach, dochodząc bardzo szybko do pokonywania nawet skrajnych trudności na modernistycznych drogach. Robiliśmy to jawnie, przełamując obowiązujący ciągle zakaz i pomimo szeregu restrykcji, takich jak skreślanie nas z wyjazdów zagranicznych, pomijanie naszych przejść w „Taterniku” itp.

Po kilku latach konserwatyści z zarządu Klubu Wysokogórskiego, a później PZA, musieli w końcu ustąpić, bo solówki zyskały taką popularność, że - utrzymując restrykcje - musieliby wykreślać z wyjazdów i wypraw prawie wszystkich taterników.

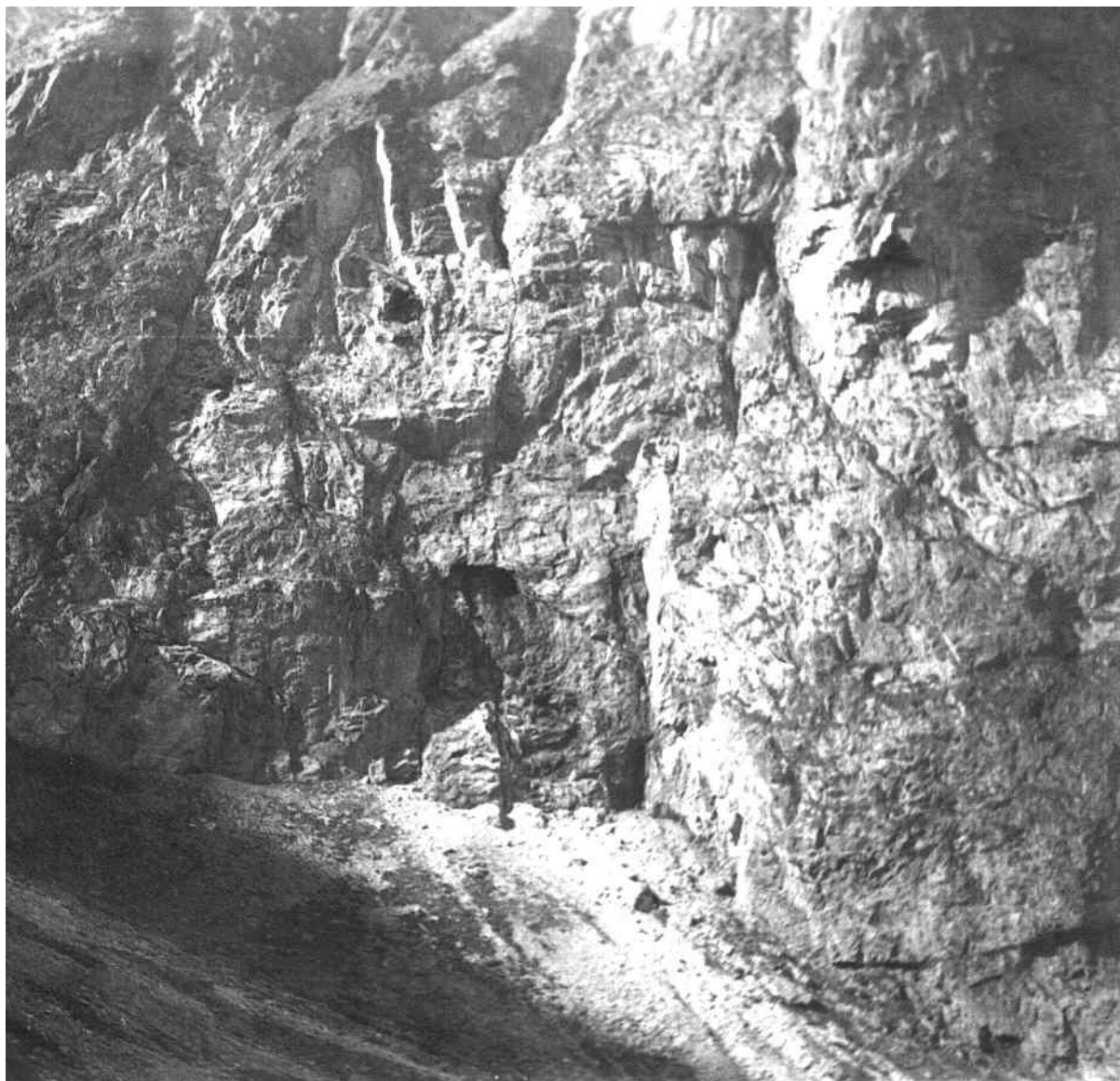
Decyzja rozpoczęcia wspinania solowego wiązała się z szeregiem problemów zupełnie praktycznej natury. Przez to, że Polacy całe lata nie wspinali się solo, nikt z nas nie wiedział, jak to właściwie robić. Po pierwsze nikt nie wiedział, jak się na solówkach asekurować.

Jedynym właściwie źródłem wiedzy na ten temat był niezwykle lakoniczny opis systemu „Z” w książce Bonattiego „Moje góry”. Z opisu tego jednak więcej się trzeba było domyślić, niż naprawdę było wiadomo. Nie było rady. System asekuracji trzeba było sobie samemu opracować. Dlatego przez cały pierwszy solowy sezon wspaniałem się po łatwych drogach, ucząc się systemu asekuracji. Otwarcie mówiąc dziś wiem, że miałem bardzo dużo szczęścia. „Patenty” jakich wówczas używałem nie miały prawa wytrzymać żadnego lotu.

Wspinanie solowe dojrzywało we mnie od pewnego czasu. Przede wszystkim nie mogłem dogadać się z partnerami. Po prostu miałem ciągle inne pomysły niż oni. Dlaczego? Oceniając sprawę po latach, myślę, że ja po prostu mam naturę solisty. Spróbuję rzecz wyjaśnić, uciekając się do pojęć z fizyki.

W fizyce kwantowej wyróżnia się dwa rodzaje cząstek elementarnych: bozony i fermiony. Bozony - to takie, które zawsze dążą do bycia w tym samym stanie co pozostałe bozony, a fermiony odwrotnie. Jeśli jeden fermion ma już określony stan kwantowy, to następny musi już być w innym. Z ludźmi jest podobnie. Są tacy, co - jak bozony - muszą wszystko robić tak samo, jak

inni. Będą tak samo się ubierać, przestrzegać przyjętych norm postępowania, dzielić obiegowe sądy. Ale są też fermiony, skrajni indywidualiści. Ci właśnie mają naturę solistów.



Urwiska Kotła Kazalnicy i "lewej" Kazalnicy. Fot. Krzysztof Łoziński.

W alpinizmie ci pierwsi będą chodzić na drogi, które „się liczą”, które robić wypada, bo wszyscy je robią i wszyscy oczekują od pozostałych, że je robić będą. Ci drudzy natomiast będą na każdym kroku łamać wszelkie normy. To nie jest podział wartościujący.

Jedni i drudzy są na swój sposób potrzebni, choć nigdy się ze sobą nie dogadają. Pierwsi nigdy nie wpadną na pomysł zrobienia nowej drogi (chyba że ktoś im podpowie), ale z drugiej strony, są bardzo cennymi uczestnikami wypraw. Solista może być na wyprawie tylko kierownikiem, bo inaczej ją rozwali. Ale kierownik właśnie musi taki być. Gdyby się cały czas oglądał na zdanie innych, wyprawa po prostu by ugrzęzła w niemożności i braku koncepcji.

I tu dochodzimy do odpowiedzi na pytanie, dlaczego ciągnęły mnie solówki. Taką już mam osobowość, że najlepiej się czuję, gdy o wszystkim mogę decydować sam. W takich warunkach funkcjonuję bardzo dobrze. To nie znaczy, że nie potrafię zupełnie funkcjonować w zespole. Potrafię, ale znacznie mniej mi to odpowiada.

Dokąd wspinałem się w zespołach, ciągle musiałem iść na jakieś kompromisy. Gdy w końcu zacząłem się wspinać solo, poczułem się tak, jakbym odzyskał wolność. Nareszcie mogłem robić to, co chciałem i nie musiałem nikogo do swoich koncepcji przekonywać.

Przyczyny, dla których zacząłem chodzić na solówki, bardzo szybko przestały być dla mnie ważne. Już po pierwszych kilku drogach byłem całkowicie zafascynowany tym rodzajem wspinania. Nagle odkryłem zupełnie inny alpinizm i to zupełnie inny nie tylko od strony technicznej. Solowe wspinanie dostarcza całkowicie innych przeżyć. Inaczej odbiera się te same góry i te same drogi. Jeśli, kolego, nigdy nie wspinałeś się solo i wyobrażasz sobie, jak to jest, to wiedz, że prawie na pewno wyobrażasz sobie źle.

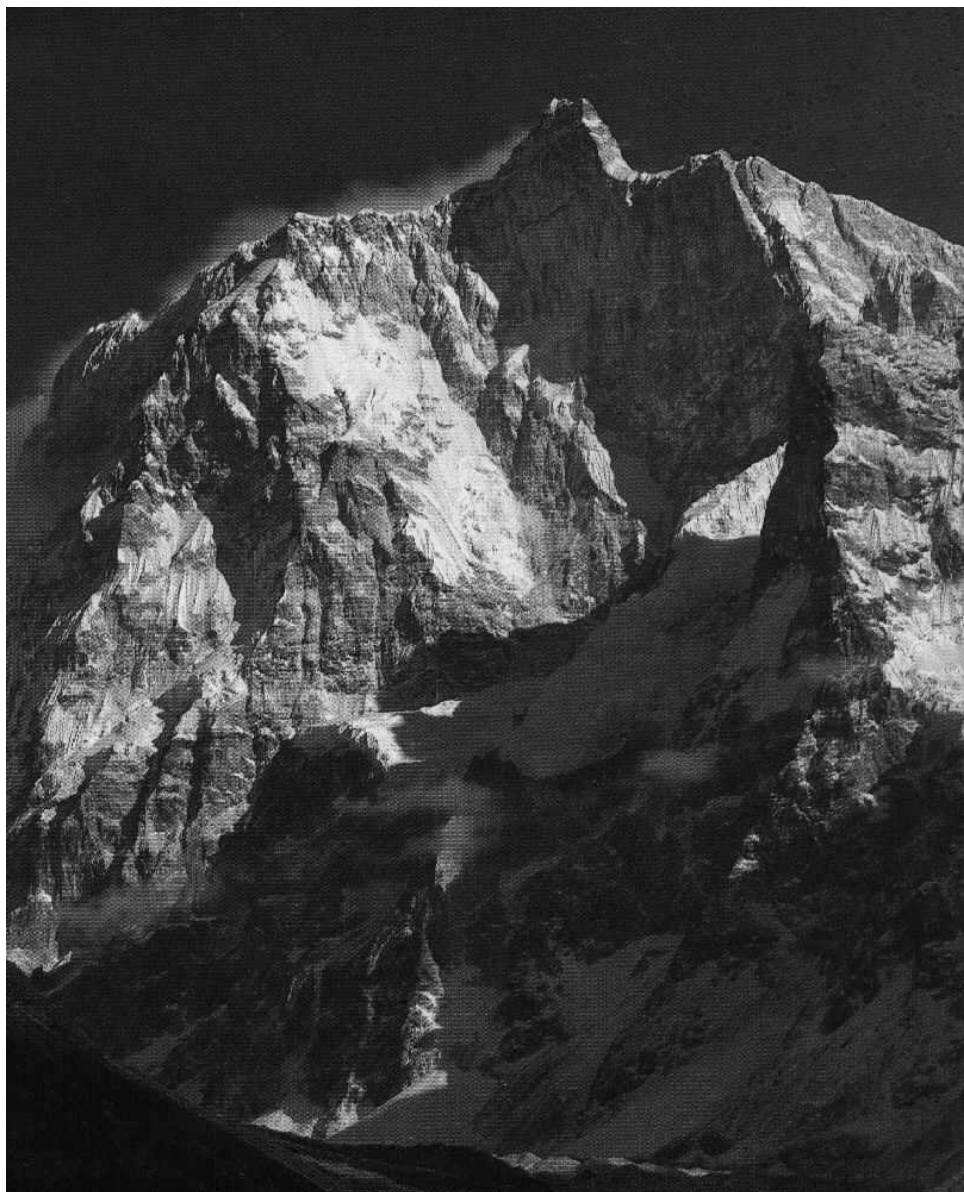
Zacznijmy od tego, że brak partnera powoduje zupełnie inną koncentrację i kontakt z otoczeniem. Zaczyna się to już od podejścia. Wstaję bardzo wcześnie, często przed świtem, i samotnie podchodzę pod ścianę. Nie mam z kim rozmawiać, więc zachowuję się cicho i dlatego spotykam dużo więcej zwierząt niż zwykle. Okazuje się, że można prawie nadepnąć na świstaka, który do góry brzuchem wyleguje się w porannym słońcu, że kozice nie chcą zejść ze ścieżki i trzeba się z nimi prawie przepychać, bo stado kilkunastu kozic zupełnie nie boi się samotnego człowieka. Wiedzą, że są silniejsze, bo jest ich więcej. Gdy jestem już w ścianie, często przylatują w pobliże ptaki, tak jakby chciały mnie oglądać i komentują moją obecność głośnym świergotem, zupełnie jakby wymieniały między sobą uwagi: Patrzcie no, panie Świrku, co to nam wlazło na te nasze skały!



Filar Kazalnicy widziany ze ściany Kotła Kazalnicy. Fot. Krzysztof Łoziński.

Solista przebywa w ciszy i przez to inaczej odbiera otoczenie. Słyszy na przykład bardzo ciche dźwięki, na które normalnie nie zwraca się uwagi, jak skrzypienie butów, szelest kurtki, stukanie sprzączek od plecaka. Słyszy też dźwięki dochodzące z bardzo daleka. Pamiętam, jak po samotnym biwaku w zimie pod szczytem Mięgusza, czekałem aż dojdą do mnie promienie słońca i

mróz pozornie zelżeje. Słyszałem bardzo wyraźnie dźwięki budzącego się schroniska w Morskim Oku: szczekanie Bariego, Dziunię rugającą kucharki, skrzypienie drzwi. A przecież byłem dobre dwa kilometry od nich.



Jednym z największych wyczynów światowego alpinizmu solowego było zdobycie przez Tomo Cesena północnej ściany Jannu (7710 m). Fot. z archiwum autora.

Solista asekurujący się systemem „Z” poruszał się praktycznie trzy razy wolniej niż normalny zespół dwójkowy, a to miało z kolei szereg konsekwencji. Znacznie wzrastał wysiłek fizyczny i czas przejść. W praktyce najczęściej ostatnie wyciągi drogi przechodziłem po prostu „na żywca”, bo nie

miałem już siły dreptać po każdym w tę i z powrotem trzy razy. Poświęcałem bezpieczeństwo dla szybkości.

Inna sprawa różniąca wspinanie solowe od zespołowego - to wysiłek. Tak, jakby nagle te same góry zrobiły się trzy razy większe. W tamtych latach dominował system asekuracji „Z”. Polegał on na tym, że solista mocował linę do stanowiska, wieszał na niej plecak stanowiący „w razie czego” jego przeciwwagę (plecak musiał być ciężki, bo inaczej system asekuracji nie działał) i szedł do góry, wbijając haki przelotowe i wpinając do nich linę, po której przesuwiał jakiś przyrząd samozaciskowy. Po dojściu do końca liny trzeba było założyć stanowisko i zjechać na linie do początku wyciągu, aby przejść cały wyciąg jeszcze raz, tym razem wybijając haki. W ten sposób każdą długość liny przebywano trzy razy: do góry, na dół i jeszcze raz do góry.

Muszę przyznać, że kilka razy ta metoda „bezpieczeństwo za szybkość” omal nie skończyła się wypadkiem. Na drodze Kurczaba, na wschodniej ścianie Miękusowieckiego Szczytu, cierpliwości do trzykrotnego dreptania starczyło mi na jakieś trzy wyciągi nad „turniczkę”, a więc do miejsca, gdzie trudności drogi już wyraźnie maleją. Na ogół nie jest już tam trudniej niż III do IV w skali tatrzańskiej, aż do miejsca, gdzie droga wyprowadza na ostrze północnego filara. Tam właśnie jest jeszcze jakieś dziesięć metrów solidnej „piątki” nad blisko pięćsetmetrowym luftem. Wspinałem się już dobre pół godziny bez asekuracji i byłem coraz mniej skoncentrowany. Czułem bliskość szczytu i byłem w stanie pewnej euforii zwycięstwa. Pionowy piątkowy uskok zaatakowałem z marszu z ciężkim i nie najlepiej wyważonym plecakiem. Niby wszystko powinno być w porządku. Przecież sprawny taternik nie spada z tatrzańskiej piątki (musiałby się ze wstydu kamieniem dobić).

Na ostatnich metrach uskoku, gdy widziałem już nad sobą kładący się teren, nagle noga ześlizgnęła mi się ze stopnia, plecak przekręcił się do pozycji niemal poziomej i całkowicie straciłem równowagę. Niespodziewanie zawisłem tylko na lewej ręce, z obydwojema nogami w powietrzu, z niemiłosiernie ciągnącym do tyłu plecakiem nad pięćsetmetrową ekspozycją. Gdy już wykaraskałem się z tej sytuacji, co wcale nie było proste, przesiedziałem na półce nad trudnościami dobre dziesięć minut „dochodząc do zdrowia psychicznego”. To niebywałe przeżycie poczuć nagle coś, co najlepiej jak dotąd określił Joe Simpson: „dotknięcie pustki”. Człowiek wspina się już po zwycięstwo, zadowolony z siebie, w dobrym nastroju i nagle, jakiś nieostrożny krok, jakiś zły ruch i nie mija nawet sekunda, gdy całkowicie

odchodzi ochota do żartów, twarz pokrywa się potem, a na karku niemal fizycznie czuje się lodowatą łapę kostuchy.



Wspinam się samotnie w czasie pierwszego przejścia drogi "Dynamiczny Rozwój" na lewym filarze Mniszka (w dolnej części zdjęcia, strzałka). Trudności V - VI+. Zdjęcie wykonano z Zadniej Galerii Cubryńskiej. Z archiwum autora.

O przejściach solowych bardzo trudno jest opowiadać. Nie ma tego, co nadaje dramaturgię górskim opowieściom: dialogów między partnerami, ich konfliktów i wzajemnych odniesień.

Pozornie przejścia solowe są beznadziejnie nudne. Z punktu widzenia potrzeb narracji nic się w ich trakcie nie dzieje.

Ludzie, którzy nie wspinali się samotnie, wyobrażają sobie, że solista przeżywa ciężkie stresy. Nic bardziej błędnego. To raczej obserwatorzy z boku lub spod ściany doznają silnych przeżyć. Gdy przechodziłem najtrudniejszy odcinek „Szarego Zacięcia” na Czołówce MSW[2], obserwował mnie spod ściany kolega. Później, na taborisku, powiedział mi, że mało nie zemdłał, jak widział, co ja wyprawiam. Tymczasem ja w tym miejscu nie denerwowałem się wcale.

Solista jest niemal idealnie skoncentrowany na wspinaniu, bo nic go nie rozprasza. Uwaga zaprzątnięta jest sprawami czysto technicznymi, ile wybrać luzu, by nie zostać w trudnym miejscu przytrzymanym przez linę, gdzie wbić hak itp. Odkrywa się przy tym jakieś nieznanne wcześniej stany świadomości zapewne wywołane przez całkowity psychiczny spokój. Wielokrotnie w czasie samotnej wspinaczki recytowałem w myślach wiersze, i to nawet takie, których nigdy nie uczyłem się na pamięć. W czasie przejścia drogi Świeża na wschodniej ścianie Mięgoszowieckiego Szczytu przypominałem sobie pełny tekst „Trzech Budrysów” Mickiewicza, choć poprzednio czytałem ten utwór w dzieciństwie i nigdy go się nie uczyłem. Dlaczego akurat „Trzech Budrysów”? A bo ja wiem?

Uprawiałem alpinizm przez pięćdziesiąt lat[3], oczywiście z przerwami, jakie fundował mi od czasu do czasu tak zwany realny socjalizm, czyli pobytami w więzieniu lub w wojsku, które niewiele różniło się wówczas od więzienia. Przez te lata odbyłem kilkaset wspinaczek, z czego większość solo. Mimo to niewiele mogę o tym opowiedzieć, poza tym, że w czasie ogromnej większości przejść prawie nic się nie działo.

Oczywiście są ludzie, którzy mogą całe dni opowiadać w stylu: tu chwyt, tu stopień, a tu ryska. Tylko inni ciężko tolerują takie opowieści. Przez pewien czas mieszkałem na taborisku w Morskim Oku po sąsiedzku z namiotem Młodego i Wacka, w czasie, gdy nie byli oni jeszcze wielkimi antagonistami. Z ich namiotu dobiegało od rana do wieczora: „najpierw kominek, potem przewieszka, dalej zaciątko, a ten się łapał haka, a ten się nie łapał, a tam była taka pętka...” Już po kilku dniach mieszkańcy sąsiednich namiotów nie mogli tego wytrzymać. Gdy Wacek z Młodym rozpoczynali swoje deliberacje, rozlegały się okrzyki: „cisza tam!” lub „porozmawiajcie o dupach!”.



Podchodzę po linie po wybiciu haków ze zjazdu w czasie pierwszego przejścia drogi "Dynamiczny Rozwój". Zdjęcie wykonano spod ściany. Z archiwum autora.

Dlatego zrozum czytelniku, że nie będę po kolei, jak na spowiedzi, opowiadał o wszystkich przejściach solowych. Nikt by tego nie wytrzyma.



Ganek, Mały Ganek i ściana Galerii Gankowej. Fot. Krzysztof Łoziński.

O wszystkich przejściach nie będę opowiadał, ale o paru opowiedzieć się przyda.

Pierwszy raz wpadłem na pomysł, by wspinać się solo w 1972 roku. Dokładnie nie pamiętam dlaczego. W każdym razie, nie wpisując się w

książce wyjść, poszedłem pod Czołówkę Mięgusza i zacząłem wspinać się na pierwszym wyciągu drogi Uchmańskiego i Starka. Niewiele wówczas zrobiłem, bo pod ścianę przyszedł Janek, mój ówczesny partner, i zaczął mnie namawiać, żebym zjechał. Koronnym jego argumentem było to, że wyrzucą mnie z klubu. W końcu dałem się przekonać i zjechałem.

Incydent ten nie poszedł jednak całkiem na marne. Łącząc pod Czołówką wypatryliśmy niezwykle efektowną formację skalną, znaną dziś jako Czarne Zacięcie. Od razu spodobał nam się pomysł poprowadzenia tamtędy drogi.

W późniejszych latach o pierwszym przejściu Czarnego Zacięcia opowiadano i wypisywano jakieś niesamowite dyrdymały. Tymczasem nic dramatycznego się tam nie działo. Pierwszego dnia doszliśmy do połowy wysokości ściany i zarazem połowy Czarnego Zacięcia. Tam wpadliśmy na niezbyt fortunny pomysł, by wytrawersować w prawo za kant, w poprzek wielkiej czarnej płyty stanowiącej prawą ścianę zacięcia. Obecnie w ten sposób biegnie wariant Czyżewski - Malczyk. Janek doszedł do kantu i to, co za nim zobaczył, wybitnie mu się nie spodobało. Wrócił z powrotem i straciliśmy przez to masę czasu.

Dzień się kończył, a miejsce zupełnie nie nadawało się do biwakowania. Zjechaliśmy na półkę u podstawy zacięcia i stwierdziliśmy, że biwakowanie tak nisko nie ma sensu. W efekcie zjechaliśmy pod ścianę i zostawiliśmy poręczówkę na pierwszych dwóch wyciągach. Na więcej nie starczyło nam liny. Cały „urobek” w zacięciu poszedł na marne. Następnego dnia podeszliśmy po poręczówce i jeszcze raz zaatakowaliśmy zacięcie.

Tu mała dygresja techniczna. W 1972 roku nie było jeszcze przyrządów do zjazdu, a przyrządy do podchodzenia po linie wprawdzie były już znane, ale w praktyce używali ich tylko speleolodzy w jaskiniach. W górach zjeżdżało się w kluczu, a podchodziło po linie na węzłach prusika.

My na Czarnym Zacięciu byliśmy już bardzo nowocześni, jak na owe czasy. Nie robiliśmy hakówki w deskach, jak to było wówczas przyjęte, tylko mieliśmy prymitywne uprząże biodrowe z taśmy. Oczywiście do dzisiejszych uprząży było im daleko. Nasze „dupowspory” nie służyły zresztą do asekuracji, a jedynie do wpinania się do haków. Do asekuracji służyła tylko lina, którą wiązało się przez klatkę piersiową na węzeł skrajny tatrzański i to wszystko.

Nawet to było jednak dużym postępem. Jeśli obejrzyś Czytelniku uważnie zdjęcie z bunkrów w Czosnowie, w pierwszym rozdziale tej książki,

to zauważysz, że ja na tym zdjęciu w ogóle nie mam żadnej uprząży biodrowej. Jestem tylko związany liną przez klatkę piersiową, a partner dociąga mnie tą liną do haka.

Drugiego dnia przeszliśmy resztę ściany, całkiem spokojnie, bez żadnych godnych uwagi wydarzeń. Noc zastała nas na grzędzie filara. Rano podeszliśmy pod kopułę szczytową Mięguśza do miejsca zwanego Siodełkiem i stamtąd przez Bańdzioch zeszliśmy.

Wydawałoby się, że na tym historia Czarnego Zacięcia powinna się zakończyć. Okazało się jednak, że wcale nie. Po pierwsze popełniliśmy pewne świętokradztwo. Zrobiliśmy drogę na ścianie czołowej filara, która nie wyprowadza na żaden szczyt. I tu muszę zrobić kolejną dygresję.



Jan Hobrzański w czasie pierwszego przejścia Czarnego Zacięcia. Fot. Krzysztof Łoziński.

Dzisiaj Czołówka pokryta jest siecią dróg i jest jedną z najpopularniejszych ścian w Tatrach Polskich. Dlatego dzisiejszy czytelnik może zupełnie nie rozumieć, o co chodzi. Wówczas jednak większość taterników dzieliła ściany tatrzańskie na takie, po których „się chodzi” i takie,

po których „się nie chodzi”. Kryteria tego podziału były równie absurdalne, co trudno zrozumiałe.

Pamiętam, jak kilka lat wcześniej, w czasie zimowego przejścia „Zetki” na Turni Zwornikowej, zwróciłem uwagę na skalne urwisko lewej części ściany i spytałem starszego ode mnie partnera, czy na tym są jakieś drogi.

- Po tym się nie chodzi - usłyszałem w odpowiedzi.

- Ale dlaczego?

- Bo nie.

Takie właśnie było wówczas podejście większości środowiska do Czołówki MSW i Turni Zwornikowej. Nie chodzi się po tym, bo nie. Do mnie taka argumentacja nie docierała. Widziałem wyraźnie, że obie ściany - to kawał trudnej, pionowo-przewieszanej skały i to skały wcale niemałej. Dlaczego więc miałbym po tym nie chodzić?

Okazało się jednak, że byłem bardzo naiwny myśląc, iż zdołam kogokolwiek przekonać argumentami. „Czarne Zacięcie”, które uważaliśmy za nasz wielki sukces, stało się obiektem istnej nagonki, a my razem z nim. Dotyczyło to zwłaszcza mnie, bo Janek szybko wycofał się z dalszych kontrowersyjnych działań, powracając do poprawności akceptowanej przez środowisko, ja zaś brnąłem w kontrowersyjną działalność dalej, robiąc kolejne drogi na ścianach, po których „się nie chodzi”. Musiało minąć wiele lat, by środowisko taternickie zaakceptowało drogi na Czołówce i innych ścianach nie kończących się na szczycie jakiejś góry.

„Czarne Zacięcie” długo opierało się próbom powtórzenia. Najpierw Boguś Słama ze Zbyszkiem Skierskim zwątpili po dwóch wyciągach, później czołowy zespół kobiecy nie urobił ani metra. Wreszcie zjawił się czteroosobowy zespół samych gwiazd skalnego wspinania, który zakończył próbę lotem prowadzącego już na pierwszym wyciągu.

Droga została powtórzona dopiero w lutym 1981 roku (po dziewięciu latach) przez Andrzeja Marcisza i Artura Sobolewskiego. W tym sezonie zimowym miała dwa przejścia, a następnie dwa przejścia letnie. Wszystkie zrobione całkowicie hakowo.

Wreszcie latem 1981 roku Zbyszek Czyżewski i Rysiek Malczyk przeszli „Czarne Zacięcie” całkowicie klasycznie i nadali mu nową i sensacyjną wycenę: „VIII”. W ciągu jednego dnia wyśmiewana dotąd i

pogardzana droga awansowała nagle do miana najtrudniejszej technicznie drogi w Tatrach.



Z pierwszego przejścia "Szarego Zacięcia". Na solówkach trudno jest fotografować, bo nie ma partnera. Zdjęcie wykonane prosto w górę przedstawia moje liny na trzecim wyciągu. Takimi zdjęciami dokumentowałem wszystkie moje przejścia solowe. Fot. Krzysztof Łoziński.

Wycena VIII nie utrzymała się długo. Szybko znaleziono łatwiejsze (VI+) obejście kluczowego trawersu, trawersując po prostu dwa metry niżej. Nie można jednak ominąć innego trudnego miejsca drogi na samym dole (VII).

W tym sezonie, gdy uklasyczniono „Czarne Zacięcie”, nie byłem w górach. Zajmowałem się polityką. To było gorące lato „Solidarności” i nawet nie dowiedziałem się wówczas o tym przejściu i niespodziewanym awansie mojej drogi. Dowiedziałem się o tym dużo później i w dość nietypowych okolicznościach: następnego lata, już w stanie wojennym, gdy po raz pierwszy po pół roku od aresztowania pozwolono mi na widzenie z rodziną. Jeszcze później, w więzieniu w Łodzi, dostarczono mi przemyconego w paczce żywnościowej „Taternika” ze wzmianką o tym przejściu. To było takie fajne światełko w tych ponurych okolicznościach.

Wróćmy jednak do 1974 roku, do pierwszego regularnego sezonu solówek.

Pierwszą drogą, na którą poszedłem solo, z pełną świadomością wyboru, była droga Humpoli i Świeża na Żabim Mnichu. Jest to łatwa droga, trójka z jednym miejscem IV, ale właśnie taka miała być, bo chodziło o wstępne przetestowanie systemu asekuracji „Z”. Ten system wcześniej dokładnie sobie przemyślałem i w zasadzie wszystko zagrało, jak trzeba. Przeszedłem drogę sprawnie i bez niespodzianek. Pozostawał jednak ciągle pewien nierozwiązany problem. Problem przyrządu asekuracyjnego.

O co tu chodzi? W normalnym zespole wspinającego się alpinistę asekuruje partner. Gdy trzeba, podaje luz na linie lub go wybiera, a w razie odpadnięcia - linę blokuje, oczywiście z zachowaniem wszystkich zasad asekuracji dynamicznej. Solista musi sobie sam podawać i wybierać luz, co daje się zrobić, ale nie wtedy, gdy się leci. Wtedy musi zadziałać jakiś automatyczny system asekuracji, bo sam spadający niczego zrobić nie zdąży. Dziś sprawa jest prosta. Istnieją fabrycznie produkowane przyrządy do asekuracji na solówkach i można je po prostu kupić w sklepie. Był jeszcze drugi problem, który wymagał rozwiązania. Ten automatyczny przyrząd nie może zablokować liny na sztywno, bo wtedy nastąpi szarpnięcie, które zerwie każdą linę[4]. I w tej sprawie istnieje obecnie proste rozwiązanie. Produkowane są dynamiczne hamulce wypuszczające linę z pewnym oporem. Wówczas, w 1974 roku, tego wszystkiego nie było, mało tego, nikt nie miał pojęcia, jak takie przyrządy mają wyglądać.

Pierwszym pomysłem było asekurowanie się z przyrządów do podchodzenia po linie, a więc z węzłów Prusika, jumarów, gibsov itp[5]. Na moich pierwszych solowych drogach stosowałem asekurację z węzła

samozaciskowego typu „warkoczyk”. To taka odmiana prusika, którą wymyślił rosyjski alpinista Abałakow, a grupa snobów ze szkółki wspinaczkowej w Betlejemce nazwała „stoperem włoskim”[6]. Szybko jednak odkryłem, że węzeł ten ma poważną wadę. Pracuje prawidłowo wtedy, gdy jest dobrze ułożony. Gdy tylko ułożył się nieco inaczej, mógł nie zadziałać wcale. Po kilku drogach zacząłem stosować małe rosyjskie małpki[7] z tytanu. Właśnie dlatego, że były z tytanu, a więc bardzo wytrzymałe. Później wymyślałem różne inne rozwiązania. Na przykład, w czasie przejścia „Szarego Zacięcia” asekurowałem się z shunta[8]. Zacząłem się jednak zastanawiać nad wytrzymałością tych wszystkich rozwiązań i nachodziły mnie coraz większe wątpliwości.



Zdjęcie zrobione prosto w dół z krawędzi półki po najtrudniejszym miejscu "Szarego Zacięcia". Na pierwszym planie (nieostre) widać nieco mojego sprzętu i fragment lewego buta. Od piargów w dole dzieli mnie ok. 120 metrów w pionie. Fot. Krzysztof Łoziński.

Już po paru sezonach, w Warszawie, robiłem doświadczenia z tymi wszystkimi patentami, zrzucając z wysokiego budynku ważący kilkadziesiąt kilogramów worek. Wyniki były porażające. Nie działało nic. Wszelkiego rodzaju węzły samozaciskowe, dobrze pracujące pod statycznym obciążeniem, przy dynamicznym szarpnięciu zsuwały się po linie aż do końca, do gleby.

Jumary po prostu się rozlatywały. Gibsy przecinały linę. Shunt zaczynał się zsuwać i rozgrzewał się od tarcia do tego stopnia, że przetapiał linę. Groza. Okazało się, że przez pierwsze solowe sezony wspinałem się po prostu bez asekuracji i nic mi się nie stało tylko dlatego, że nie latałem.

Nie tylko ja pracowałem nad systemem asekuracji na solówkach. Kilku pierwszych polskich solistów, oprócz mnie: Michnowski, Skarzyński, Chwoła, Czyżewski, Malczyk, Pawłowski, opracowało bardzo sprawny system, którym przez lata później posługiwali się inni. Opracowaliśmy też kilka pierwszych skutecznych przyrządów do asekuracji solowej. Dopiero po latach, gdy solistów zaczęło być naprawdę wielu, włączył się w pracę nad tymi przyrządami przemysł, z laboratoriami i materiałami, o jakich nie mogliśmy nawet marzyć. Ale to już inna bajka.

Już na pierwszych drogach zacząłem odkrywać inny niż w zespole stan świadomości solisty. Przyszedłem pod wejście w drogę, wypakowałem sprzęt, i... No właśnie, i co? Normalnie, z partnerem, pogadałoby się teraz chwilę, papieroska wypaliło, na góry popatrzyło, a tu partnera nie ma. Nie pozostaje nic innego, niż brać się do roboty. Palić i patrzeć na góry można przy wspinaniu.

I od razu po pierwszym wyciągu wychodzi na jaw następna sprawa: ciężły wysiłek. W normalnym zespole alpinista wspina się przez wyciąg, a potem stoi na stanowisku i asekuruje partnera. Nawet przy szybkiej wspinaczce jego czas przebywania w ścianie w połowie stanowia odpoczynki. Solista pracuje cały czas. Prowadzi wyciąg, zakłada górne stanowisko i już musi zjechać na dół, a potem idzie do góry wybijając wszystko, co nawbijał. Dochodzi znów do górnego stanowiska i tu pogadałoby się z partnerem, wymieniłoby się uwagi o przebytych odcinku, ale partnera nie ma, więc nic innego nie pozostaje, jak wspinać się dalej. Jeśli wyciąga się plecak, co na dużych drogach jest koniecznością, to też w normalnym zespole wyciąga raz jeden, raz drugi, a tu ciągnie się wór na linie po każdym wyciągu. Może dlatego tak niewiele kobiet wspina się solo. Solówki wymagają po prostu dużej fizycznej siły i kondycji.



Zdjęcie wykonane spod ściany, na którym wspinam się w czasie pierwszego przejścia "Szarego Zacięcia" (białe kółko). Biały krzyżyk oznacza miejsce, z którego zrobiłem poprzednie zdjęcie. Fot. Jadwiga Łozińska.



Wspinam się solo w ścianie Turni Zwornikowej w czasie pierwszego przejścia wariantu do drogi Osadów (VI+, A1). Zdjęcie wykonano spod ściany i przedstawia dopiero "podejście pod trudności". Fot. z archiwum autora.

Wspomniałem już, że soliście towarzyszy cisza. Normalnie nie zdajemy sobie sprawy z tego, ile hałasu robi w górach dwójkowy zespół. Partnerzy niemal cały czas ze sobą gadają, nie tylko w czasie podejścia, ale i w czasie wspinaczki. Na wielu drogach panuje bardzo zła słyszalność i wtedy dochodzi do regularnej wymiany wrzasków. Gdy pewien czas później robiłem solowe przejście „Środka ŻTM-u”, mogłem obserwować taką scenę: na „Filarze Grońskiego”, w tej samej ścianie, wspinało się dwóch gości, którzy jakoś tak założyli stanowisko, że się wzajemnie bardzo źle słyszeli[9]. W pewnym momencie prowadzący coś źle pograł i odruchowo powiedział:

- Kurwa!
- Co?! - wydarł się drugi.
- Nic! - odwrzasnął pierwszy.
- Co?! - wydarł się jeszcze głośniej drugi.
- Nic! Kurwa!
- Co kurwa?!
- Nie, nic!
- Co nic?!
- No nic, kurwa!

Ten dialog wrzasków trwałby pewnie jeszcze z kwadrans, ku uciesze turystów na szlaku, gdybym się nie włączył. Mnie na szczęście obaj dobrze słyszeli. Wspinając się w zespole dwójkowym nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak często urządzamy wrzeszczane dialogi o kurwie i o niczym.

Esteci literatury zaprotestują w tym miejscu przeciw używaniu wulgaryzmów w książce, a ja powiem tak:

Używanie wulgaryzmów w górach najczęściej wynika z silnych emocji, oraz z tego, że nie żyjemy w społeczeństwie, które wysławia się wyłącznie salonowo. Będę więc pisał słowo „kurwa”, a nie na przykład „k...”, bo ludzie nie mówią „ka trzy kropki”, tylko mówią „kurwa”. Ja zaś nie piszę o abstrakcyjnych taternikach kandydujących na pomnik rycerzy bez skazy, tylko o rzeczywiśtych.



Profil 390-metrowej wschodniej ściany Młynarzowych Widel z ogromną strefą przewieszoną w górnej części. Drogę Janka Hobrzańskiego i moją w tej ścianie uważam za jedną z najpiękniejszych, jakie przechodziłem. Fot. Krzysztof Łoziński.

W tatrzańskich ścianach nie mają miejsca dialogi w stylu wypisów szkolnych:

- Kolego magistrze na studium doktoranckim, czy nie zechciałby kolega nieco poluzować liny, bo troszkę mnie przytrzymuje?

- Ależ oczywiście kolego studencie pierwszego roku na trzecim urlopie dziekańskim, niechybnie zaraz poluzuję.

Nie, nie. Takich dialogów nie ma. Jest tak:

- Kurwa luz!

- No, kurwa, masz luz. Czego się drzesz!

I tak też będę pisał w książce.



Podejście pod okapy we wschodniej ścianie Młynarzowych Wideł. Wspina się Jan Hobrzański. Fot. Krzysztof Łoziński.

Wróćmy jednak do ciszy w górach. Ze szczytu ŻTM-a schodziłem samotnie i po ciemku. Nie miałem ochoty po nocy tłuc się przez trudną orientacyjnie grań Wołowej Turni, więc postanowiłem ją obejść po słowackiej stronie. Schodzę w dół, w kierunku doliny Mięguszwieckiej i nagle słyszę potworny, przejmujący wrzask dobiegający od strony Grani Baszt. Wrzask był tak przenikliwy, że mnie zamurowało. Tak może krzyczeć tylko człowiek spadający z dużej wysokości, człowiek śmiertelnie przerażony. Stałem i nasłuchuję, co dalej. Cisza. Nic też nie widać. Żadnego światła, żadnego ruchu. Świecę latarką w tamtą stronę, krzyczę. Nic. Żadnej odpowiedzi.

Wygląda na to, że ktoś spadł i się zabił. Ale co ja mogę zrobić? Grań Baszt jest po drugiej stronie doliny, dosyć daleko. Nawet nie wiem, skąd ten krzyk dobiegał. Nic nie mogę zrobić. Zaczynam iść dalej i znowu słyszę taki sam wrzask. Co jest, do cholery? Parami spadają? Znowu krzyczę, świecę i znowu nic. Kompletna cisza. Robię kilka kroków i trzeci wrzask. Coś w tym wszystkim nie gra.

Dopiero po chwili zrozumiałem, co się dzieje. Gdy przebywa się w zupełnej ciszy, zaczyna się słyszeć wyraźnie dźwięki, na które normalnie nie zwraca się uwagi. Łatwo wtedy ulec takiemu złudzeniu, że bardzo ciche, bliskie dźwięki odbiera się jako bardzo głośne, dalekie. To nie były żadne potworne wrzaski z Grani Baszt. To skrzypiały moje buty. Resztę dorobiła wyobraźnia. Później przyzwyczałem się do takich złudzeń i już nie dawałem się nabrać. Wiedziałem już, że gdy słyszę straszny huk, jak wystrzał, tuż koło głowy, to nikt do mnie nie strzela, to przeskoczyła sprzączka pod kaskiem.

Ale to nie są jedyne psychiczne pułapki na solistę. Drugą nazwałbym złudzeniem, że „ktoś tam jest”. Oczywiście tam, gdzie naprawdę nikogo nie ma. To jest chyba atawizm, że człowiek samotnie i w ciemności czuje się nieswojo i odruchowo oczekuje jakiegoś zagrożenia. Dlatego wyobraźnia bardzo chętnie przerabia różne niewyraźnie widziane kształty na sylwetki ludzi lub zwierząt, czasami na sylwetki jakichś nieistniejących potworów. Niestety łożenie całymi godzinami samotnie i po ciemku przez góry i lasy jest nieodłączną częścią solówek. Nie da się tego ominąć, więc trzeba się z tym oswoić, bo polubić chyba się nie da. Zwłaszcza że przez całe dzieciństwo karmieni jesteśmy opowieściami i filmami grozy, na których snują się różni zombi. Jeśli ktoś ma rozbudowaną, wrażliwą wyobraźnię, to czy chce, czy nie, zaczyna tych zombi widzieć.



Jan Hobrański w dolnej części wschodniej ściany Młynarzowych Wieleń. Fot. Krzysztof Łoziński.

Poczta polska

ARESZT SLEDOZY
02-821 w Warszawie-Mokotów
ul. Rakowiecka 87

Seria D

Nr ew/w

III

L.dz.

TALON na 3 kg

wraz z opakowaniem

paczkę żywnościową

Dla

Krzysztof Łozniński s. Jerzego

(niep. dozwiako; imię paczki)

10 7. MARZ 1962

Data wydania talonu

UWAGA:

Paczka żywnościowa powinna być nadana w ciągu miesiąca od daty wydania talonu. W przypadku paczek zaprzeczonych w ciągu 2 miesięcy, talon przeterminowany traci ważność i należy go zwrócić wystawcy.

~~Wychowawca Arresztu Sledczego
z Warszawy, Mokotów~~

P.S. Drukarnia Nr 1, W-wa, Zam. 697/815 — 6710 bl. o 100 z.

"Taternika" z opisem pierwszego klasycznego przejścia "Czarnego Zacięcia" przemycano mi w paczce żywnościowej. Komunizm miał także dobre strony (paczki).

Oczywiście, my racjoniści, wykształceni i oświeceni, w żadne duchy nie wierzymy i wiemy dobrze, że zjawisk nadprzyrodzonych nie ma. Kiedy jednak idziemy samotnie nocą przez las, to całą tę wiedzę możemy, jak to się mówi, w buty sobie włożyć. Atawistyczne emocje odżywają wbrew racjonalnej świadomości.

Złudzenie, że ktoś tam jest, oczywiście ktoś, kto nam zagraża, bardzo potęgują niespodziewane dźwięki. W górach są to najczęściej osuwające się kamienie. Wydają taki dźwięk, jak kamienie osuwające się pod wpływem kroków. Sporo czasu minęło, zanim zrozumiałem, że kamienie często osuwają się same, bez żadnego udziału ludzi i zwierząt. Wcześniej jednak parę razy stawałem jak zamurowany, gdy w żlebie nade mną nagle staczał się kamień, tak jakby potracony czyjąś nogą. A ja tam nikogo nie widzę! Ależ oczywiście, duchów nie ma. I co z tego, że nie ma, jak ja wyraźnie słyszałem kroki na piargu, a tu nikogo nie widzę?

ob. Krzysztof Łozinski
narona
rodzina 30 m 3

D-11. 4285/12
1972 r.

Miejscowość: Włocławek
Termin dnia: 23. I 1983

WEZWANIE

Nazywa się Obywatela(ke) do osobistej
w dniu 23. I 1983
w godzinach 14-18
o Krzysztof Łozinski
zam. Włocławek
ul. Z. k. M. 14 m. 31
p-ta U synów
woj. Włocławek

Województwo Włocławek
Miejscowość Włocławek
L. dz. PG-VI-849/83
Data 28.04 1983

WEZWANIE

Miejscowość: Włocławek
do osobistej stawienia w dniu
o godz. 10⁰⁰ w lokalu
w sprawie 20 w art. 279

SĄD REJONOWY
DLA M. ST. WARSZAWY
VI WITPAC K. 2-7
Al. Gen. Szwarcera 21-go 127
00-968 Warszawa

Wydział Rejonowy Nr 228
Dnia 06. I 1983 r.
Sygn. akt VIK 1320/82



Stawienie obowiązkowe
ob. Krzysztof Łozinski
2. 10
Warszawa Mokotów
ul. Rakowiecka 57
(dokładny adres)
Termin dnia 20. I 1983 r.

ARESTY SEEDOZY
w Warszawie
Województwo Włocławek
L. dz. 10183
Sygn. akt 842

WEZWANIE

Nazywa się Obywatela(ke) o stawienie
w Warszawie Włocławek
o godzinach 10⁰⁰ w Sądzie przy ul. Al. Świerczewskiego Nr 127
w pokoju nr 228 w sprawie 2 art. 279 kk

Stawienie jest obowiązkowe.

Sekretarz

OPŁATA PÓŁTĄŻA ZRYCZAŁTOWANA
MszK-wcrw. 3

DIW 22 34/82 040.000

Komuna uprzyjemniała mi życie, jak tylko mogła.

Z takich zdarzeń szczególnie zapamiętałem jedno. Podchodziłem od słowackiej strony w nocy pod grań Czarnego Miękusza. Noc była jasna, więc nie paliłem latarki. Nagle, nad sobą usłyszałem drobne osuwające się kamyczki. Spojrzałem w górę i zamarłem. Nade mną, na grani, stał człowiek. Wyraźnie widziałem jego nieruchomą sylwetkę na tle rozgwieżdżonego nieba, jakieś dziesięć metrów nade mną. No to co? Człowiek, to człowiek. Tak, ale ten człowiek miał koło czterech metrów wzrostu!

Tchórzem nie jestem, ale zdrętwiałem. Stoję po ciemku na zboczu, a nade mną pochyła się nieruchomy, czarny olbrzym. Widzę go wyraźnie. Stoi z rękami w kieszeniach, z pochyloną głową, ze złączonymi, jak na baczność, nogami. Dopiero po dłuższej chwili odważyłem się zapalić latarkę i skierować w jego stronę. To kamień. Kamień, cholera, w kształcie człowieka. Nastraszył mnie niezłe.

Specyficznym niebezpieczeństwem solówek są spotkania z innymi zespołami. Pozornie brzmi to dziwnie. Jak to? Wspinanie solowe jest niebezpieczne, a gdy się spotka ludzi, to robi się bardziej niebezpiecznie? Otóż tak. Zaczniemy od tego, że nadmierna bliskość dwóch zespołów zawsze jest niebezpieczna. Znam wiele przypadków, gdy jedni drugim zrzucali na głowę kamienie lub lawiny. Ale najbardziej niebezpieczna jest mijanka zespołów w ścianie. Ponieważ solista asekurowany systemem „Z” jest znacznie wolniejszy od zespołu dwójkowego, to szybko zostaje przez taki zespół dogoniony i zaczyna się wyprzedzanie. Powstaje wtedy niebezpieczna platanina sprzętu. Liny się krzyżują i to nieraz kilkakrotnie. Jedna lina zaczyna przytrzymywać drugą. Ludziom płaczą się pod nogami liny konkurencji. Niemal zawsze wtedy ktoś strąca kamienie.

Wiele razy apelowałem do kolegów z taboriska, by nie chodzili na drogi, na które już wyszedł tego dnia solista, ale bez skutku. Wręcz przeciwnie. Kilka razy spotykałem się z taką niezdrową ciekawością: Łoza poszedł solo na to czy tamto, chodźmy i my, to popatrzemy. Bywało, że przez takich kibiców musiałem się wycofać. Raz kibic dostał w rękę kamieniem strąconym niechcący przeze mnie, innym razem spory kamień strącony przez kibica kompletnie zdemolował mi plecak. Był jednak i przypadek kuriozalny: prowadzący z mijającego mnie zespołu powpinał linę do moich karabinków, dodatkowo dobił własne przeloty i do części z nich wpiął także moją linę (naprawdę nie wiem, po co), a drugi w zespole uznał wszystkie karabinki, przez które przechodziła ich lina, za należące do nich i je zabrał. Zanim się zorientowałem, zostałem z pięcioma karabinkami (a potrzebowałem co najmniej kilkunastu) i musiałem kończyć drogę niemalże bez asekuracji.

Oczywiście to była z ich strony zwykła pomyłka, a nie zła wola, w schronisku wszystko sobie wyjaśniliśmy i wszystko mi oddali, ale przez tę pomyłkę znalazłem się w nieplanowanych kłopotach.



Zdjęcie w dół z solowego przejścia drogi Świerza na wschodniej ścianie Mięszowickiego Szczytu Wielkiego. Na dolnym stanowisku zamiast partnera widać plecak. Do śniegów w dole jest ok. 400 metrów w pionie. W 1974 roku byłem przekonany, że robię pierwsze przejście solowe. Po latach dowiedziałem się, że drugie, bo pierwsze zrobił w latach 60. Janusz Hierzyk.

Najbardziej niebezpieczna mijankowa sytuacja zdarzyła mi się na drodze Puškaša, na południowej ścianie Wołowej Turni. Zespół, dwaj młodzi chłopcy z Krakowa, dogonił mnie w momencie, gdy zaczynałem prowadzić kolejny, najtrudniejszy zresztą, wyciąg. Gdyby ci chłopcy nieco pomyśleli, to powinni poczekać z tą mijanką przynajmniej do momentu, aż założę stanowisko. Tymczasem pierwszy z nich zaczął iść w górę po tym samym wyciągu, co ja, dość szybko mnie doganiając. Pomyślałem, że nie będę się ścigał i ich przepuszczę. Doszedłem do miejsca, w którym mogłem odsunąć się w bok, na płytę, i przeczekać na stopniach, aż delikwenci sobie pójdą. Prowadzący dziarsko mnie minął i poszedł dalej. Nic nie zapowiadało niebezpieczeństwa. Ja sobie stałem, wprawdzie jakieś dziesięć metrów od ostatniego przelotu, ale dość wygodnie, ich lina przesuwiała się jakieś pół metra ode mnie. Prowadzący wbił kilka metrów nade mną hak przelotowy, przeszedł kolejne parę metrów nad niego i... poleciał. Nie spadł na mnie, na szczęście, ale gdy skończył mu się luz, zrobił spore wahadło i jego lina po prostu straciła mnie z tych stopni. Nie spadłem, bo się tej jego liny złapałem, ale przez chwilę obaj zawisliśmy na tej samej linie i na tym samym haku przelotowym. Nic się w końcu nie stało, poza ogólnym zdenerwowaniem i wymianą uwag niecenzuralnych, ale gdyby ten przelot wyskoczył, to obaj mogliśmy zaliczyć dwadzieścia metrów lotu obok siebie o nieprzewidywalnych konsekwencjach.

Pod koniec lat siedemdziesiątych kilka razy wspinałem się solo w górach wysokich (będzie o tym dalej). Takie solówki mają też swoją specyfikę. Są to z reguły wejścia bez asekuracji, bo chyba nikt nie wyobraża sobie stosowania systemu „Z” na sześć czy siedmiotysięczniku. O ile wiem, nie tylko moje, ale wszystkie dotąd przejścia solowe w górach wysokich robione były na żywca. Poważnym problemem dla solisty są poszczelinione lodowce. Normalny zespół porusza się w takim terenie z lotną asekuracją, zaś solista musi, po prostu, kierować się wyczuciem, nosem, intuicją, czyli, jakby tego nie nazwać, iść nieco po omacku. Na szczęście na ogół wiadomo, gdzie na lodowcu spodziewać się ukrytych szczelin, ale bywają sytuacje, gdy nie wiadomo nic. Tak jest na przykład po dużym opadzie śniegu, kiedy wiatr ponawiewał zaspy i wygładził wszelkie nierówności terenu. Miałem wątpliwą przyjemność schodzić samotnie z siedmiotysięcznika w takich warunkach i kilka razy rozpaczliwie rzucałem się do tyłu, gdy noga wpadała mi w dziurę.



Mieczysław Prószyński "Bimon" w ścianie Młynarzowych Widel w czasie pierwszego przejścia drogi o trudnościach V w lewej części ściany (wraz ze mną i Janem Oficjalskim). Byliśmy przekonani, że robimy powtórzenie drogi Plšek-Harnišek. Fot. Krzysztof Łoziński.

Ale jest i inna specyficzna dla solówek w dużych górach sprawa: niesamowite poczucie samotności. W Tatrach, Alpach, czy innych cywilizowanych górach, człowiek wprawdzie wspina się sam, ale widzi schronisko albo inne zespoły, albo turystów na szlaku. Nawet w czasie moich samotnych zimowych wypadów na Słowację, gdy byłem przez tydzień lub dwa zupełnie sam w bezludnej dolinie (Mięguszowieckiej, Piarżystej i Ciężkiej), to byłem w znanych górach. Wiedziałem, że kawałek dalej, dwie godziny marszu w dół, są ludzie i cywilizacja. W Hindukuszu miałem wrażenie niemal księżycowej pustki.

Najgorszy psychicznie jest moment, gdy zapada zmierzch. Człowiek czuje się dosłownie pyłkiem na lodzie. Wszystko wokół jest takie wrogie, lodowate, ciemne i ogromne. I przy tym świadomość olbrzymiej odległości od ludzi, tego, że gdybym tu umarł, to może mnie ktoś znajdzie za dwieście lat, a może nigdy.

Jestem pełen podziwu dla Marka Kamińskiego za jego samotne marsze do biegunów. Ale to jest już inna jakość solowej eksploracji; telefon satelitarny, GPS, codzienne transmisje dla telewizji, monitoring sytuacji przez służby ratownicze. W razie czego, przyleci samolot... Moje wejścia solowe w górach wysokich robione były bez żadnej łączności, bo tego wszystkiego jeszcze nie wynaleziono.

Może to i dobrze, że dziś jest bezpieczniej i raźniej, ale myślę, że alpinizm utracił też część uroku, że solista obserwowany przez kamerę telewizyjną, rozmawiający przez telefon komórkowy, nie jest już tym pionierem-zdobywcą, co dawniej (muszę jednak przyznać Kamińskiemu, że zdarzało mu się świadomie z tego bezpieczeństwa rezygnować, co świadczy o jego klasie). Trochę zaczyna być aktorem, czy zawodnikiem. Tylko trochę, na szczęście, bo góry ciągle są tak potężne, że wspinanie solowe długo jeszcze będzie poważnym wyzwaniem.

Natura ludzka jest taka, że nowoczesna technika raczej prowokuje alpinistów do atakowania większych niż dawniej trudności, niż do cieszenia się większym komfortem. Jeśli ktoś lubi mieć łatwo wygodnie i bezpiecznie, to nie zostaje alpinistą, a solistą tym bardziej.



Wyciąganie plecaka w czasie pierwszego przejścia wyprostowania "Kurtykówki" w ścianie Małego Młynarza. Mniej więcej w linii drugiego wariantu prostującego. Fot. Krzysztof Łoziński.

Określenie „wspinanie na żywca”, oznaczające wspinanie się bez asekuracji, pojawiło się w 1974 roku w pierwszym sezonie renesansu solówek. Chodzenie na żywca budziło zawsze szereg kontrowersji. Większość zarzutów, jakie stawiano wspinaniu solowemu, tak na prawdę dotyczyło nie tyle solówek, co „żywczyków”.

Już na drugiej drodze, na jaką poszedłem solo, sprawy przybrały zgoła niecodzienny obrót. Wybrałem się na drogę Świeża na północnej ścianie Pośredniego Mięguszowieckiego Szczytu. Oczywiście zamierzałem wspiąć się z asekuracją. Wszedłem w dolny trawers i stwierdziłem, że jest tak łatwo, że zacznę asekurować się dalej. Idę dalej - łatwo i łatwo. Wreszcie doszedłem do końca wznoszącego się trawersu. No, tu wypadałoby już rozpocząć asekurację. Zacząłem wyciągać sprzęt. Od pewnego czasu podążał w ślad za mną pewien śląski zespół. Chłopcy szli na Orłowskiego, czyli na drogę zaczynającą się od dolnego trawersu na Świeżu. W pewnym momencie prowadzący urwał spory blok i runął razem z nim. Ponieważ rzecz się miała w łatwym terenie, asekuracja była dość iluzoryczna. Mówiąc krótko: żadnego przelotu, stanowisko z jednego marnego simondzika[10] wbitego, jak popadnie. A tu patrzcie państwo: facet funduje sobie sześćdziesiąt metrów lotu! Mieli chłopcy szczęście, oj mieli. Sześćdziesiątkowy lotnik łamie sobie tylko obojczyk i zawisa nad jedyną w okolicy półeczką w sporej strefie przewieszanej pod spodem. Stanowiskowy simondzik wygiął się pod kątem prostym, rozciągnął się tak, że aż powstało przewężenie i... wytrzymał!

Ale sytuacja wcale nie była wesoła. Jeden połamaniec wisi w powietrzu i ma ze sobą wszystkie haki, a drugi trzyma go na jednym haczyku i woła o pomoc. No, nazwijmy rzecz po imieniu: drze się, aż echo idzie po górach.

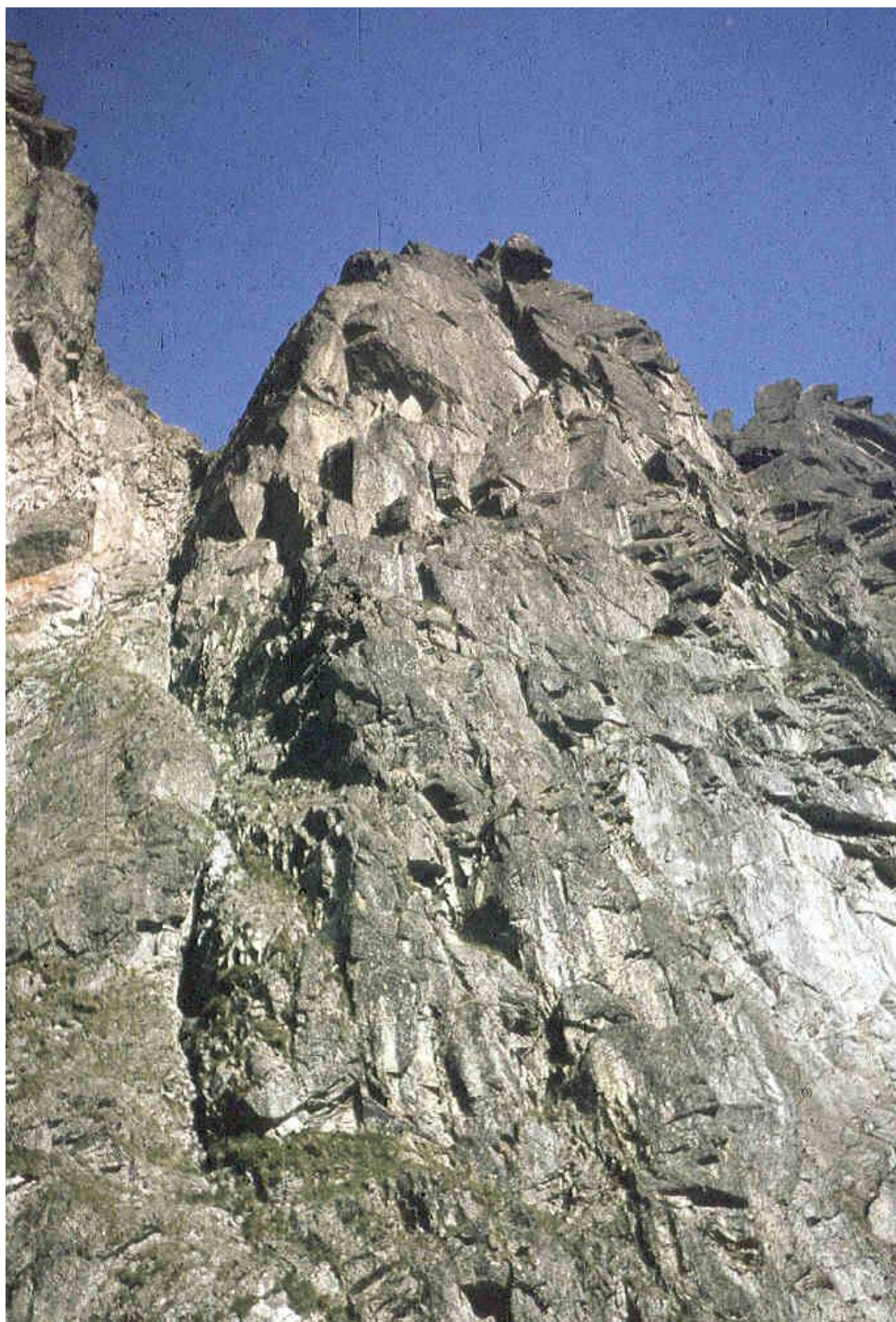
Jestem mocno w bok od nich i nieco wyżej. Szkopuł w tym, że trawers Świeża nie jest całkiem trawersem, ale nieco się wznosi. Dlatego powrót nim nie jest taki prosty. Szybko doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie dotrzeć do nich przez szczyt i od dołu. No tak, ale ja jestem dopiero w jednej trzeciej drogi, którą trzeba by najpierw skończyć. Poda mną jest strefa przewieszona, więc zjazdy byłyby dość skomplikowane i zajęłyby więcej czasu niż przejście przez szczyt. Zostawiam większość sprzętu, łapię tylko linę i kilka haków. Szybko wspinam się w górę na żywca. Trudno wprawdzie nie jest, najwyżej słaba trójka[11], ale jest strasznie krucho, no i całkiem niezły luft pod nogami. Najgorszy jest trawersik w prawo tuż pod granią. Krucho chwyt, trochę wypycha i trzysta pięćdziesiąt metrów zupełnej ekspozycji. Cholera - trochę

wysoko. Jeszcze jakieś głupie myśli o Klimku Bachledzie, który też szedł na pomoc na żywca.



Jadwiga Łozińska w czasie pierwszego przejścia lewego filara Mniszka. Fot. Krzysztof Łoziński. */Dziś "Lewym Filarem" nazywana jest w przewodnikach moja droga solowa "Dynamiczny Rozwój", a zrobiona wcześniej z Jadwigą Łozińską droga lewym filarem opisywana jest jako wariant do mojej drogi zrobionej później./*

Wreszcie jestem na grani. Szalony bieg do Przełęczy pod Chłopkiem i w dół ścieżką do Bańdziocha. Jestem znów pod ścianą. Chaotycznie wspina się początkiem trawersu.



Lewy filar Mniszka widziany ze ściany Ministranta. Fot. Krzysztof Łoziński.

Przewieszony przez ramię zwój liny strasznie mi przeszkadza. Czepia się o wszystkie możliwe kamienie. Ale zaraz, po co mi lina? Przecież lina tam jest. Nie ma tylko haków. Zostawiam linę i szybko dochodzę do wrzeszczącego Ślązaka, który już nieco ochrypl. Dobijam dwa haki i możemy rozpocząć opuszczanie rannego, który tkwi pod nami na półce. Najpierw zjeżdża do niego partner. Przewiązują linę pojedynczo. Na osiemdziesiątce opuszczam ich kolejno pod ścianę. No i po akcji. Poszkodowany jest na równej drodze, a nogi ma całe. Nie jestem im już potrzebny. Zrzucam ich linę i idę po plecak. Znowu przechodzę na żywca cały dolny trawers. Jestem przy plecaku, a więc ponownie w miejscu, gdzie „wypadałoby zacząć się asekurować”. No tak, ale tym razem nie mam liny, która została na początku trawersu. Ha, trudno. W końcu już raz dzisiaj przeszedłem to na żywca. Znowu czujny trawersik przed granią i znowu w dół do Bańdziocha. Zostawiam plecak ze sprzętem na piargach. Muszę jeszcze wejść na początek trawersu po linę. Gdy dochodzę do liny stwierdzam, że powrót nawet tym początkiem wznoszącego się trawersu nie będzie prosty. Trawers z obniżeniem na żywca nie zachęca. Może zjechać? Tak, ale choć mam linę, to haki zostały w plecaku. Ha, trudno. W końcu już dwa razy dzisiaj przeszedłem to na żywca... Trawersik pod granią nawet za trzecim razem dostarcza sporo emocji.

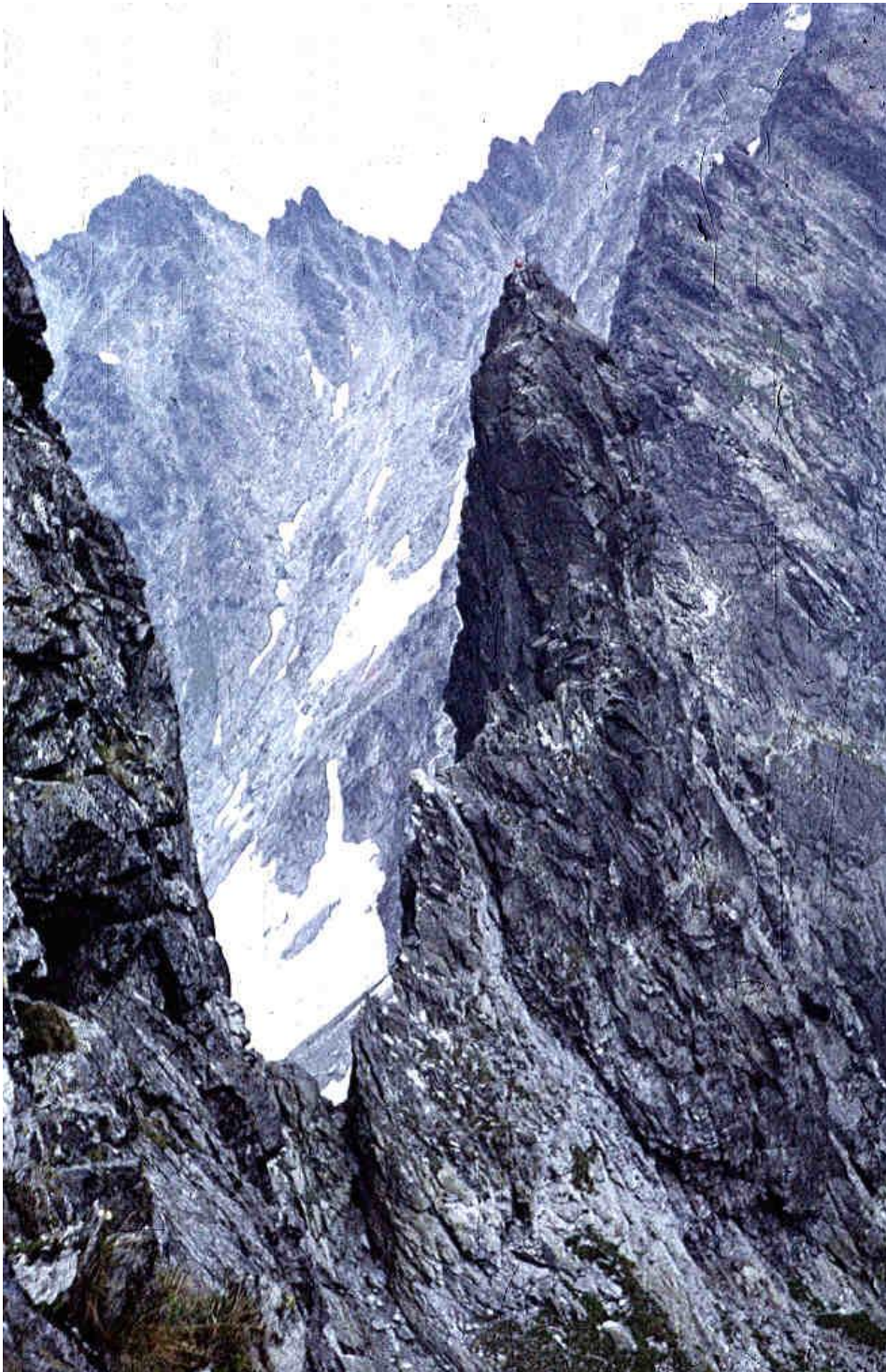
Żabi Koń jakim jest, każdy widzi. Góra to ze wszystkich stron stroma, można by rzec: cienka. Taki płaski kamień postawiony w pionie. Środowiskowa anegdotka opowiada o dwóch taternikach, z których jeden wbijał hak na północnej ścianie, a drugi siedząc na szczycie widział całą cieniznę tego skalnego tworów. Otóż ten drugi rzekł ponoć do tego pierwszego:

- Nie klep tak, nie klep, bo jak byś wiedział w co klepiesz, to byś tak nie klepał.

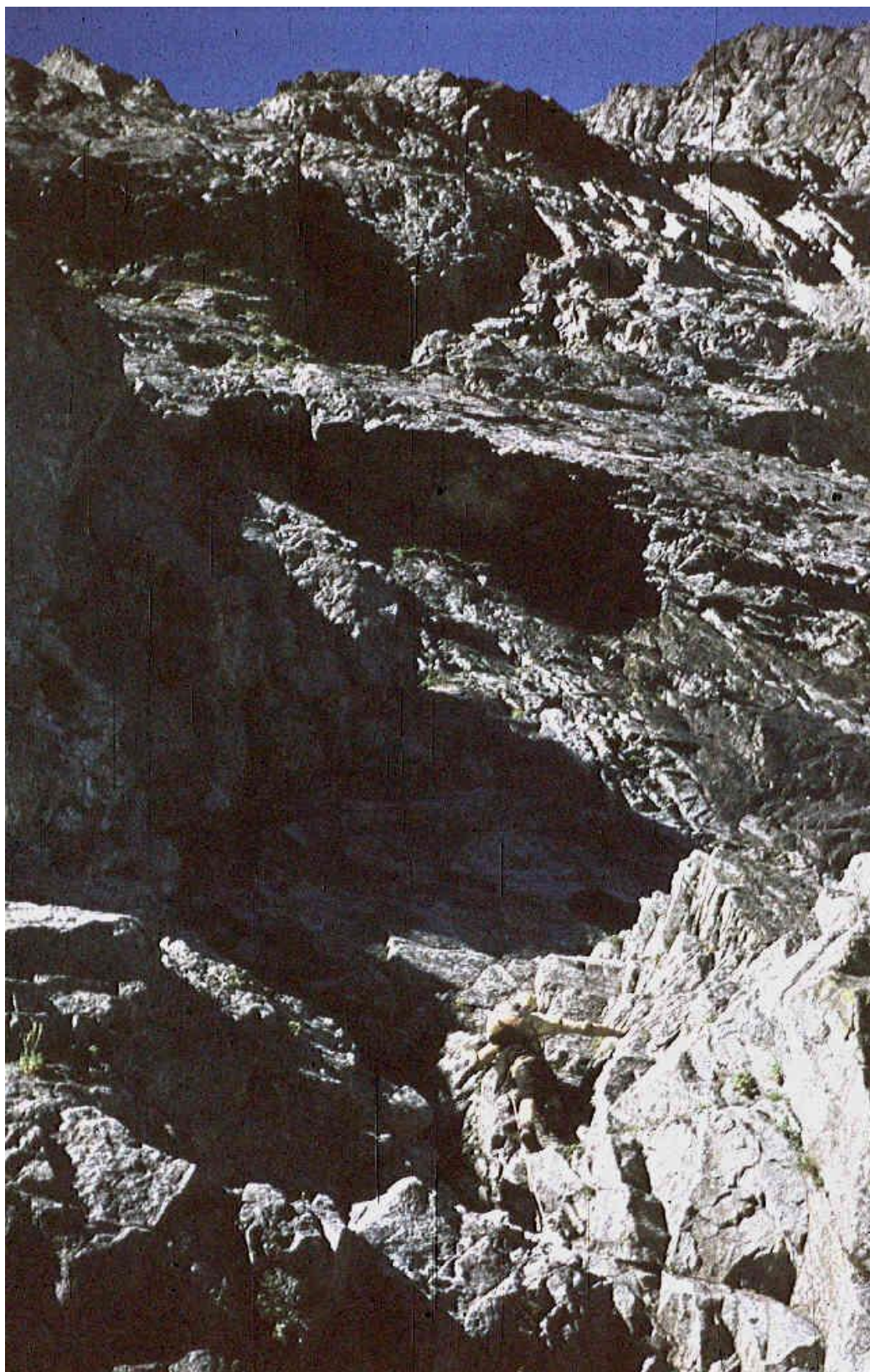
Mówiło się też, że na Żabim Koniu nie wolno używać zbyt długich haków, by nie naruszać granicy (między Polską a Czechosłowacją).

Żabi Koń, jako twór płaski, ma tylko dwie ściany: północną i południową. Z południową ścianą związana jest pewna anegdota. W czasach, gdy góra ta była jeszcze nie zdobyta, uchodziła za największy „problem” tatrzański. Sławny Klimek Bachleda powiedział nawet, że „jeszcze się taki nie urodził, co by na tę turnię wylazł”. Ledwo to powiedział, a już następnego dnia niejaki Häberlein zdobył Żabiego Konia, mało to, w towarzystwie baby. Od

tamtej pory datuje się zasada, że jak tylko okrzyknie się, że coś jest niemożliwe, to zaraz ktoś to zrobi.



Żabi Koń, jaki jest, każdy widzi. Ta czerwona kropka na szczycie to ja. Fot archiwum autora.



Wejście w ścianę Kotła Kazalnicy w rejonie "Wielkiego Ścieku". Fot. Krzysztof Łoziński.

Południowa ściana Żabiego Konia jest ładna i lita a północna jest dokładnym jej zaprzeczeniem. Stanowi ona tak zwany „trawiasty monolit”, czyli zbudowana jest z gliny, glinołupku, próchna, ruchomych kamieni, błota, łopianów, a nade wszystko z trawy. Tylko sam czubek tej trawiasto-błotnej pionowej konstrukcji stanowi skałka z dość litym piątkowym zacięciem, którym wiedzie droga Stanisławskiego. Legenda głosi, że autorzy tej drogi nieco zmienili jej przebieg, by nie zniszczyć kępy pięknych kwiatów rosnących na skale. W to, że na skale tej ściany rosły kwiaty, gotów jestem uwierzyć (coż tam nie rośnie!), ale w resztę legendy nie. Dziś każdy kursant wie, że Stanisławski nie chciał zdeptać roślinki, ale niech mi ktoś odpowie której?

To był jeden z pierwszych dni lata i właśnie przyjechaliśmy w góry. Postanowiliśmy we trzech, z Jankiem i Michałem, odbyć dłuższy spacer granią by się nieco zaaklimatyzować przed nowym sezonem. Wzięliśmy ze sobą linę i parę haków na wypadek, gdyby przyszło gdzieś się wspiąć. Rankiem niespiesznie, po śniadaniu, podeszliśmy na Przełęcz pod Chłopkiem. Mieliśmy zamiar zakończyć spacer na Rysach i zejść stamtąd szlakiem. Przeszliśmy grań Czarnego Miękusowieckiego, pokonaliśmy na wprost uskok Hińczowej Turni, przebyliśmy grań Wołowego Grzbietu i Wołowej Turni, zeszliśmy pod południową ścianę Wołowej Turni, wspięliśmy się na nią (bodajże drogą Śtaflovej) i już o zmroku stanęliśmy na Żabiej Przełęczy Wyżniej tuż pod uskokiem grani Żabiego Konia. Ponieważ uskokiem grani właśnie zjeżdżali na linach jacyś Słowacy, weszliśmy na Żabiego Konia drogą Häberleina. Stanęliśmy na szczycie i tu... skończył się dzień. Po ciemku grań w stronę Rysów wyglądała jakoś nieprzyjemnie. Zaczęliśmy kombinować, co tu zrobić.

- Zjechać to każdy głupi potrafi - stwierdził Michał i zaproponował, aby z Żabiego Konia zejść. Podobno w północnej ścianie jest jakaś dwójkowa[12] droga, którą zejść by się dało.

Wzięliśmy przewodnik Paryskiego i dalej czytać. Faktycznie, dwójkowa droga jest, ale opisana od dołu do góry. Trzeba więc czytać opis od tyłu. Przewracamy kartki w słabym świetle latarki i szukamy końca opisu. Jest koniec opisu. Wyprowadza na szczyt. No to ze szczytu trzeba złązić. Pierwszy rusza Janek. Marudzi, narzeka, że trudno.

- Złaż, nie marudź - popędzamy go z góry.

- Kurwa, jak trudno. To nie może być dwójka - marudzi znowu.

- Złaż, nie rozwspinywany jesteś, to ci trudno.

Wreszcie jest na jakiejś półce.

- Chłopaki, chyba lepiej zjechać - mówi.

No tak, ale on ma w plecaku linę. Jak tu zjechać, jeśli lina jest na dole, a my na górze? Nie ma wyboru. Do schodzenia zabiera się Michał. Michał jest świeżo poskładanym połamańcem. Półtora roku temu zwałił się w skałkach dwadzieścia metrów i połamał obie nogi. Ma jeszcze drobne niedowładki. Marudzi jeszcze bardziej.

- Złaż, nie gadaj - krzyczymy na niego tym razem z góry i z dołu.

Wreszcie moja kolej. Od razu widzę, że dwójka to to nie jest. Gładko, pionowo, małe stopieńki ledwo widać w migotliwym świetle latarki. Luft pod nogami całkiem okazały. Nie mam wyboru. Bez liny mogę tylko siedzieć na szczycie i czekać na czyjeś zmiłowanie. Patrzę na mizerne punkciki latarek kolegów i nagle uświadamiam sobie, że coś w tym wszystkim nie gra. Jestem w pionowym trudnym zacięciu nad kilkusetmetrową ekspozycją, po ciemku, w zejściu. Lodowate dotknięcie czarnej pustki pod nogami jest aż nadto dosłowne.

- Kurwa! - mówię, gdy noga zsuwa mi się ze stopnia. Omal nie runąłem.

- Złaż, nie marudź - słyszę z dołu.

Wreszcie jestem przy nich. Wszyscy już wiemy, że teren w którym jesteśmy nie ma nic wspólnego z dwójką. Każdy jednak zachowuje tę wiedzę dla siebie. Od razu okazuje się, że dalej nie można zjechać, bo... nie ma z czego założyć stanowiska. Zeszliśmy poniżej szczytowej skały i jesteśmy w strefie pionowego glinołupku. Wbijać haki można, nawet wszędzie, tyle że ich wytrzymałość jest praktycznie zerowa.

Wieszamy linę jak do zjazdu na jakimś kaprawym haczyku i umawiamy się, że nie będziemy go obciążać. Zaczyna się mozolne schodzenie w ciemnościach i trawiasto-łopianowej kruszyźnie. Poruszamy się niezwykle wolno. Mijają godziny męki, drżenia mięśni, stania w niewygodnych pozycjach, wżynania się pasów od plecaka. Ściana zdaje się nie mieć końca. Wreszcie nad ranem utknęliśmy na dobre.



Pośredni Mięszowiecki Szczyt i Przełęcz pod Chłopkiem z grani Mięszowieckiego Szczytu nad Czarnym Stawem. Fot. Krzysztof Łoziński.

Po kolejnym pseudojeździe nie można ściągnąć liny. Najgorzej, że kawałek już ściągnęliśmy i jeden jej koniec już „wyszedł”, po czym wszystko zaklinowało się na dobre. Ten częściowo wywleczony koniec wisi nam teraz bezczelnie dziesięć metrów nad głowami. Czekamy do rana stojąc każdy oddzielnie na trawiastych stopniach bez asekuracji. Nie da się nawet usiąść. Nad naszymi głowami, na Żabiej Przełęczy Wyżniej, wszystkie lodowate wichry urządziły sobie sabat. Od płatu śniegu pod ścianą ciągnie po nogach, jak z niedomkniętej lodówki.

Rano włożę na żywca odczepić linę. Wreszcie schodzimy pod ścianę.

- No to powiedzmy to, co wszyscy wiemy... - mówi Janek.

- ...żeśmy zesłi Stanisławskim - kończę za niego.

Przewracając kartki w przewodniku, przewróciliśmy jedną za dużo. Dwójkowa droga w tej ścianie naprawdę istnieje, ale nie kończy się na szczycie, tylko w dolnej części wschodniej grani. Czytanie opisów od końca wymaga więcej uwagi.

Dwie historyjki, jakie właśnie opisałem, mówią o wspinaniu na żywca, ale niezamierzonym. Tymczasem wielokrotnie wspaniałem się na żywca w sposób zamierzony i w pełni świadomy, a mimo to wcale nie jestem samobójcą.

Rysiek Malczyk mawiał, że najlepszym treningiem do wspinania jest samo wspinanie. W pełni podzielam ten pogląd, choć uważam, że siła fizyczna i gibkość, jakie osiągnąłem dzięki sztukom walki, sporo mi się przydały.

Najlepszym treningiem do wspinania jest chodzenie w szybkim tempie, a więc na żywca, po łatwych drogach wspinaczkowych (to znaczy do trudności IV, V-). Oczywiście każdy ma tu inną granicę i trzeba trzeźwo oceniać swoje możliwości. Trzeba też unikać dróg kruchych lub ze stromymi trawkami, bo tam można spaść nawet z łatwego. Żadna siłownia nie da typowo wspinaczkowej koordynacji ruchów i tego, co najważniejsze - oswojenia z wysokością.

Oczywiście nie radzę tego robić początkującym, którzy mają jeszcze trudności z odnalezieniem drogi w ścianie, a w razie zapchania się w większe trudności nie dadzą sobie rady. W górach, wspinając się na żywca, dobrze jest jednak mieć przy sobie linę (w plecaku lub na plecach) i parę haków, by w razie jakiejś komplikacji (załamanie pogody, kontuzja) nie być całkiem bezradnym. Dobrze jest mieć pod ręką parę friendów i jakąś pętelkę przy uprzęży, by w razie czego móc wrzucić frienda w szczelinę, przypiąć się i odpocząć. W skałkach jednak można „żywczykować” nawet na golasa.

Najlepiej jest „żywczykować” na drogach, które już się zna z normalnych przejść i raczej na małych ścianach. Można robić te same drogi wiele razy. Ja robiłem na przykład na żywca kilkanaście razy takie drogi jak Robakiewicz i Klasyczna na Mnichu, kilka razy Orłowskiego na Mnichu, drogę Trzaski na Szpiglasowym i wiele innych. Miałem taki dzień, kiedy zrobiłem na żywca dziewięć dróg na Żabim Niżnim (oczywiście z wyjątkiem Dziadkowo - Kursantowego „Hej Ho!"). Zrobiłem też na przykład jednego

dnia „Lewych Wrześniaków" i drogę Motyki na Zamarłej Turni. W zimie robiłem na żywca „Północną Mięcusza" i „Zetkę" na Turni Zwornikowej.



Kazalnica Mięcuszowiecka widziana ze ściany Żabiego Konia. Fot. Krzysztof Łoziński.



Zjazd na linie w ścianie Kazalnicy. Były takie czasy, że nawet z Kazalnicy zjeżdżało się w kluczu. W dole Czarny Staw. Fot. Krzysztof Łoziński.

Aby być w dobrej formie, trzeba wspinać się przede wszystkim dużo a niekoniecznie cały czas po trudnych drogach. Wiem to z własnego doświadczenia, bo kiedy na początku lat siedemdziesiątych starałem się chodzić wyłącznie po trudnych drogach, to w efekcie miałem wiele wyjść nieudanych. Taktyka „wyłącznie jakość” nie jest dobrym pomysłem. Później, gdy zacząłem wspinać się solo i postawiłem przede wszystkim na ilość, to ta ilość sama mi przeszła w jakość.

Do tego, by dobrze się wspinać, potrzebna jest jeszcze pewna dawka fantazji, takiego twórczego szaleństwa. Nie można wyłącznie myśleć o bezpieczeństwie i prawidłowej asekuracji, nie można „dać się zwariować” teoretykom asekuracji i uwierzyć, że jak tylko zrobi coś źle, to katastrofa: zerwie się lina, urwie się stanowisko, szarpnięcie zabije partnera itp. Jak człowiek ma się dobrze wspinać, jeśli ciągle jest ciężko przestraszony?

Znajomość zasad prawidłowej asekuracji jest oczywiście potrzebna, ale czasem trzeba też wiedzieć, kiedy z niej zrezygnować. Prawidłowo asekurujący się „rzemieślnik”, pozbawiony takiego błysku szaleństwa, nigdy nie dokona wybitnych przejść. Może się wspinać co najwyżej poprawnie.

Oczywiście, jak ktoś ma tej ułańskiej fantazji za dużo, to może dojść do, jak to określał Teddy Gibiński, „przekroczenia subtelnej granicy między twardzielstwem a jajarstwem”. Mnie się przekroczenie tej granicy zdarzyło przy okazji robienia tak zwanego „wariantu zimowego” do „Filara Mięgusza”.

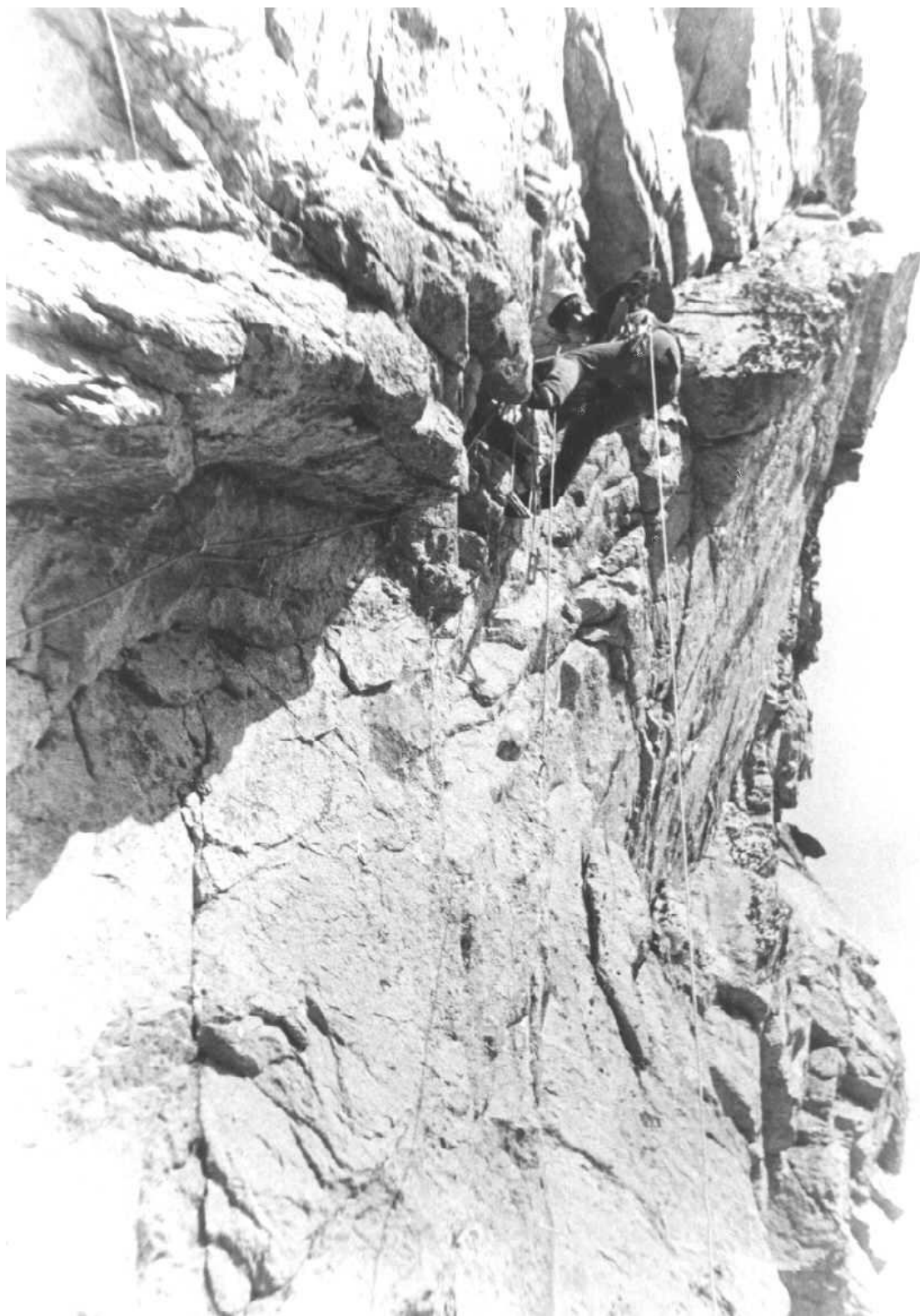
To miała być taka nowa droga, którą sobie wymyśliłem do zrobienia w zimie. Rzecz w tym, że podejście pod drogę wiedzie przez Maszynkę do Mięsa, czyli żleb, którym spadają wszystkie lawiny z Bańdziocha, a który to żleb ma pionowe ściany i przed lawiną nie ma z niego gdzie uciec. Dlatego tak się nazywa.

Podszedłem pod wylot Maszynki do Mięsa i wyglądam zza skałki. Spokój, nic nie leci. Muszę tym cholernym żlebem podejść tylko pięćdziesiąt metrów, a potem będę mógł uciec w prawo do kuluaru, którym ma prowadzić moja droga. Nie ma co dumać, „hej ho” i idę. Tak, ale pod górę po śniegu nawet tak krótki odcinek idzie się niestety dłuższą chwilę. Dochodzę już prawie do mojego kuluaru, gdy nagle z góry słyszę: Łubudu! Lawina leci!

Muszę przyznać, że już wiem, jak się czuje człowiek na własnej egzekucji. Stoję pośrodku żlebu, pionowe skały po obu stronach, uciekać w dół już za daleko, a tu z góry idzie lawina. Jeszcze jej nie widzę, tylko słyszę, ale wiem: zero szans. I... stał się cud. Lawina była niewielka i zatrzymała się dziesięć metrów przede mną. Dostałem tylko paroma niewielkimi bryłami[13].

Mimo to powaga mnie zdjęła. Kto nie był w takiej sytuacji, ten nie wie, co to jest poważne podejście do życia. Rzuciłem się w górę jak oszalały. Już nie chodziło mi o robienie nowej drogi, tylko o schowanie się do zbawczego kuluaru.

Wreszcie dopadam wylotu kuluaru. Szybko wspinam się po niewielkim progu z zamrzniętych trawek i jestem we właściwym kuluarze. I już wiem, że trafiłem z deszczu pod rynnę. Nade mną wielki, bardzo stromy, wypełniony śniegiem kuluar. Wstało słońce, zrobiło się trochę cieplej i z góry zaczynają spadać pojedyncze bryły śniegu. Poda mną, Maszynką do Mięsa, sunie właśnie kolejna lawina. Jest już większa. Ta by mnie na pewno zabrała.



Jan Oficjalski w czasie pierwszego przejścia "Superdirettissimi" wschodniej ściany Mniszka. Fot. Krzysztof Łoziński.

Śnieg w kuluarze ledwo się trzyma podłoża. Co chwila z tego pola śnieżnego dobiegają jakieś tąpnięcia i trzaski. Przejście po tym będzie jak kankan na polu minowym. Ale nie mam już odwrotu. Lawiny pode mną odchodzą jak ekspresy Hikari - co piętnaście minut.

Gramolę się w górę przez śniegi kuluaru, a pode mną cały czas: trzask, trzask, tąp, tąp. Przydałoby się uciec z tego w bok, ale będzie to możliwe dopiero w połowie kuluaru, pod przecinającym go przewieszonym progiem. Na razie mam z prawej strony gładkie płyty, a po lewej jakieś dziwne, przewieszane skały. Przypomniał mi się kolega, który w Hindukuszu po raz pierwszy w życiu stanął na lodowcu. A lodowiec, jak to lodowiec. Cały czas coś w nim trzeszczy i stęka. Ten kolega powiedział: „Panie, to jest żywe i to się rusza!”.

Idę więc kuluarem, a pode mną „to jest żywe i to się rusza”. Z góry cały czas lecą śnieżne bryły. Wreszcie mogę uciec w prawo. Ledwo zszedłem na skały, gdy dolna część rusza lawiną z wielkim hukiem. I zaraz uświadamiam sobie, że jak ruszy górna część kuluaru, ta nad progiem, to spadnie właśnie na mnie. Szybko dochodzę do żeberka, którym prowadzi moja droga „Błądzące Paniarki”, i właśnie wtedy wypala górna część kuluaru. Mam już wszystkiego dosyć. Doszedłem do połączenia z własną drogą, więc wariant właściwie zrobiony. Pchanie się w górę filarem w tak lawiniastych warunkach sprawiłoby, że pod kopułą szczytową znalazłbym się w pułapce - ani wychodzić zachodami w górę (w tych warunkach śmierć w oczach), ani schodzić przez Bańdzioch (śmierć w oczach tym bardziej). Dochodzę do wniosku, że może jestem wariat, ale nie idiota[14] i wycofuję się zjazdami na linie w prawo, przez Wielki Komin.

Wariantowi nie nadałem nazwy, ale dziś myślę, że powinien on się nazywać „Rosyjska Ruletka”. O ile wiem, ten wariant do dziś nie ma powtórzeń. I słusznie.

Pierwszą nową drogą, jaką zrobiłem w Tatrach, było „Śmigło”[15] na Mniszku (moim partnerem i pomysłodawcą drogi był Janek Hobrzański). Przy tej okazji też nastąpiło „przekroczenie subtelnej granicy między twardzielstwem a jajarstwem” i to nie tylko przez nas, ale także przez zespoły próbujące drogę powtórzyć.

Z obserwacji ściany ze Żlebu Mnichowego wiedzieliśmy, że na kluczowym odcinku spotkamy bardzo szeroką, ok. 15 centymetrową rysę, i że

trzeba tam będzie wbijać bardzo grube kołki. W tamtym czasie nie znano jeszcze kostek, friendów i innych takich rozwiązań. Do grubych szczelin używano drewnianych klinów zwanych kołkami. Wbijało to się tak samo jak haki, tyle że wytrzymałość tego sprzętu bywała iluzoryczna.



Nad morzem mgieł. Fot. Krzysztof Łoziński.

Za materiał na kołki posłużył nam kawałek płotu od taboriska. Trzeba było to jeszcze jakoś przypiąć do karabinków w celach transportowych. Do obciążania kołków służyły normalne pętłe owinięte dookoła kołka. Do celów transportowych wystarczył zwykły sznurek, ale go nie mieliśmy. W poszukiwaniu sznurka chodziłem po taborisku i wyciągałem z błota jakieś stare sznurowadła, sznurki od paczek itp. Na tych zdobyczach powiesiliśmy nasze kołki.

Pierwszego dnia zrobiliśmy dolną połowę ściany i, gdy dzień się skończył, dotarliśmy łatwym trawersem do drogi Stanisławskiego na Mnichową Przełęczkę Wyżnią i tą drogą uciekliśmy do góry ze ściany. Biwakowanie w miejscu, z którego można łatwo pójść do domu, nie miało sensu. Przedtem jednak Janek osadził w ścianie nasze kołki, a ja, idąc w tym

miejscu na drugiego, zabrałem z nich pętle, zostawiając tylko transportowe sznureczki. Kołków z reguły się nie wybijało. To był sprzęt jednorazowego użytku.

Następnego dnia nie mogliśmy wrócić w ścianę, bo zaczął padać pierwszy wrześniowy śnieg. Musieliśmy czekać aż 16 dni na poprawę pogody. W międzyczasie krążyła plotka, że w ścianie został nasz sprzęt (wcale nie został)[16]. Dwaj chłopcy skuszeni tym mitycznym sprzętem, który można „znaleźć” niby przypadkiem, poszli na naszą jeszcze nie dokończoną drogę, mimo złej pogody. Omijając trudności jak tylko się da, przeszli wyciąg z kołkami. Żadnego sprzętu oczywiście nie znaleźli, ale wrócili z obłędem w oczach. Jeden z nich wyznał mi: „Ale na tych waszych kołkach są straszne pętelki”. Okazuje się, że delikwenci nie wpadli na pomysł obwiązywania kołków normalną pętlą, tylko wpinali się do naszych sznureczków transportowych, wyciągniętych przeze mnie z taboriskowego błota.

Pogoda poprawiła się dopiero po szesnastu dniach. W górach leżał jednak wrześniowy śnieg. Skąła była częściowo obludzona, a z okapów wisały sopele. Kończyliśmy drogę o zmroku, łącząc się z kominem Stanisławskiego, czterdzieści metrów poniżej Wyżniej Mnichowej Przełęczki. I wtedy objawiła się niespodziewana przeszkoda. W kominie był regularny lodospad, około 10 metrów prawie pionowego lodu. Byliśmy obaj w letnich butach i z letnim sprzętem (nie mieliśmy haków lodowych)[17]. Nie mieliśmy żadnego czekana czy zimowego młotka. Janek walczył z lodospadem, rąbiąc letnim młotkiem stopnie i chwyty w lodzie. Mało, że musiał przejść lodospad w Maratonach, to praktycznie bez asekuracji i w zapadających ciemnościach. No, ale udało się.

Gdy stanęliśmy na przełęczce było już zupełnie ciemno. I wtedy okazało się, że nie mamy latarki. Dlaczego? A bo ja wiem? Zawsze brałem w góry latarkę, nawet idąc na Mnicha przez płytę, a tym razem żaden z nas latarki nie wziął. Nie ma się z czego śmiać. Wiele lat później dwie najlepsze polskie alpinistki z powodu braku światła nocowały na Hali pod Mnichem w kosówkach pięćdziesiąt metrów od ścieżki. Nam się jednak udało wrócić na taborisko, ale cośmy się nawłoczyli po kamieniach na prożkach Dolinki za Mnichem tuż obok łatwej ścieżki, to nasze.



Witold Szalankiewicz na "Direttissimie" wschodniej ściany Mniszka. Przez okapy nad nim prowadzi moja droga "Śmigło". Fot. z "Superdirettissimy" Krzysztof Łoziński.

Ze „Śmigłem” związana jest jeszcze jedna historyjka. Droga przez wiele lat była nie powtórzona. Nasza wycena (VI, A3) chyba działała odstrasza­jąco. W końcu, po prawie dziesięciu latach, wybrały się na nią dwa „młode talenty”. Doszli do pierwszego trudnego miejsca i stwierdzili, że „tego się nie da przejść”. Oskarżali nas nawet, że zmyśliliśmy tą drogę. Jeden z nich spytał wręcz: „Jakich haków tam używaliście? Bo myśmy nie mogli wbić żadnego!” Obaj z Jankiem twierdziliśmy jednak twardo, że haki tam wchodzą całkiem normalne, tylko trzeba umieć je wbijać.

Chłopcy narobili koło sprawy takiego szumu, że drogą zainteresował się Rysiek Malczyk, który bardzo lubił przechodzić rzeczy, o których inni mówili, że „tego się nie da przejść”. Następnego dnia, razem z Wojtkiem Ciepiałą, zrobił drugie przejście drogi.

Na nowej drodze wspinanie na żywca też raz mi się przydało i też w pewnym sensie było to przekroczenie subtelnej granicy, choć może nie „między twardzielstwem a jajarstwem”, co raczej między odwagą a szaleństwem. Było to na tak zwanych Małych Płytach na Czołówce. Drogę robiłem solo i z początku dość niemrawo, bo było trudno i kilka razy zapychałem się w jakieś warianty, gdzie trzeba byłoby osadzać rządki spitów, a tego robić nie chciałem. Doszedłem mniej więcej do dwóch trzecich długości drogi i zabiwakowałem na niewielkiej półce. Noc była nawet przyjemna, a biwak właściwie luksusowy.

Nad ranem zaczęło się chmurzyć i, kiedy byłem już gotowy do wspinaczki, zaczęły padać pierwsze płatki mokrego śniegu. Wiedziałem, że do końca trudności mam najwyżej półtora wyciągu i wiedziałem, że teraz albo nigdy. Jeśli zmarudzę jeszcze pół godziny, warunki będą takie, że będę musiał się wycofać.

Zostawiłem na półce prawie cały sprzęt, biorąc tylko kilka haków i linę do zjazdu, po czym przeszedłem na żywca cały wyciąg trudności wycenianych dziś na VI+, i jeszcze kawałek bardzo stromych trawek, wprawdzie łatwych, ale z lekka już przyprószonych letnim śniegiem i przez to bardzo śliskich.

Tak padła droga nazwana przeze mnie „Nabrzmiałe Problemy”. Nazwa oczywiście, jak zwykle, pochodzi z gierkowskiej nowomowy („Przejściowe trudności i nabrzmiałe problemy powodują przerwy w pracy i przestoje, ale trzeba pamiętać, że jest czas pracy i czas dyskusji” - tak mawiał Gierek na wieść o strajkach).



Żabi Koń, Żabia Turnia Mięszowiecka, Wołowa Turnia i Wołowy Grzbiet. Na pierwszym planie Tomkowe Igły. Fot. Krzysztof Łoziński.

Jak przejść na żywca VI+ w opadzie topniejącego śniegu? Przecież to bardzo proste: trzeba iść do góry i nie spadać. Ale to się tylko tak łatwo mówi. W rzeczywistości wspinaczka „na żywca” wymaga zupełnie wyjątkowej koncentracji i niezłego kombinowania. Podstawową zasadą bezpieczeństwa jest unikanie pakowania się w takie miejsca, w których utrzymanie się będzie wymagało używania dużej siły. Może więc być bardzo trudno, ale w zasadzie co kilka przechwytów trzeba znajdować stabilną pozycję, w której będzie można spokojnie stać nawet bardzo długo, jeśli zajdzie taka potrzeba. Trzeba też jak ognia unikać „zapychów”[18] i pamiętać o zostawieniu sobie zawsze możliwości powrotu do poprzedniego miejsca.

Jeśli zachować powyższe zasady, „żywczyk” wcale nie jest czystym wariactwem. W tym wypadku miałem przecież cały czas ze sobą haki i linę. Gdyby teren okazał się zbyt trudny, to w każdej chwili mogłem się wycofać.



Mgła potrafi tworzyć niesamowite krajobrazy. Fot. Krzysztof Łoziński.



W zimie autobus dojeżdżał tylko do Łysej Polany. Stamtąd trzeba było iść piechotą. Po 10 kilometrach marszu z ciężkim worem po śniegu światła schroniska witało się jak zbawienie. Fot. Krzysztof Łoziński.

Istnieją przejścia, w czasie których znacznie przekroczono granicę szaleństwa. Mam na myśli przejścia Tomo Cesena (zdobycie na żywca ogromnych ścian Jannu i Lhotse) oraz Crisa Proffita (przejście na żywca Direttissimi Amerykańskiej na Petite Dru, drogi o trudnościach VIII). Nie można jednak z takich przejść robić wzorca. Rekord świata nie jest normą.

Cofnijmy się jeszcze do sezonów 71-73. Były to bardzo dla mnie ważne lata, bo w tym czasie, począwszy od września 71' do sierpnia 73', uczestniczyłem w poprowadzeniu kilku istotnych nowych dróg. Były to, wspomniane już, „Śmigło”, „Czarne Zacięcie”, warianty prostujące do „Kurtykówki” i duża, trudna droga na wschodniej ścianie Młynarzowych Wideł. Tej drodze warto poświęcić nieco uwagi.

Wcześniej w ścianie Młynarzowych Wideł znajdowała się tylko jedna droga: Plšek - Harnicek, opisana jako „środkiem ściany, skrajnie trudno, techniką hakową”. Taki opis sugerował, że droga prowadzi prosto przez największą strefę przewieszoną, w górnej części ściany. W rzeczywistości, droga nie tylko nie rozwiązuje głównego spiętrzenia, ale i nie prowadzi środkiem ściany (raczej lewą stroną)[19].



Okapy wschodniej ściany Mniszka, przez które przebijają się przez nie dwie moje drogi: "Superdirtissima" (lewa) i "Śmigło" (prawa). Fot. Krzysztof Łoziński.

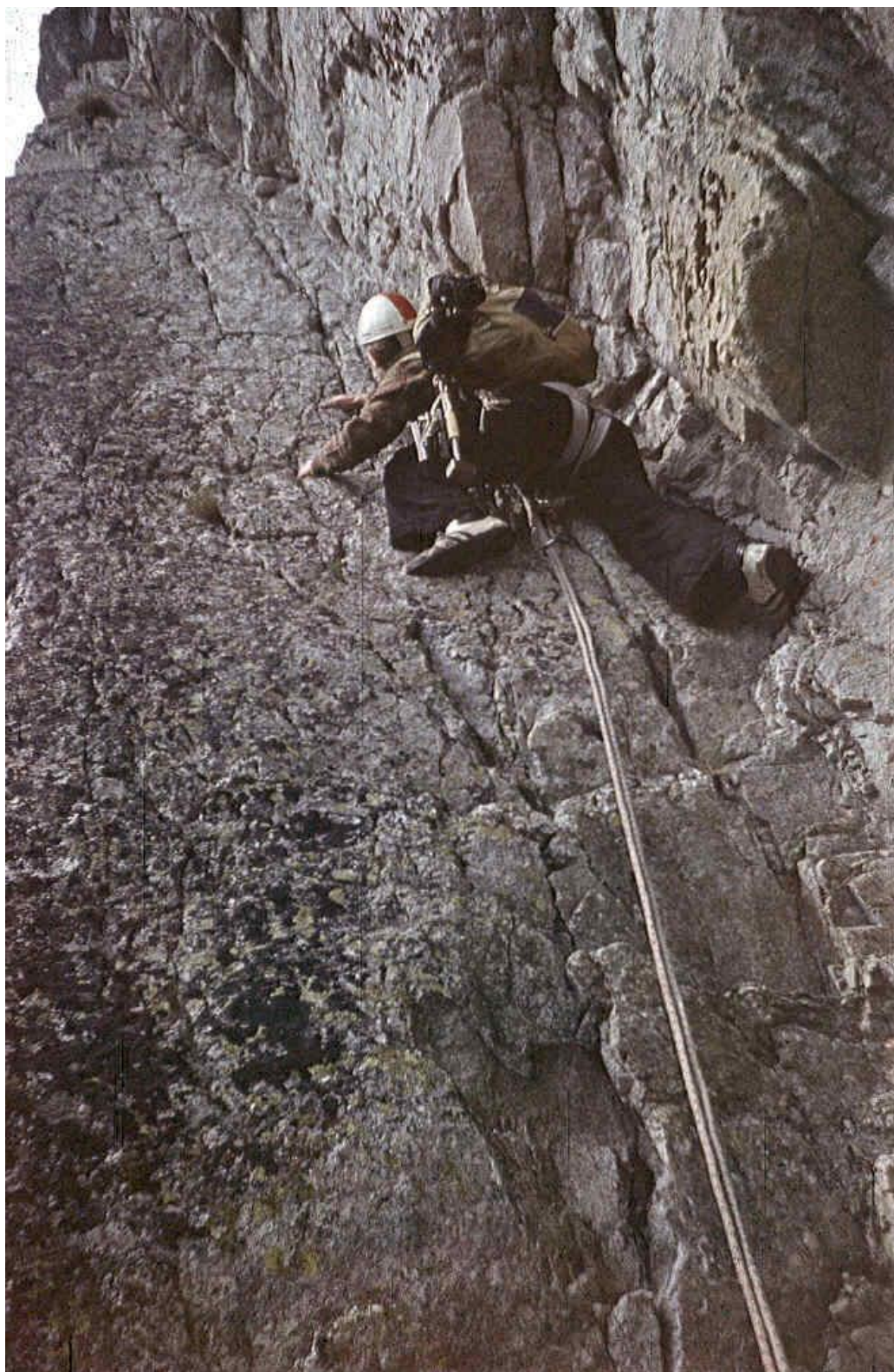
Nam autorzy tej drogi zrobili mimowolny prezent. Dzięki mylącemu opisowi, mieliśmy do dyspozycji niemal nietkniętą wielką i trudną ścianę. Co pamiętam z tego przejścia?

Wyjątkowo piękną skałę, pozwalającą na klasyczne wspinanie w zupełnym pionie i coraz większe przewieszenie w górnej części ściany. Niby się tego przewieszenia nie czuło, tylko lina wisiała coraz dalej od skały. To jedna z najładniejszych dróg, jakie zrobiłem.

Robienie nowych dróg było, obok solówek, istotną częścią mojej górskiej działalności. Poprowadziłem ich w Tatrach ponad sześćdziesiąt, ale z tego tylko około dwudziestu to drogi istotne. O kilku z nich opowiem w kolejnych rozdziałach.



Wigilia w Morskim Oku. Był zwyczaj, że kolację wigilijną spożywali wszyscy taternicy wspólnie z obsługą schroniska. Pierwszy z lewej Ryszard Pilch, Tadeusz Strzeszowski, na prawo od kelnerki Jan Zaunar., Ryszard Pawłowski, Grażyna Pawłowska. Fot. Krzysztof Łoziński.



Mieczysław Prószyński na "Direttissime" wschodniej ściany Mniszka. Fot. Krzysztof Łoziński.

Przypisy:

[1] Drogi o trudnościach drugiego stopnia w skali tatrzańskiej, z wyjątkiem jednego miejsca III+ na Filarze Staszla. Ta ostatnia droga z całkowicie niezrozumiałych powodów w przewodniku W. H. Paryskiego wyceniona jest na V.

[2] Czołówka MSW - środowiskowe określenie ściany czołowej północnego filara Mięguszwieckiego Szczytu Wielkiego.

[3] W tej chwili już 50 lat. Gdy wyszło pierwsze wydanie książki było to niecałe 40 lat.

[4] Z praw fizyki wynika, że siła powstająca przy hamowaniu upadku jest tym większa, im krótsza jest droga hamowania. Zablokowanie liny na sztywno powoduje, że droga hamowania jest bardzo krótka (tylko taka, o jaką długość rozciągnie się lina). Grozi to powstawaniem sił idących w tysiące kilogramów nawet przy małym locie.

[5] Są to przyrządy, które same zaciskają się na linie pod obciążeniem.

[6] W końcu, „stoper włoski” lepiej brzmi niż węzeł Abalakowa, a że Włosi o „stoperze włoskim” nie słyszeli...

[7] Małpki, małpy - przyrządy do podchodzenia po linie.

[8] Przyrząd zaciskowy działający na dwóch linach jednocześnie.

[9] Nie wiem jak to zrobili, bo na tej drodze na ogół słyszalność jest dobra, ale, jak widać, ludzie są zdolni.

[10] Simondzik - lub simond. Rodzaj cienkiego haka.

[11] Trójka - tu: trzeci stopień trudności w skali tatrzańskiej. Drogi o tym stopniu trudności taternicy uważają za zupełnie łatwe

[12] Dwójkowa - to znaczy o trudnościach drugiego stopnia („nieco trudno”). Są to trudności, które taternicy uważają za teren zupełnie łatwy, nie wymagający stosowania asekuracji.

[13] Nie wiedziałem wtedy, że i tak nie miałbym szans przy porządnej lawinie z Bańdziocha. Jest takie zdjęcie wielkiej lawiny schodzącej Maszynką do Mięsa, na którym widać, że lawina przewala się przez skały Buli pod Bańdziochem i Filara Mięgusza na wysokości ok. 150 metrów na dnem żlebu.

[14] Za mojego dzieciństwa był taki dowcip: Pewien facet jechał samochodem i złapał gumę w pobliżu zakładu psychiatrycznego w Tworkach. Zaczął zdejmować koło i odkręcane śruby wkładał do dekla. Gdy odkręcił koło, trącił nogą dekiel i wszystkie śruby wpadły mu do rowu z wodą. „Czym ja teraz przykręcę koło” - myśli. Wtedy zza płotu psychiatryka odzywa się jakiś gość:

- Niech pan odkręci po jednej śrubie z pozostałych kół i tymi trzema śrubami przykręci prowizorycznie koło. Żeby dojechać do warsztatu wystarczy.

- Dziękuję panu za radę - mówi facet - Ale, ale, przecież pan wariat!

- Owszem wariat, ale nie idiota.

[15] Nazwa drogi pochodzi od kształtu okapu, przez który przechodzi.

[16] Było takie powiedzonko: „Po przejściu połowy ściany Kazalnicy po dziwnie nowych poręczówkach niewiadomego pochodzenia, zupełnie przypadkiem znaleźliśmy cały plecak nowego sprzętu, który nie wiadomo skąd się tam wziął”.

[17] Haki lodowe - wbijane lub wkręcane w lód. W tamtych czasach, poza znanymi do dziś śrubami lodowymi, używano jeszcze tak zwanych igieł lodowych.

[18] Zapych - ślepy wariant, który prowadzi do nikąd.

[19] Winien tu jestem dodatkowe wyjaśnienie. Droga Plšek - Harnicek jednak przechodzi przez strefę przewieszoną po jej lewej stronie i jest trudna. Nieco później przeszliśmy rzekomo tę drogę z Jankiem Oficjalskim i Mietkiem „Bimonem” Prószyńskim i było nam łatwo – zaledwie V-. Rzecz jednak w tym, że błędnie przeczytaliśmy opis i wcale nie przeszliśmy drogi Plška, tylko zupełnie nową drogę w lewej części ściany. Do takiej konkluzji doszedłem dopiero niedawno, po szczegółowej korespondencji z Jankiem Hobrzańskim. Tak więc w ścianie Młynarzowych Widel nie zrobiłem jednej nowej drogi, tylko dwie - drugą myśląc, że powtarzam drogę Plška.

Jak padły „Miękkie Ruchy”

Moje pokolenie ma pecha do festiwali w Woodstock. Tego pierwszego nie oglądaliśmy, bo za czasów Gomułki władze nie życzyły sobie, by społeczeństwo oglądało zabawę wolnych ludzi. Ten drugi oglądaliśmy dokładnie ocenzone (wycięto w telewizji wszystkie postacie chodzące na golasa), sprowadzony do muzyczno-estradowej papki, dzięki ustawowym „wartościom” w telewizji. Mieliśmy jednak swoje skromne Woodstock. Nazywaliśmy tak w przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pewne ukryte rozlewisko Rybiego Potoku, nad którym panienki z taboriska opalały się w stroju topless oraz odbywano obupłciowe kąpiele nudystyczne. Nastrój tego miejsca nie pasował ani do ówczesnej koszmarnej sztywnej linii „realnego socjalizmu,” ani do dzisiejszej przewodniej roli „wartości chrześcijańskich”[1].

Pewnego dnia zająrzałem na Woodstock i zastałem tam wyjątkowo liczne towarzystwo w strojach i bez.

- To wy się nie wspinacie? - zapytałem zdziwiony, bo pogoda była jak drut.
- Człowieku - usłyszałem w odpowiedzi - kto by się wspinał w taką pogodę?

Muszę tu wyjaśnić dlaczego opowiadam to wydarzenie. Początek lat siedemdziesiątych był, przynajmniej w moim odczuciu, tym momentem, od którego zaczęło się dość powszechne łamanie dotychczasowych odwiecznych i świętych kanonów alpinizmu. Jednym z takich kanonów była zasada wspinania się wyłącznie przy pięknej pogodzie. Wcześniej uważano, że przy najmniejszych oznakach nadchodzącego załamania pogody należy niezwłocznie wycofać się ze ściany, nie mówiąc już o tym, że nie należy w ogóle w nią wchodzić. Postawienie sprawy w ten sposób, że „lampa” (piękna pogoda) jest od byczenia się na Woodstock, a „dupówa” (czyli odwrotność „lampy”) jest od chodzenia w góry, było niemalże świętokradztwem.

Wspinanie przy złej pogodzie do dziś nie stało się normą i pewnie nigdy nią nie będzie, ale wyjście w góry w deszczu lub w opadzie śniegu zimą, nie jest już żadną sensacją.



Fragment Czołówki MSW. W linii pozornej krawędzi ściany idą "Miękkie Ruchy" (lewa strzałka), wielka czarna plama to "Czarne Zacięcie" (środkowa strzałka), zacięcie zakończone bumarangowatym okapem to "Szare Zacięcie" (prawa strzałka). Fot. Krzysztof Łoziński.

Chcę tu opowiedzieć o dwóch swoich przejściach, które wprawdzie nie były moimi pierwszymi wspinaczkami w złych warunkach, ale były przynajmniej dla mnie, wydarzeniami istotnymi z paru powodów. Po pierwsze, ze względu na rangę dróg. „Szare Zacięcie” i „Miękkie Ruchy” na Czołówce Miękusza (bo o te dwie drogi tu chodzi) są drogami o średniej długości (ok. 8 wyciągów) ale o dosyć dużych trudnościach technicznych. W dodatku, mają właściwie na całej długości tak zwany ciąg trudności. Są też drogami wyjątkowo pięknymi. Były to przejścia istotne także ze względu na sposób, w jaki zostały zrobione. W obu przypadkach były to pierwsze przejścia tych dróg. „Szare Zacięcie” poprowadziłem nie tylko w „opadzie ciągłym”, ale w dodatku solo. Na „Miękkich Ruchach” miałem aż dwóch znakomitych partnerów, ale warunki atmosferyczne, jakie panowały podczas tego przejścia, można by określić tylko jako „skrajne załamanie pogody” albo popularniej jako „dupowę totalną”.

Na „Szare Zacięcie” wychodziłem z taboriska aż osiem razy, za każdym razem w siąpiącej mżawce, i za każdym razem wypisując się w książce wyjść (dlatego autor jednego z późniejszych przewodników wyliczył pracowicie wszystkie daty z książki, tak jakby przejście trwało osiem dni. W rzeczywistości „szychty” były tylko trzy, z czego jedna poszła całkowicie na straty, bo żaden z przebytych tego dnia odcinków skały nie znalazł się w ostatecznej linii drogi. Pozostałe wyjścia kończyły się na podejściu pod ścianę i stwierdzeniu, że leje nieco za mocno, by się wspinać). Pewnego dnia, gdy nie poszedłem się wspinać, Miśka, moja żona powiedziała z wyrzutem:

- Dziś mało pada, mogłeś iść się wspinać.

Zabrzmiało to jak „ty leniu”.

Początkowo nie działo się nic ciekawego, poza tym, że było trudno. Musiałem miejscami podhaczać[2] i na całej drodze (dziś całkowicie klasycznej)[3], obciążylem aż dziewięć haków, przez co niektórzy komentatorzy uznali moje przejście za hakowe. Ale bez przesady. Jeden obciążony hak na wyciąg - to jeszcze nie hakówka! Przecież lał deszcz, moi krytykanci w ogóle nie wychylali nosa spod namiotu, na skale były jeszcze dziewicze meszki i porosty, nie było gumy superfriction[4] i na nogach miałem polskie adidasy, nieco zużyte (na czubkach stałem właściwie tylko na skarpecie wystającej przez dziury). Ale krytykanci byli, są i będą. Uznali moje przejście za niestyłowe, bo podhaczałem i poręczowałem[5].



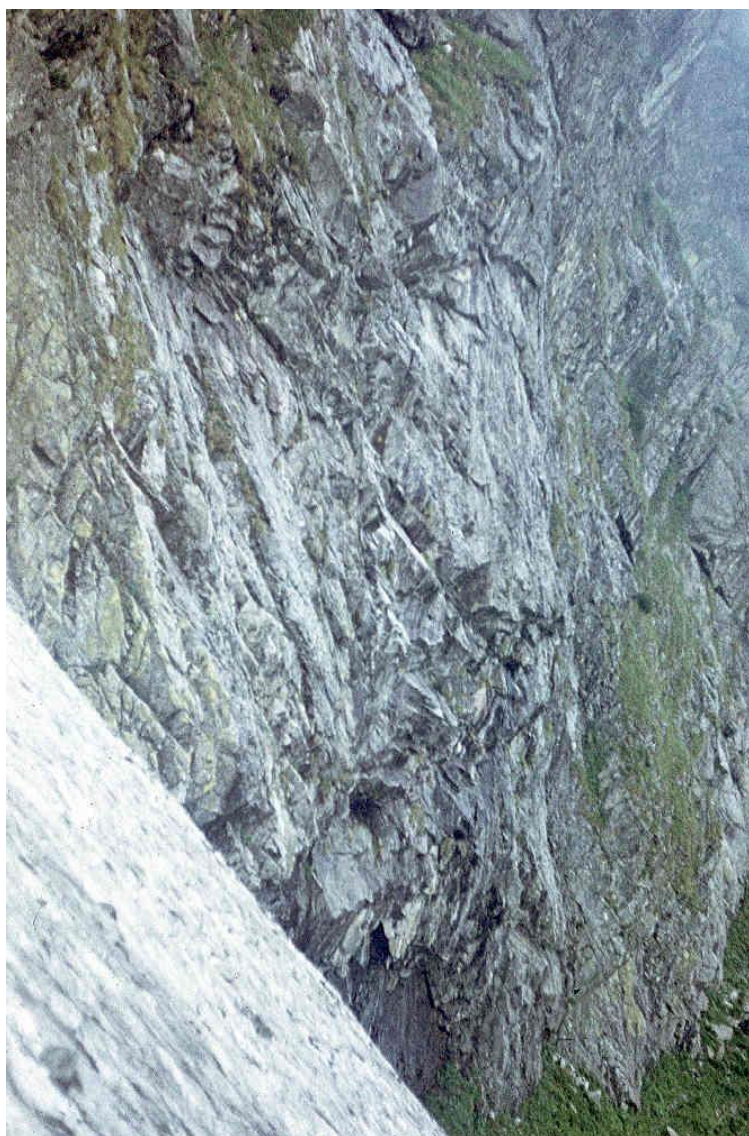
"Szare Zacięcie". Moja poręczówka w deszczu. Fot. Krzysztof Łoziński.

Pierwszy, ciekawszy incydent miał miejsce tuż ponad trudną ścianką, mniej więcej w połowie zacięcia. Był to wprawdzie już czwarty rok solówek i wypracowano już pewien system asekuracji, ale ciągle jeszcze był to czas eksperymentów. No więc miałem aż trzy liny. Jedną do asekuracji, drugą do zjazdów, a trzecią jako repa[6]. Na wiszącym stanowisku ponad ścianką (dziś nikt w tym miejscu nie zakłada stanowiska) panowała straszna ciasnota. Wór ze sprzętem, kupa luźnego szpeju[7], moje trzy liny i to wszystko wiszące razem ze mną na trzech hakach. Muszę tu wyjaśnić, że na solówce trzeba po

każdym wyciągu przepiąć przyrząd asekuracyjny w odwrotną stronę oraz że wszystkie trzy liny, jakie miałem były dokładnie takie same. Dziarsko wystartowałem w górę i przeszedłszy około piętnastu metrów w trudnościach V+[8], stwierdziłem, że lina, z której się asekuruję, wisi sobie luźno w powietrzu, po czym, zatoczywszy łuk, wraca z powrotem do mnie, oczywiście nie przechodząc przez żaden przelot i żadne stanowisko. Pomyliłem liny! Zamiast do liny asekuracyjnej wpiąłem przyrząd do repa! Nie tylko nie mam asekuracji, ale i nie mogę wyciągnąć ze stanowiska żadnego sprzętu. Sytuacja, ogólnie mówiąc niewesoła, zważywszy, że jestem w nie chodzonym nigdy terenie, na skale porośniętej nie startymi jeszcze przez liczne przejścia meszkami i porostami, w deszczu i w dużych trudnościach. Muszę przyznać, że schodzenie bez asekuracji w trudnościach V+ jest emocjonujące.

Ale idźmy dalej. Zacięcie zamyka trójkątny okap. Doszedłem pod okap i stwierdziłem że klops. Zamiast szczeliny jest pod okapem pozioma rysa o szerokości aż 30 centymetrów. Wbić się w to niczego nie da, a jest za małe, żeby się w to zmieścić. Koniec tej skalnej szuflady zatyka paskudna kupa trawy i kamieni, a dolna powierzchnia pokryta jest lustrem tektonicznym. Lustro tektoniczne - to skała bardzo ładna - seledynowo zielona, tylko śliska jak cholera. W dodatku ścianka pod spodem nieco się przewiesza. Nie ma wyboru. Trzeba złapać za dolną krawędź tej szuflady, jak za nieco pochyły i piekielnie śliski parapet, a nogami przebierać po łysej i przewieszanej płycie no i drzeć na łapach chyżo w lewo, póki buła wytrzyma. Ale nie w tym problem. Buły ci u nas dostatek - można by rzec. Prawda, że brakiem „przypaku” nigdy nie grzeszyłem. Ale co zrobić z tą kupą ziemi, trawy i kamieni na końcu? Czy będzie tam czego się ucapić?

Ludzie, którzy dzisiaj przechodzą „Szare Zacięcie” na ogół nie rozumieją, dlaczego ten odcinek był dla mnie taki trudny. Pokonują go zwykle nieco niżej po mikrostopieńkach, które dla mnie, a raczej dla moich dziurawych adidasów, nie nadawały się do korzystania. Po drugie, pod okapem nie ma już złośliwej kupy trawy i kamieni, bo ja ją wyrwałem i wywalilem, a po trzecie, jakiś nieznany rzeźbiarz przyłożył parę razy młotkiem w lustro tektoniczne w „szufladzie” i powstały małe chropowate wgłębienia znacznie poprawiające jakość chwytów. Wtedy było tam naprawdę potężnie trudno. Najpierw kilka metrów „darcia na łapach” i na końcu chwyt za trawę nadzianą luźnymi kamieniami. Nie mówię nawet, że dziś na tym odcinku są dwa stałe haki. A z odwagą jest jak z polem elektrycznym - maleje z kwadratem odległości (od haka).



^

Najniższa część północnej ściany Turni Zwornikowej, przez którą prowadzi droga Wilmy i moja - "Proxima" (w linii strzałki). Fot. Krzysztof Łoziński.

Z „Szarym Zacięciem” związane jest pewne nieporozumienie. Nazwa, którą nadałem drodze brzmi „Idzie ku Lepszemu” (takie hasło Eda Gierka). Fijał przerobił tę nazwę na „Polak Potrafi” (też hasło Eda Gierka, a zarazem nazwa jednej ze skałkowych dróg Fijała) i taka nazwa ukazała się we „Wspinku” i „Taterniczku”. Gdy pisałem monografię Czołówki dla „Taternika”, nie mogłem zamieścić mojej nazwy, bo redaktor nie uznawał poetyckich nazw dróg. Wtedy pojawiła się nazwa „Szare Zacięcie” i w ten sposób droga zaczęła mieć aż trzy nazwy. Hasła Eda Gierka były idealne na nazwy dróg. Były śmieszne przez swoją buńczuczność. Kraj szedł w rozsypkę,

gospodarka się waliła, a Gierek głosił „idzie ku lepszemu”, „Polak potrafi”, „dynamiczny rozwój”, a gdy już tracił władzę mówił o „nabrzmiących problemach”. Wszystko to zastosowałem jako nazwy dróg. Tylko „Polak potrafi” przerobiłem na „Polak przetrzyma”.

Przy okazji przejścia „Szarego Zacięcia” jeszcze jedną rzecz zrobiłem po raz pierwszy. Zjechałem ścianą zamiast dreptać do góry i wracać przez Bańdzioch lub przez Galerie Cubryńskie. Ta metoda powrotu przyjęła się później na dobre.

Po ostatnim zjeździe nie mogłem ściągnąć liny. Połowa liny zeszła, ale koniec gdzieś się zaczepił na stanowisku. Byłem zmęczony, lał deszcz i nie chciało mi się z tym szarpać. Zostawiłem linę. Zimą przyszli pod ścianę Michał Momatiuk z Włodzimierzem Pobórką. Szli na drogę Starka. Stwierdzili, że druga lina im się przyda. Momo bez wahania założył na linę jumary, wszedł po niej czterdzieści metrów, przełożył poprawnie przez stanowisko, zjechał i ściągnął.

- Nie bałeś się, że koniec liny zaczepiony nie wiadomo jak i nie wiadomo o co może się wymsknąć i walniesz z czterdziestu metrów? - spytałem go później.

- Nie. Przecież ten koniec był przysypany śniegiem, to musiał się trzymać.

Jeśli na tym etapie doszedłeś już czytelniku do wniosku, że wszyscy alpiniści to wariaci, to muszę Ci powiedzieć, że nie masz jeszcze na to wszystkich dowodów, bo nie czytałeś jeszcze o przejściu „Miękkich Ruchów”.

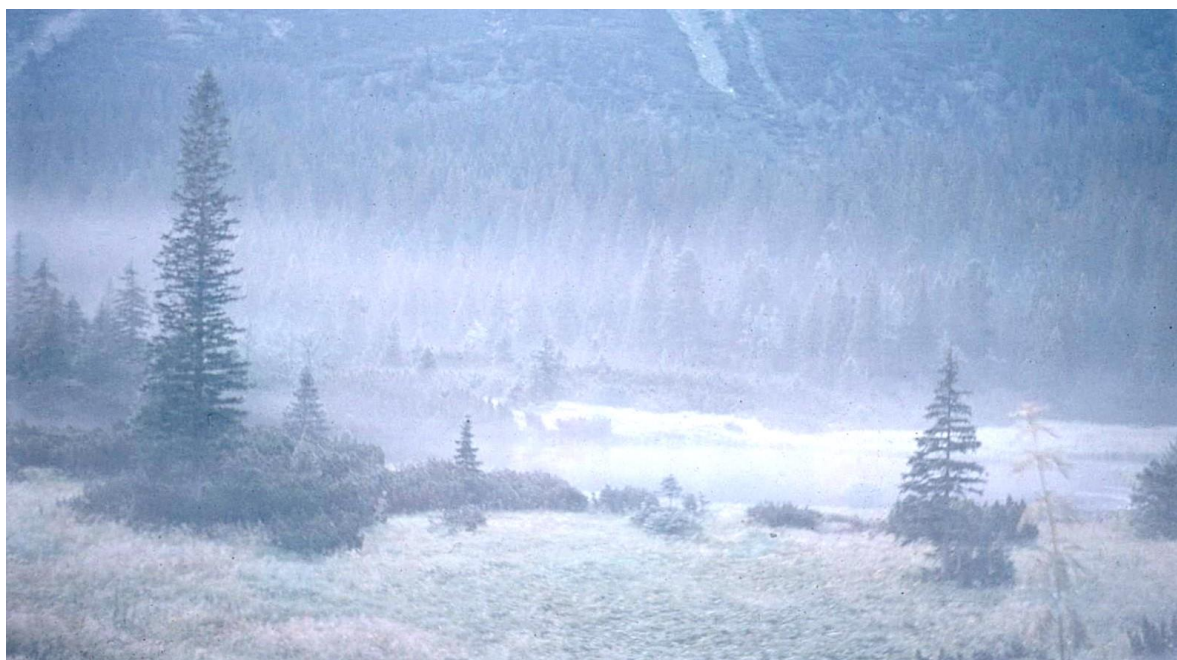
Gdy przed wyjściem w ścianę pakowaliśmy sprzęt do plecaków, które na tej drodze nazywaliśmy „walizkami”, do naszego pokoju w schronisku wszedł niejaki Muszelka. Popatrzył krytycznie na opad ciągły gęstej śnieżycy za oknem i spytał, co robimy.

- Idziemy się wspinać - odparłem.

- Ale śnieg pada! - wykrzyknął zdziwiony.

- Bo jest zima - oświadczyłem spokojnie.

Takie postawienie sprawy zaowocowało dość nieoczekiwanie tym, że zaraz po nas kilka zespołów poszło się wspinać, mimo że intensywność opadu wcale nie zmalała.



Rozlewiska Rybiego Potoku, czyli Woodstock, we mgłach przed świtem. Fot. Krzysztof Łoziński.

Podstawowym problemem pierwszego dnia poręczowania było podejście pod ścianę, a ściślej mówiąc torowanie w świeżym śniegu po pas. Już na środku zamarzniętego Morskiego Oka okazało się, że widoczność w padającym śniegu jest tak mała, że mamy trudności z określeniem kierunku, w jakim mamy się poruszać. Byliśmy otoczeni zewsząd idealnie białą przestrzenią. Kopanie się w śniegu po pas to dość męczące zajęcie. Nie ma takiego byka, który wytrzymałby więcej niż 200 - 300 metrów takiego wysiłku bez zmiany na prowadzeniu. Jeśli jednak sięgniesz czytelniku po książkę niejakiego Aleksandra Suworowa „Akwarium”, to przeczytasz w niej, że dzielni radzieccy komandosi ze Specnazu przechodzą po zaśnieżonej Tajdze 75 kilometrów dziennie. Gdy przeczytałem ten fragment, to od razu wiedziałem, że podający się za superkomandosa Suworow nie chodził po śniegu dalej, niż koło domu z psem.

W każdym razie nam torowanie pod ścianę zajęło kilka godzin. Naprawdę wesoło zrobiło się dopiero na podejściu od stawu w górę. Do torowania dołączyło się zapadanie między gałęzie przykrytej śniegiem kosowy oraz nadśłuchiwanie odgłosów licznych lawin, których nie mogliśmy widzieć z powodu śnieżnej zadymki. Słyszeliśmy je natomiast wystarczająco wyraźnie, by za każdym razem rozważać: na nas leci, czy nie na nas? A to wcale nie jest

retoryczne pytanie. Pod Czołówkę Mięgusza podchodzi się po jednym z wielkich stożków piargu (w zimie pokrytych śniegiem).

Stożki te - to po prostu ślady po wybiegach dla wielkich lawin. Lewy z nich wyrasta z tak zwanej Maszynki do Mięsa, czyli krętego żlebu o pionowych ścianach, nad którym znajduje się Bańdzioch - wielki kocioł otoczony Mięguszowieckimi Szczytami. Cały śnieg ze ścian tych szczytów spada do Bańdziocha, w którym rodzą się gigantyczne lawiny. Wałą one w dół Maszynką do Mięsa, gdzie ich czoło spiętrza się na kilkadziesiąt metrów w górę, a następnie wytracają pęd na owym stożku nad stawem. Tworzą tam lawiniska, których zwały dochodzą czasem do 30 metrów grubości. Drugi stożek to wybieg dla lawin z Małego Bańdziocha, który zbiera śnieg z północnej ściany Mięguszowieckiego Szczytu Wielkiego i z Cubryny, tworząc lawiny niewiele gorsze niż jego wielki brat. Pod ścianę podchodzi się granicą obu stożków czujnie nasłuchując w którą stronę pryskać (swoją drogą nie słyszałem, by przed lawinami z Bańdziochów komuś udało się prysnąć). Gdy jest się pod samą ścianą można jeszcze zostać zasypanym przez lawinę z wielkich pól śnieżnych nad Czołówką. W samej ścianie, w takich warunkach jak wtedy, grasują już tylko zwykłe lawiny pyłowe zatykające oddech, zasypujące oczy, gaszące właśnie zapalone papierosy, a przede wszystkim, wciskające śnieżny pył w intymną przestrzeń między ciałem a ubraniem, dostarczając niezapomnianych lodowatych przeżyć.

Tego dnia pyłowy urządziły sobie całkiem niezłe harce. Wydeptaną pod ścianą platformkę w śniegu, na której wiązaliśmy się i wypakowaliśmy z worów sprzęt, trzeba było co chwila udeptywać na nowo po każdej wizycie pyłowej lawiny.

Wreszcie Kowal zaczął prowadzić pierwszy wyciąg, wsiadając w ławeczki już dwa metry nad ziemią i uświadamiając nam, że to co miało być „podejściem pod trudności”, niestety też będzie ciężką walką o każdy metr skały. W tym czasie prowadziliśmy sobie mniej więcej taką swobodną konwersację:

- Kowal, co ty? Haczysz? Dzielni dyktaclimbers przeszliby to klasycznie.

- No tak, w skałkach Jury Krakowsko-Ciennogrodzkiej są chłopcy, co się podciągają na jednym palcu, sam widziałem.



Ślady na zamrożonej tafli Morskiego Oka oświetlone przez schronisko. Fot. Krzysztof Łoziński.

- Niech sobie ten palec do śniegu włożą - dobiega ponury głos z góry.
- O kurwa, pyłowa!
- Kowal dawaj żwawo, klasycznie.
- (bluzg jaki padł w odpowiedzi nie nadaje się do publikacji).
- O kurwa, mam śnieg w rękawicach - mówię.
- Roztop łapkami - proponuje Kowal.
- Jak się wysuszy, to się wykruszy - dodaje Pafnuc.
- O kurwa, pyłowa!

I tak mniej więcej cały czas. Do fajrantu urobiliśmy jeden wyciąg[9].

Zostawiliśmy poręczówkę i wróciliśmy do schroniska.



Mój namiot na taborisku w zimie. Do wspinaczki na "Miękkich Ruchach" startowałem spod namiotu. Fot. Krzysztof Łoziński.

W nocy zadymka śnieżna pokazała, co potrafi. Rano nasz przetorowany szlak nie istniał. Znowu torujemy w śniegu po pas. Tym razem mamy towarzystwo. Orzechówa z Rudą idą na Lewą Dziadkówkę, a Muszelka ze swoim partnerem - na Czarne Zacięcie. Towarzystwo jednak nie pali się do torowania, zostawiając nam tę przyjemność. Podobno „znamy drogę”.

Wpadamy na pomysł, że byłoby jeszcze weselej, gdyby ktoś poszedł na Fijała, czyli drogę tuż na prawo od nas.

- Muszelka, idź na Fijała. To droga kursowa, III+, A1[10].
- Ja bym poszedł, ale kto będzie prowadził?

Muszę tu wtrącić małe wyjaśnienie i nieco cofnąć się w czasie. Kilka lat wcześniej, także w zimie, robiłem pierwsze zimowe przejście własnej drogi ograniczającej Czołówkę z lewej strony, czyli „Błądzących panienek”. Pogoda była wtedy dobra, ale bardzo mroźna i wiał spory wiatr. Wiatr, główny twórca lawin pyłowych, dawał wszystkim nieźle w kość. Początkowo miałem dwóch partnerów: Benka i Jacka. Pierwszego dnia Benek, z powodu niepozornie wyglądającego huśtnięcia się na poręczowce, uderzył kolaniem o skałę i złamał nogę w kolanie. Musieliśmy wycofać się z drugiego wyciągu. W tym samym czasie Fijał prowadził swoją drogę w towarzystwie Ewy - dobrej łódzkiej alpinistki i dwóch młodych talentów, których imion już nie pamiętam (Fijał wziął w ścianę kucharza, tragarza i babę - głosiła schroniskowa plotka). Pierwszego dnia wspomagał go jeszcze Piotr - też świetny alpinista. Piotr jednak musiał później wyjechać i nie brał udziału w przejściu reszty drogi. Tego dnia, gdy wycofywaliśmy się z kontuzjowanym Benkiem, Piotr osadził w skale pierwsze dwa nity[11].

Schodziliśmy bezpośrednio spod Maszynki do Mięsa, i aby nie być w bezpośrednim zasięgu lawin z Bańdziocha, poszliśmy najpierw mocno w lewo, chowając się pod osłonę ściany. Dopiero wtedy zaczęliśmy schodzić. Gdy uszliśmy zaledwie kilkadziesiąt metrów, Maszynka do Mięsa plunęła wielką lawiną, której zwały kotłowały się niemalże u naszych nóg. Stosując „zasadę sapera” (bomby nigdy nie trafiają dwa razy w to samo miejsce) przeszliśmy na świeże lawinisko. Gdy zeszliśmy następne sto metrów, wystrzelił Mały Bańdzioch. Lawina doszła prawie do nas. Znowu uciekamy w lewo na świeże lawinisko i po chwili Maszynka do Mięsa strzela w nas lawinową dokładką.

Gdy Mały Bańdzioch decyduje się na nowe lawinowe harce, jesteśmy już poza jego zasięgiem.

- Łoza jest czujny jak pies podwójny - krzyczy ze ściany Ewa, która cały czas obserwowała nasz slalom między lawinami.

Następnego dnia Fijał walczy w największym okapie na tej ścianie. W wielkiej strefie przewieszanej nad nim robi pająka[12] i inne dość akrobatyczne sztuki. Z naszej drogi wygląda to niezwykle efektownie. Potężny mróz robi swoje i wieczorem wycofuje się odmrożony Jacek. Zostaję sam. Noc jest bardzo ciężka. Wiatr cały czas szarpie płachtą biwakową, nie pozwalając na sen oraz na zagotowanie czegokolwiek. Wiatr gasi palnik, pozbawiając mnie nie tylko ciepłej strawy, ale także płynów, które w ścianie uzyskuje się tylko ze stopionego śniegu. Rano, skostniały z zimna i zmęczony bezsennością, zaczynam mozolne odrabianie kolejnych wyciągów. Strącane

wiatrem lawiny pyłowe zmuszają do ciągłego czyszczenia ściany ze świeżego puchu. Po drugim bezsennym, zimnym i głodnym biwaku wychodzę na grzędę filara i widzę Fijała wychodzącego właśnie na górę ze swojej zerwy. Ja mam dosyć i zjeżdżam[13] (wyjście na grzędę filara uważa się za koniec drogi na Czołówce. Zjazd stąd to nie wycof, lecz powrót), a Fijał idzie jeszcze dalej, pokonując na wprost wszystkie turniczki w filarze. W ciągu sześciu mroźnych i wietrznych dni Fijał, prawie cały czas prowadząc, wytyczył jedną z najtrudniejszych dróg tatrzańskich, która mimo upływu wielu lat doczekała się niewielu powtórzeń.



Jedynym stałym obiektem, w którym można było posiedzieć zimą na taborisku, była buda zwana "Relaksem". Był tam nawet węglowy piecyk, ale jego skuteczność była nikła, bo szpary między deskami były szerokie na centymetr. Fot. Krzysztof Łoziński.

Gdy nieco później pisałem swój przewodnik taternicki, wysłałem do Fijała list z prośbą o opis drogi. Dostałem odpowiedź mniej więcej w takim stylu:

„Nie wiem czemu ta dróżka tak cię interesuje [...] To było tylko wyjście szkoleniowe dla młodych talentów [...] Zresztą tam jest całkiem łatwo: III+, A1...”

Od tej pory III+, A1 stało się przysłowiowe.

Powróćmy do relacji z drugiego dnia wspinaczki na "Miękkich Ruchach". Wydarzeniem tego dnia był okap. Wyciąg przez okap przeprowadził Pafnuc, a ja go wybijałem. Pafnuc na wyjściu z okapu zainstalował pułapkę, a ja w nią sromotnie wpadłem. Nie mogąc znaleźć szczeliny w nieco pochylej płycie nad okapem, by przebyć ostatni metr dzielący go od łatwego terenu, obkuł delikatnie dziobem czekanomłotka przyklejoną lodem do płyty grudkę zmarzniętej ziemi. Powstał w ten sposób maleńki lodowo-ziemny grzybek, na którym Pafnuc zawiązał nylonową pętelkę typu „sznurowadełko”, wpiął w to ławeczkę i delikatnie obciążając, nie robiąc gwałtownych ruchów, wylazł do góry. Następnie przeszedł w bok po półce około 10 metrów, nie wbijając już żadnego przelotu, i założył stanowisko. Wybijając haki doszedłem do krawędzi okapu. Wisiałem w tym momencie zupełnie luźno w powietrzu, nie dotykając nogami skały. Wystawiłem głowę nad okap i zobaczyłem pętelkę wystającą spod śniegu, który w międzyczasie naniósł na pafnukową pułapkę pyłówki. Skąd mogłem wiedzieć, że tam zamiast haka jest grudka zmarzniętej ziemi. Obciążyłem to na całego, no i miałem okazję na odbycie ćwiczeń w lataniu. Wyleciałem wahadłem w luft kręcąc się jak na karuzeli i zawisłem w powietrzu.

Od pewnego czasu obserwowaliśmy zespół wspinający się na drodze Vogla na Lewym Filarze Cubryny. Było strasznie lawiniasto, a droga ta wiedzie cały czas wielkimi śnieżnymi polami. Pomysł pójścia na nią w takich warunkach był całkowicie szalony. Nie wiedzieliśmy, kto to jest. Widzieliśmy tylko dwie maleńkie sylwetki. Musieli być młodzi i niedoświadczeni, bo nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa, a my denerwowaliśmy się za nich. Gdy tylko przestałem kręcić się w kółko, wisząc w powietrzu na linie po odpadnięciu z pafnukowej pułapki, usłyszałem krzyk Kowala. Mój wzrok powędrował od razu w kierunku Lewego Filara Cubryny. Dwie maleńkie sylwetki znajdowały się na samej górze wielkiego pola śnieżnego. Tuż nad nimi pole przecinała długa pozioma rysa. Zbocze pękło! Nie mogłem słyszeć głuchego odgłosu tąpnięcia. Byłem za daleko, ale znałem ten odgłos aż za

dobrze. Takie stęknienie i lekki wstrząs podłoża. Serce podchodzi do gardła i człowiek cały zamienia się w strach. Jest tylko jedna myśl: czy zbrocze ruszy lawiną, porywając ze sobą człowieka i poddając go siłom, wobec których jest całkowicie bezbronny? Nie ma wtedy silnych i odważnych. Jest gra o życie, na której wynik nie mamy żadnego wpływu. Zapomniałem o własnej sytuacji, o tym że wiszę w powietrzu na linie kilkadziesiąt metrów nad ziemią. W tej chwili ważne były tylko dwie maleńkie sylwetki na wielkim, odpęknionym polu śnieżnym. Sekunda niepewności i... koniec nadziei. Wielka lawina ruszyła zabierając ze sobą ludzkie punkciki. Bezradni patrzyliśmy, jak suną w dół po zboczach wśród kotłujących się śnieżnych brył. Coraz niżej i w dół, przez skały. Na chwilę zniknęli nam z oczu w Kuluarze pod Małym Kotłem i zaraz ogromny jęzor wywalił się z Kuluaru, sunąc dalej aż na brzeg zamrożonej tafli Morskiego Oka. Dopiero teraz doleciał do nas grzmot lawiny. Chmura śnieżnego pyłu zakryła widoczność.



Taborisko było teoretycznie czynne w zimie już od pewnego czasu, ale przez pierwsze trzy lata byłem jego jedynym mieszkańcem. Inni patrzyli na mnie jak na członka klubu morsów. Na zdjęciu właśnie wstałem i wychodzę z namiotu. Fot. z archiwum autora.

Kowal, który był jeszcze na dole pod ścianą, popędził w stronę lawiniska, ryjąc się w śniegu po pas. Jacyś ludzie biegli przez zamrożone jezioro. Mimo całego pośpiechu, wszyscy poruszali się strasznie wolno, torując w głębokim śniegu.

W pośpiechu zakładam jumary na linę i wyłażę do góry do stanowiska. Chcemy z Pafnucelem zjechać i też gnać na pomoc, ale najpierw musimy wyplątać się z sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Podchodząc po linie cały czas obserwuję lawinisko. Chmura śnieżnego pyłu powoli opada. Są dwie sylwetki na śniegu. Leżą na wierzchu, nie są zasypani. Ludzie zewsząd pędzą w ich kierunku. Ten górny poruszył się, więc żyje. Co z drugim? Nie rusza się. Jestem już na stanowisku. Przygotowujemy się do zjazdu. Ludzie już są przy nich. Gdy zjeżdżamy pod ścianę sytuacja jest już jasna. Widzimy ludzi skupionych tylko przy jednym z uszkodzonych. Drugi leży nieruchomo, sam. Wiemy, co to znaczy. Jemu już żadna pomoc nie jest potrzebna.

Kowal wraca w naszym kierunku. Mamy tylko jedno pytanie:

- Kto?

- Sławek - mówi Kowal.

Pamiętam młodziutkiego, czarnowłosego chłopaka. Jeszcze wczoraj siedział z nami przy stole. Ile mógł mieć lat? Osiemnaście, dwadzieścia?

Wracamy w milczeniu. Od strony Zakopanego dochodzi warkot helikoptera. Nadlatuje obrzydliwa wałka śmierci.

W dniu śmierci Sławka pogoda nieco się poprawiła i przez kilka godzin nie padało, ale za to w nocy przyroda nadrobiła zaległości. Znowu podchodzimy pod ścianę w ciemnościach przed świtem i oczywiście torujemy od nowa. Tym razem wchodzimy po poręczówkach dość sprawnie. Dziś moja kolej na prowadzenie. Trawersuję u podnóża wielkich płyt nad okapami około 20 metrów w prawo. Hakówka jest na razie średnio trudna. Dochodzę do mikro półeczki, czy też tylko stopnia, na którym rośnie niezwykle złośliwie usytuowane przez naturę drzewko. Cały sprzęt, którym jestem obwieszony, czepia mi się o jego gałęzie. Chcę dojść do płytkiego, pionowego zacięcia, w którym powinna być dobra szczelina prowadząca. Od początku zacięcia dzieli mnie kilka metrów gołej płyty. W mikroszczelinki na płycie wbijam najmniejsze haczyki, jakie mam i... o mało nie powtarzam ćwiczeń w lataniu. Nie tędy droga. Straciłem masę czasu zanim wymyśliłem co zrobić dalej. Trawersuję jeszcze kilka metrów w prawo i docieram do żeberka

ograniczającego zacięcie z prawej strony. Są szczeliny i można by iść do góry, ale... skończyły mi się haki. Musimy zlikwidować poręczówki, by odzyskać część sprzętu.

Teraz znowu prowadzi Pafnuc, a ja wracam na stanowiskową półkę. Pafnuc poszedł jakieś 10 metrów w górę i wyleciał z hakiem wyrywając przy okazji aż dwa przeloty. Walnął w powietrze kilkanaście metrów.

- Kurwa, szkoda czasu! - powiedział Pafnuc, gdy już przestał spadać, po czym zaczął gramolić się z powrotem do góry.

Doszedł kilka metrów dalej niż poprzednio i skończyła mu się lina. Teraz Kowal doszedł do niego, wybijając wszystkie haki po drodze. Przekazał Pafnucowi sprzęt i Pafnuc pognał dalej. No pognał, jak pognał. Walczył w zapadającym zmroku na przewieszanej ścianie nad żeberkiem.



Torowanie w świeżym śniegu na podejściu pod Czołówkę. Fot. Piotr Panufnik.

Stoję na dolnym stanowisku już kilka godzin i jestem skostniały z zimna. Nie mam nic do roboty poza czekaniem i otrzępywaniem się ze śniegu z kolejnych pyłówek. Mróz i wiatr dają mi się we znaki. Przytupuję, dzwonię zębami, robię przysiady. Nic nie pomaga. Mróz musi być niezły (i rzeczywiście; było -20). Kowal ma „wygodne, wiszące stanowisko w przewiewnym miejscu”. Byłem już na tym żeberku i wiem, że tam wszystkie wiatry zakręcają.

- Kowal, jak tam stanowisko?

- A 1.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że z jedynek.

- A jak ci na nim?

- Rześko.

Jest już prawie ciemno, gdy Pafnuc wreszcie ma stanowisko. Najpierw idzie do niego Kowal, a ja ciągle czekam. Potem posyłam do góry wory. Trwa to strasznie długo. Przekłęte walizki ciągle gdzieś się zaczepiają. Wreszcie mogę iść. Jak zwykle w takich przypadkach moja latarka czołowa jest w jakimś plecaku, a plecak na górnym stanowisku. Jest już zupełnie ciemno. Lina od mojego stanowiska idzie mocnym skosem, pod kątem 45 stopni. Zakładam na nią jumary i wybijam ostatni hak ze stanowiska. Od razu lecę w pustkę wielkim wahadłem. Zawisam pod okapami na drodze Fijała. Wychodzenie do góry na jumarach jest czynnością stosunkowo prostą i ciemność specjalnie mi nie przeszkadza. Szybko jednak zauważam nową atrakcję wieczoru. Lina obsypywana przez cały dzień pyłówkami oblodziła się. Na oblodzonej linie przyrządy do podchodzenia trzymają źle. Mogą w każdej chwili zjechać w dół razem ze mną, a od końca liny, wiszącego teraz luźno w powietrzu, do ziemi jest dosyć daleko. Staram się mocno zaciskać przyrządy na linie i cały czas dodatkowo trzymam się liny jedną ręką. Gdy dochodzę do dołu naszego żeberka, które zaczyna się tuż nad okapami, nożny jumar niespodziewanie puszcza. Gwałtowne szarpnięcie i zawisam tylko na piersiowym. Takie emocje zawsze powodują przyspieszone bicie serca. Nie sądzę, by można kiedykolwiek się do tego przyzwycząić.

Przeszedłem w życiu na jumarach całe kilometry poręczówek. Nic mi się nigdy przy tym nie stało, a mimo to za każdym razem, gdy zawisam w pustce na linie niewiele grubszej od ołówka, przychodzą do głowy różne

głupie myśli. Wyobrażenia, niestety nie daje się wyłączyć. Podsuwa obrazy wypadających haków na stanowisku, przecierającej się gdzieś na skalnej krawędzi liny. Przypominają się wszystkie wypadki zerwania lin.



"Miękkie Ruchy". Podchodzenie po linie w linii drogi Fijałkowskiego. Fot. Piotr Panufnik.

Zbyszek podchodzący po poręczówce w górnych partiach filara Fréney na Mount Blanc usłyszał nagle od partnerów:

- Zbyszek nie ruszaj się. Rzucimy ci linę.

Gdy tylko przypiął się do nowej liny, ta, po której podchodził, nagle pękła. Była zupełnie przecięta przez ostre kryształki granitu na jakiejś krawędzi. Staszek, operator filmowy, i całkiem niezły alpinista, zginął w ścianie Makalu spadając z zerwaną poręczówką. Piotr, nazywany Szpulką, spadł około 300 metrów ze ściany Kazalnicy, gdy węzły Prusika na których podchodził, zsunęły się z oblodzonej liny.

Zanim udaje mi się dotrzeć do miejsca na żeberku, w którym Kowal miał stanowisko, zdążyłem już zaliczyć kilka niewielkich obsunięć z jumarami.

Lina nad tym punktem znowu idzie skosem w górę, tym razem w lewo, i jest znacznie bardziej oblodzona. Nic dziwnego. Była poniżej chłopców, którzy skopywali nogami śnieg, powiększając półkę biwakową. Wypinam linę z przelotu i znowu robię wielkie wahadło w powietrzu. Lina przeraźliwie trze o krawędź okapów nade mną. Czuję to tarcie każdym nerwem. Jednocześnie zauważam kolejną atrakcję. Lina jest tak oblodzona, że z trudem udaje się uzyskać takie zaciśnięcie jumara, aby nie objeżdżał. Zaczynam się drzeć, aby rzucili mi asekurację z drugiej liny, ale na razie słyszymy się bardzo słabo i nie możemy się zrozumieć. Dopóki nie podejść wyżej muszę samotnie walczyć w ciemnościach z oblodzoną liną. Pyłówki zaskakują mnie w najbardziej nieodpowiednich momentach. Po ciemku nie widzę ich i dlatego mogą mnie trafić taką porcją śniegu „prosto w pysk”, na przykład w momencie, gdy unoszę twarz do góry. Aby jumary nie objeżdżały muszę dociskać ich języki palcami, bo nacisk sprężynki jest za słaby. Nie mogę tego robić w rękawicach i muszę jeszcze walczyć z grabiejącymi na mrozie rękami.

Mimo starań zaliczam kilka kolejnych obsunięć. Wreszcie jestem na tyle wysoko, że możemy się dość dobrze słyszeć. Po chwili mam już asekurację, a nawet latarkę czołową, ale do stanowiska zostało jeszcze około 20 metrów.

- Łoza, opowiem ci dowcip - mówi Pafnuc.

- Nie mam nastroju - mówię, bo właśnie walczę z piersiowym jumarem, który nie chce się zacisnąć.

- No to ci poprawię nastrój - stwierdza Pafnuc - To było tak: poszedł Jędrzek z Maryską do lasu...

- Kurwa! - wymknęło mi się, gdy złośliwej pyłówce udało się umieścić mi porcję śniegu za kołnierzem.

- Nie, kurwy tam nie było, była Maryśka, całkiem porządna dziewczyna. Jędrrek mówi do niej: ...

Na moment przestałem uważać i już zaliczyłem drobne obsunięcie. Mozolnie podchodzę z powrotem. Pafnuc przez ten czas opowiada wyjątkowo sprośny dowcip. Przez chwilę nie słucham, bo muszę skulić się i przetrwać kolejną pyłówkę.

- No i co z tą Maryską? - pytam.

Pafnuc powtarza końcówkę opowieści, która mi umknęła.

- Fuj, Pafnuc, coś ty wymyślił? Nie mogłeś wymyślić czegoś bardziej romantycznego?

- A co? Nie romantyczne?

- No raczej nie – mówię.

Wreszcie gramolę się na stanowisko. Uff!

Jesteśmy bardzo dobrze przygotowani do biwakowania na mrozie. Mamy kurtki puchowe, śpiwory i płachty biwakowe. Ja mam nawet hamak do spania. Moja płachta biwakowa jest dość skomplikowaną konstrukcją własnego pomysłu. Można ją powiesić na hakach, a dzięki taśmom przechodzącym do wewnątrz, można w środku w niej powiesić hamak. Wszystko zapina się szczelnie na zamki błyskawiczne, jak hermetyczny worek, dzięki któremu można zapomnieć o pogodzie na zewnątrz, a nawet gdzie się jest. Biwak jest dzięki temu stosunkowo lekki. Można pogрузić się we śnie.

Szósta rano. Budzę się gwałtownie, a tu - twarda rzeczywistość: mróz, zadymka, trudna skała i oblodzone liny. Gramolę się z płachty. Jest już dzień i trzeba nagotować herbaty. Maszynka butanowa topi menażkę śniegu koszmarnie długo. W tym czasie lodowaty wiatr skutecznie przypomina, gdzie jesteśmy. O ciepłe śpiworów już nie pamiętamy. Wrócił stan normalny, czyli zimna „telepka”.

Dzisiaj najpierw ma prowadzić Kowal, więc musimy napić go herbatą w pierwszej kolejności. Tymczasem maszynka Bluet - to takie urządzenie, którego moc grzewcza jest odwrotnie proporcjonalna do ilości stopni mrozu.

Przypomina mi się plakat reklamowy Blueta. Na plaży nudystycznej w Kalankach dwie panie w strojach nudystycznych gotują sobie na Bluecie coś, może herbatkę, może zupkę, nieistotne. W tle pan ubrany tylko w kapelusz wspina się po skałce. Ot i mamy wyjaśnienie przeznaczenia maszynki Bluet: gotowanie herbatki dla nudystek-turystek nad ciepłym morzem koło Marsylii. Ale co za pomysł, by tego sprzętu używać na tatrzańskim mrozie?

Gdy woda już bulgocze, robię nieostrożny ruch i całe gotowanie trzeba zacząć od początku. Wreszcie Kowal jest napojony i rusza do góry, a ja zaczynam gotowanie wody dla siebie i Pafnuca.



"Miękkie Ruchy". Piotr Panufnik na krawędzi okapu. Fot. Krzysztof Łoziński.

Kowal podchodzi stromymi płytami pod niewielką przewieszkę i tam zakłada stanowisko. Dochodzę do niego i stwierdzam, że miejsce nie jest zbyt wygodne. Początkowo nie martwi mnie to specjalnie, ale tylko dlatego, że jeszcze nie wiem, że przyjdzie mi spędzić w nim resztę dnia. Stoję w płytkim zacięciu na niewygodnych stopniach. Przewieszka nad głową jest na tyle niewielka, że nie chroni przed pyłówkami, ale wystarczająco duża, by nie pozwolić się wyprostować. Pyłówki chodzą mi po głowie ze złośliwą regularnością. Tym razem nie jestem jednak na wygodnej półce, tylko stoję nieruchomo w niewygodnej, wymuszonej pozycji. Początkowo asekuruję Kowala, ale potem nie mam już nic do roboty. Stoję tylko i marznę. Z miejsca, w którym jestem, nie widzę, co dzieje się wyżej. Mijają godziny, a ze mnie mróz wysysa powoli wolę dalszej walki ze ścianą.

Pafnuc i Kowal są znacznie młodszy ode mnie i należą już do innego pokolenia alpinistów, do pokolenia, które od samego początku dysponuje dobrym, nowoczesnym sprzętem. Tymczasem ja należę do pokolenia, dla którego sprzęt był zawsze problemem. W czasie tego przejścia miałem własnej produkcji czekan, zwany pieszczotliwie „Toporkiem” i letni młotek, bo poprzedni młotek lodowy właśnie mi się złamał, a nowego jeszcze się nie dorobiłem. Nie miałem też nowoczesnej odzieży, żadnych polarów, goretexów, tylko sztruksowe portki i wełniane swetry.

Moim dodatkowym problemem są buty. Mam na nogach polskie Zawraty. Koflahów jeszcze się nie dorobiłem. Pod względem obuwia też jestem zacofany technologicznie. Koflahy są plastikowe i całkowicie nieprzemakalne, a Zawraty - tradycyjnie skórzane. Po dwóch dniach wspinaczki moje buty są zawilgocone od środka, przez co jeszcze gorzej trzymają ciepło. Zresztą nigdy nie były rewelacją pod tym względem.

Moje stanowisko ma jeszcze tę wadę, że - pół stojąc, pół wisząc - nie mogę przytupywać, by przywrócić krążenie w marznących stopach. W dodatku pasy uprząży wrzynają się w uda, co na pewno nie poprawia krążenia w nogach. Jestem pełen obaw o swoje nogi. Nie czuję ich już od paru godzin. Są jak z drewna.

Na koniec dnia, jak zwykle, rewelacja wieczoru, czyli podchodzenie w ciemnościach po oblodzonej linii, w towarzystwie licznych pyłówek. Jest jeszcze gorzej niż wczoraj, bo liny przez dwa dni obsypywane śniegiem przypominają sztywne, lodowe druty. Ale półka biwakowa jest i tym razem wygodna.



"Miękkie Ruchy". Na poręczówce. Fot. Piotr Panufnik.

Rozwieszam płachtę biwakową, układam się wygodnie na śpiworze i przystępuję do oględzin nóg. Wygląda to fatalnie. Stopy są zupełnie zimne i sine. Nie mam czucia w palcach. Zabieram się za przywracanie ich do życia. Rozcieram, masuję, tłukę. Trwa to niemal godzinę, zanim zaczyna wracać krążenie. Nie muszę nikomu wyjaśniać, jak bolą rozmarzające stopy. Nie spodziewam się, by tę książkę czytali mieszkańcy tropików, a w Polsce wszyscy ten ból znają. Po drugiej godzinie pracy nad nogami uznaję, że lepiej już nie będzie. Skórę palców można spisać na straty. Ma kolor śliwki węgierki. Czucie w palcach już jest, ale jak przez tekturę. No i boli jak cholera. Czeka mnie bezsenna noc.



Wiszę na krawędzi okapu na pafnucowej pułapce na chwilę przed odbyciem ćwiczeń w lataniu. Fot. Jarosław Kowalik.

W tym czasie, gdy ja walczę z nogami, chłopcy gotują. Gdy leżę w otwartym jeszcze śpiworze, z bosymi stopami i bez czapki na głowie, Pafnuc podaje mi menażkę herbaty. By ją wziąć rozpinam zamek płachty i w tym momencie szczególnie złośliwa lawina pyłowa przywala mnie z góry potężną porcją sypkiego śniegu. Wszystko jest w śniegu, wewnątrz płachty biwakowej, otwarty śpiwór, moje boscie nogi, odkryta głowa i dłonie bez rękawic i oczywiście świeżo ugotowana herbata.

Aby wywalić śnieg z płachty i śpiwora muszę wstać. Staję na chwilę bosymi, odmrożonymi nogami w śniegu. Odszukuję buty, skarpety i rękawice. Oczywiście wszystko jest wypełnione śniegiem. Chwila wahania, czy zakładać skarpety i buty, a dopiero potem wywalać śnieg, czy wytrzymać chwilę boso i wywalić śnieg ze śpiwora jednym energicznym ruchem. Wybieram drugi wariant. Wyłączę z płachty, wyciągam śpiwór i wywracam go na lewą stronę, wywalając od razu cały śnieg. Teraz siadam na półce i wkładam nogi do pustego już śpiwora. Po nowej porcji zimna bolą niemiłosiernie. Z wywaleniem śniegu z płachty sprawa nie jest taka prosta. Na dnie płachty było sporo różnych rzeczy luzem, między innymi zapasowe suche skarpety, które miałem właśnie założyć. Znajduję je po chwili, ale suche już nie są. Na szczęście, grube, alpinistyczne buty (nawet tak archaiczne, jak „Zawraty”), złożone z zewnętrznej skorupy i wewnętrznego filcowego botka, trochę trzymają ciepło nawet wtedy, gdy wszystko w środku jest mokre.

Trudno, zamiast ciepłej herbaty dostałem kolejny zimny kompres i tak już niestety zostanie. Na gotowanie kolejnej menażki wody nikt już nie ma ochoty, ja też. To by była kolejna godzina mozolnego topienia śniegu, podgrzewania Blueta gołymi dłońmi i czekania na mrozie, aż się zabalgocze. Zjadam na sucho pół konserwy i kulę się w śpiworze, starając się nachuchać do środka płachty jak najwięcej ciepła.

O spaniu nie ma mowy. Mam dużo czasu na rozmyślenia. Moje odmrożenia definitywnie przekreślają nasz plan maximum, czyli pomysł, który z czasem zyskał miano „największego problemu zimowego Tatr Polskich”. Chodzi o to, by zrobić trudną drogę na Czołówce i przez wszystkie turnie w grzędzie filara dojść do szczytu Miękusza. To właśnie omal nie udało się kilka lat wcześniej Fijałowi. Zrezygnował pod kopułą szczytową po sześciu dniach wspinaczki.

Problem rzeczywiście jest potężny. Skrajne trudności techniczne na pionowo-przewieszanej Czołówce, kilkaset metrów niezbyt trudnej, ale wyczerpującej z ciężkimi plecakami grzędzie i znowu kawał trudnej skały w

kopule szczytowej. My w dodatku w kopule szczytowej też chcieliśmy „pociągnąć” nowy, trudny wariant. Mamy ze sobą żywność i paliwo na sześć dni wspinaczki. To dlatego nasze plecaki są tak ciężkie.



"Miękkie Ruchy". Jarosław Kowalik i Piotr Panufnik (na samej górze zdjęcia) na żeberku.
Fot. Krzysztof Łoziński.

Przeprowadzam rachunek sił i środków. Nad nami jest ogromna strefa przewieszona, która łatwo nie puści. Do krawędzi Czołówki mamy więc jeszcze cały dzień wspinaczki. Dalej grzęda. Niby jest łatwa, ale jeśli omija się turnicę zwykłą, wielokrotnie przechodzoną drogą. Jeśli iść tak jak Fijał, ściśle ostrzem, to może trudności nie są zbyt duże, ale też nie są żadne. My mamy ogromną masę hakowego sprzętu, który będzie nam jeszcze potrzebny w kopule szczytowej. Do tego żywność i paliwo. Nasze plecaki ważą po 20 kilogramów. Z takimi worami na plecach nawet trudności trzeciego stopnia mogą być problemem, a w połogim terenie nie da się plecaków wyciągać. Trzeba liczyć cały dzień na grzędę. Pod kopułę szczytową mamy więc dwa dni. Nowy wariant w kopule - to kolejne dwa, a może i trzy dni. Nawet jeśli z niego zrezygnujemy i pójdziemy starą drogą, to też na kopułę trzeba liczyć cały dzień. A więc do szczytu mamy od trzech do pięciu dni wspinaczki. Do tego zejście z Mięgusza, które w śnieżnej zadymce, lawiniastych warunkach i przy dużym zmęczeniu wcale nie jest takie proste i może zająć dobre kilka godzin.

Kolejne trzy dni na mrozie to wyrok na moje nogi. Już teraz pewnie nie ominą mnie wycinanki w skórze, ale jeszcze nie stracę palców. Za trzy dni może grozić mi amputacja całych stóp. A z drugiej strony tak bardzo żał drogi. Gdybym tylko miał lepsze buty. Przecież jesteśmy w całkiem dobrej formie, niczego nam nie brakuje i raczej nic by nam nie mogło przeszkodzić w doprowadzeniu sprawy do końca. Z drugiej strony, zrobienie nowej, trudnej drogi na Czołówce w takich warunkach, to też spory sukces. Czołówkę uważa się powszechnie za oddzielny byt i nie trzeba wcale wychodzić na szczyt Mięgusza, by droga była skończona. Cholerne buty.

Jest taka stara wojskowa śpiewka, którą zawsze warto sobie przypomnieć, gdy trzeba wybierać między odwagą a rozsądkiem: „Kiedy szliśmy do ataku, kurwa wiał przed nami wróg. Teraz kurwa mam order, ale kurwa nie mam nóg.” Nie ma co ukrywać. Tekst jest na czasie. Ale z jednej rzeczy nie ustąpię. Wytrzymam jeszcze jeden dzień. Zrealizujemy chociaż plan minimum. Dojdziemy do końca Czołówki.

Następny dzień stoi pod znakiem okapów, a właściwie jednego wielkiego okapu monstrum. Są w nim całe przewieszone formacje: przewieszone żeberko, przewieszone zacięcie, a wszystko to zamknięte wielkim płaskim sufitem. Mamy tu wszystkie okapowe atrakcje. Najpierw kilkanaście metrów wspinania w przewieszonym zacięciu, potem trawers po suficie i wyjście do góry przez krawędź. Wygląda to wszystko niezwykle efektownie. Świat do góry nogami nad ogromnym luftem. Wczoraj

podchodziłem do stanowiska po ciemku i dopiero teraz widzę rozmiar pustki pod nami. Gdy w pewnym momencie Pafnuowi wypada hak, leci w powietrzu nie dotykając skały i odbija się tylko raz tuż nad podstawą ściany.



Zdjęcie w dół z górnej części żeberka. Na pierwszym planie kawałek nogi i wiszący młotek Pafnuca. Niżej Jarek Kowalik na stanowisku w przewiewnym miejscu. Do śniegu pod ścianą ok. sto metrów. Fot. Piotr Panufnik.

Oczywiście nie omijają nas codzienne atrakcje. Silny wiatr zawiewa śnieżny pył nawet pod okapy. Myślałem, że chociaż tu będziemy mieli spokój od pyłówek. Mamy też kolejny lot Pafnuca, niewielki tym razem, ale w silnym przewieszeniu wygląda niezwykle efektownie. Takimi lotami z okapów „robi się napięcie” w filmach alpinistycznych. Lot z okapu jest zupełnie bezpieczny, bo delikwent nie ma w co walnąć i zawisa w powietrzu na linie. Na nieprzyzwyczajonej do wysokości publiczności robi to wrażenie i reżyser ma optymalne rozwiązanie: publiczność robi „ach...”, a alpinista nic nie grozi.

- Ku...rwa - powiedział tylko Pafnuc i zawisł kręcąc się na linie jak wielki bąk, metr pod sufitem.

Mamy tu przykład rozbieżności między teorią a praktyką. Teoretycy alpinizmu uczą kursantów, że przed odpadnięciem, należy ostrzec partnera: „uważaj mogę polecieć”, a gdy się już leci należy zawołać: „lece”. Teorię tę wymyślili chyba ludzie, którzy nigdy nie latali. W praktyce zamiast wymyślnych komend jest tylko krótka, urywana „kurwa ostrzegawcza”:

- Ku...rwa.

Nad okapami wygodna półka. Czuje się bliskość końca ściany. Kowal prowadzi ostatni, krótki wyciąg przez przewieszoną ściankę i... koniec drogi.

Już rano uzgodniliśmy, że nie idziemy na szczyt, a tylko do krawędzi Czołówki. Dzięki temu nie musieliśmy wyciągać „walizek”, co pozwoliło nam oszczędzić sporo czasu i siły. Plecaki zostały na miejscu biwaku. Do tego miejsca została też poręczówka, więc zjazd przez okapy nie przedstawia problemu. Dalej postanawiamy zjeżdżać przez Wielki Komin na starej drodze filarem.

Trawersuję pierwszy, z ciężkim plecakiem, na krawędź komina po stromych, zaladzonych i ośnieżonych płytach. Wznoszący się trawers jest trudny, ale mam dodatkową pomoc w postaci liny z góry, idącej ze stanowiska nad okapami. Jednocześnie ciągnę za sobą drugą linę, którą będę asekurował partnerów. Po drodze udaje mi się założyć tylko jeden przelot na cherlawym drzewku. Pafnuc, który trawersuje ostatni, ma najtrudniej. Czekają go dwa piętnastometrowe odcinki trawersu bez przelotów. W razie odpadnięcia na którymś z nich grozi mu ogromne wahadło. Trochę mnie to martwi, ale Pafnuc stwierdza, że wyczerpał już limit lotów na tę drogę i dalej latać nie będzie. I rzeczywiście obyło się bez lotów.

Stanowisko do pierwszego zjazdu nie jest rewelacyjne. Jedna kaprawa łyżka wbita do połowy i jedynka. Zważywszy, że wisi na tym trzech ludzi z ciężkimi worami, to niezbyt wiele. Ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Zjeżdżam pierwszy. Plecak podwiesiłem na pętli pod ósemką, by mnie nie wyważał. Wielki Komin wypełniony jest nawianym pionowym śniegiem, który strącam powodując małe lawiny. Jest jeszcze jasno, bo dzisiejszy odcinek wspinaczki był wprawdzie trudny, ale krótki.

Połączyliśmy dwie liny i zjazdy mają po osiemdziesiąt metrów. Gdy dojeżdżam do końca liny, stwierdzam, że w tym miejscu nie ma gdzie stanąć,

a obciążony podwieszonym plecakiem nie dam rady podejść do góry. Trudno, stanowisko będzie wiszące. Niestety, udaje mi się wbić tylko jedną rynnę. Wprawdzie rynna to bardzo dobry, mocny hak, ale jeden hak dla trzech ludzi to znowu nie jest takie stanowisko, o jakim się marzy. Kowal zjeżdża do mnie, zwalając mi na głowę ogromne masy śniegu. Z góry dobiega odgłos wybijanego haka.

- Pafnuc, co robisz? - wrzeszczę.

- Wybijam łyżkę. I tak nie pracuje.

Ten szaleniec gotów zjechać z samej tylko jedyńki.

- Pafnuc, nie wygłupiaj się, zostaw tę łyżkę - krzyczę.

- Nic nie słychać - dochodzi z góry.

„Nic nie słychać” - to znane hasło. Zaczęło się od tego, że jeden z naszych kolegów, biolog, miał zezwolenie dyrekcji TPN na zbieranie jakichś próbek w rezerwatach. Pewnego razu udał się do żlebu świetnie widocznego ze schroniska, a leżącego w rezerwacie. W pościg za nim rzucił się pewien bardzo aktywny i powszechnie nie lubiany strażnik przyrody.

- Proszę natychmiast zejść - krzyczy strażnik.

- Nic nie słychać - odpowiada z góry nasz kolega.

Strażnik biegnie za nim w górę żlebu. Po chwili znowu woła:

- Proszę zawrócić, tam nie wolno wchodzić!

- Nic nie słychać - odpowiada kolega i szybko idzie w górę, a kondycję miał niezłą, bo właśnie wrócił z Kaukazu.

Strażnik dogonił go dopiero na grani Opalonego.

- Tu jest rezerwat, tu nie wolno wchodzić - mówi zadyszany strażnik.

- Mam pozwolenie - mówi spokojnie chłopak po przegonieniu strażnika pięćset metrów pod górę.



Po pierwszym biwaku gotuję herbatę w jamie śnieżnej, w której spałem. Fot. Piotr Panufnik.

Jak Pafnuc mówi „nic nie słysząc”, to wiadomo, że nie ma co dyskutować. Zjedzie z jedyńki i już. Po chwili wisimy wszyscy trzej na jednej rynnie. Kolejnym zjazdem osiągam wielką półkę pod kominem. Zapada zmrok, gdy toruję w śniegu po pas do drzewka na jej krawędzi. Gdy zakładamy stanowisko jest już zupełnie ciemno. Chłopcy decydują się zjeżdżać po ciemku, a ja postanawiam poszukać w plecaku latarki. Ćwiczeń linowych w zupełnej ciemności mam już serdecznie dosyć.

- Kurwa - powiedział Kowal, gdy tylko zjechał za krawędź.

- Co tam znowu? - pytamy.

- A nie, nic.

Do zjazdu wychodzi Pafnuc.

- Kurwa - powiedział w tym samym miejscu co Kowal.

Wpinam ósemkę do liny.

- Kurwa - mówię, gdy wpadam pod zupełnie niespodziewany w tym miejscu okap tuż za krawędzią.

Człowiek nastawiony na łatwy i niedługi już zjazd pod ścianę, nagle, ni stąd, ni zowąd, zawisa w zupełnej pustce kilka metrów od skały. Zjeżdżam, kręcąc się wolno w powietrzu.

Drogę wyceniliśmy na III, A1. Przecież, prowadząc ją tuż obok drogi Fijała, nie mogliśmy być lepsi od mistrza. Mimo upływu lat od powstania „Miękkich Ruchów”, do powtarzania naszej drogi nie garną się tłumy. Do 2002 roku (przez pierwsze 8 lat) były łącznie cztery powtórzenia letnie i ani jednego zimowego[14]. Teraz jest już tych powtórzeń więcej, ale ich liczba nie jest oszałamiająca. Trudności klasyczne wyceniane są na VIII, a nie III.

„Szare Zacięcie” jest dziś jedną z najbardziej popularnych dróg w rejonie Morskiego Oka. Z czasem droga uległa znacznemu ułatwieniu i oczywiście jest dziś całkowicie klasyczna. Do dziś jest jedną najtrudniejszych dróg tatrzańskich poprowadzonych przez solistę. Konkuruje z nią w tej dziedzinie dwie drogi, także moje: „Nabrzmiące Problemy” też na Czołówce i „Dynamiczny Rozwój” na lewym filarze wschodniej ściany Mniszka. Obie są jednak wyraźnie krótsze.



Po drugim biwaku, w gęstej śnieżycy, pakujemy się w kolejny pas okapów. Śnieg pokrywa już nawet pionową skałę. Wolne od niego są tylko partie przewieszane. Fot. Krzysztof Łoziński.

Od czasu, gdy prowadziłem pierwsze drogi na Czołówce, minęło wiele lat. Pierwszą drogę w tej ścianie poprowadziłem ponad czterdzieści lat temu, ostatnią trzydzieści kilka lat temu. W sumie zrobiłem w tej ścianie osiem nowych dróg. Dziś są już inne czasy. Znacznie podniósł się poziom pokonywanych trudności i zmienił się stosunek taterników do gór. Dziś nikt już nie plecie, że Czołówka - to ściana krucha i trawiasta, a wspinanie się po niej jest dziwactwem. Ściana stała się bardzo popularna. Poprowadzono na niej kolejne drogi o trudnościach, których przebycie przekraczało możliwości mojego pokolenia. To normalne. Każde pokolenie ma swoje rekordy.

Kilka dróg poprowadzono w sposób, który ja uważałem za niedopuszczalny i może jestem trochę staroświecki, ale nadal tak myślę. Chodzi mi zwłaszcza o dwie drogi, między Czarnym a Szarym Zacięciem. Ich autorzy najpierw zjechali ścianą na linie, osadzili co kilka metrów spity[15], a dopiero potem wspinali się od dołu, mając zapewnioną asekurację.

Rzecz w tym, że taki styl uważam nie za pokonanie ściany, lecz za jej zgwałcenie. Gdy ma się zapewnioną dobrą asekurację co kilka metrów, można wielokrotnie przymierzać się do tych samych miejsc, wielokrotnie latać, aż w końcu się przejdzie. Istnienie stałych punktów asekuracyjnych znacznie ułatwia wspinaczkę prowadzącemu. Obie drogi prowadzą w terenie, w którym nie ma dobrych szczelin, gdzie łatwo by osadzić haka, kostkę lub frienda. Gdyby nie spity, prowadzący musiałby asekurować się z haków specjalnych, które w ogromnych trudnościach technicznych nie jest łatwo osadzić, no i ryzykowałby znacznie większym lotem. Spity obiektywnie bardzo ułatwiły drogę i znacznie obniżyły skalę wyczynu zdobywców.

Zwolennicy tej metody argumentują, że pokonuje się w ten sposób trudności, których przebycie w sposób tradycyjny jest całkowicie niemożliwe. Ta argumentacja ma jednak pewną słabość. To jest niemożliwe teraz, ale niekoniecznie będzie tak zawsze. Gdy zaczynałem się wspinąć, nikt nie przechodził większych trudności niż tak zwana „stara szóstka”. Obecnie przechodzi się w tej samej skali trudności kilkunastego stopnia. Może więc, zamiast skałę gwałcić, warto by poczekać na pokolenie, które będzie w stanie pokonać ją normalnie, uczciwie od dołu, bez uprzedniego sztucznego jej ułatwienia?



Droga skończona - wracamy! Jarek Kowalik w czasie zjazdów. Fot. Krzysztof Łoziński.

Wróćmy jeszcze do „Miękkich Ruchów”. Pomysł poprowadzenia tej drogi nie wyszedł od nas. Znacznie wcześniej, na początku lat siedemdziesiątych, Włodek Kajka, Tomek Ostromęcki i Jacek Piaskowski próbowali zrobić to samo. Przeszli oni dwa dolne wyciągi drogi w sposób nieco odmienny niż my. Odcinek, który pokonali, znany jest dziś jako „Wariant Kajki”. Próba tego zespołu miała miejsce w lecie. Załamała się po potężnym locie Tomka Ostromęckiego, który odpadł z ostatnich metrów zacięcia na trzecim wyciągu. Z tego samego miejsca o mało nie spadłem ja w czasie naszego przejścia, a kilka metrów dalej spadł Pafnuc, wrywając dwa przeloty. Tomek miał mniej szczęścia od nas. Jego lot został znacznie przedłużony na skutek pęknięcia karabinka Allain 1200. Był to jeden z nielicznych przypadków pęknięcia karabinka, o jakich słyszałem.

Jedną z ostatnich moich górskich wspinaczek było pierwsze zimowe przejście „Wariantu Kajki” (z Markiem Kubisiem i Michałem Różyckim).

Wróćmy jeszcze, na chwilę, do sprawy poruszonej w opowiadaniu, a stanowiącej cały osobny rozdział alpinizmu. Do ciężkich ścianowych biwaków. Ile ich w górach przeżyłem? Nie wiem, ale dużo. Nie zawsze jest tak dobrze, że biwakuje się na wygodnej półce.

Jeszcze w początkach swojego wspinania przeżyłem koszmary, wiszący biwak w zimie, na drodze Wicherkiewicza na Kozich Czubach. Dziś droga ta dla sprawnego zespołu nie stanowi większego problemu, ale w latach sześćdziesiątych była uważana za bardzo trudną, bo i była trudna. W zimie robiło się ją w dużym stopniu hakowo, a technika hakówki była wtedy jeszcze bardzo prymitywna. Mało kto pamięta, że wówczas nie używano jeszcze żadnych uprzęży biodrowych, żadnych „dupowsporów”.

Byliśmy tylko związani liną przez klatkę piersiową na węzeł skrajny tatrzański i siadaliśmy w ławeczkach. Istniała też cała sztuka stania w ławeczkach tak, by oszczędzać siły.

Noc zastała nas w trudnym terenie, za trudnym, według naszych ówczesnych wyobrażeń, do tego, by przewspinać go po ciemku. Biwakowaliśmy, siedząc w ławeczkach w pionowej ścianie i telepiąc się z zimna. Nie mieliśmy żadnych kurtek puchowych, czy śpiworów, tylko brezentowe skafandry i swetry. Najgorszym jednak problemem były buty. Przemoczyliśmy je w dzień, gdy było nieco cieplej. Wieczorem buty zamarzły i głównym zajęciem w nocy było walenie nogami o skałę, by utrzymać krążenie w stopach.

Zawsze rano, po takim ciężkim biwaku, problemem jest przełamanie bezruchu, by mimo zimna i zmęczenia wyruszyć dalej. Mróz stopniowo wysysa z człowieka wolę walki, a każde poruszenie się powoduje docierania do ciała nowych fal zimna. Dlatego najlepiej przetrzymują ciężkie biwaki ci, którzy w ich czasie cały czas coś robią, gotują, porządkują sprzęt, a przynajmniej rozmawiają. Najgorszym patentem jest szukanie złudnego ciepła, którego i tak nie ma i usiłowanie drzemania. W tych warunkach i tak się nie odpocznie, a tylko popada się w psychiczny marazm.

Najcięższy zimowy biwak, a raczej trzy biwaki pod rząd, przeżyłem jednak w zupełnie łatwym terenie. Robiliśmy z Miśką (Jadwigą Łozińską,

moją żoną) grań Tatr Polskich i złapał nas na grani wiatr halny. Byliśmy w Tatrach Zachodnich w okolicy Starorobociańskiego Wierchu, czyli w miejscu, z którego w normalnych warunkach można w każdej chwili zwyczajnie pójść do domu. Tyle, że warunki były dalekie od normalnych.



Kowal ląduje na krawędzi półki. Jeszcze jeden zjazd i będziemy pod ścianą. Fot. Krzysztof Łoziński.

Kłopoty zaczęły się na samym szczycie Starorobociańskiego. Nie było jeszcze silnego wiatru, za to była gęsta mgła. Tatry Zachodnie mają to do siebie, że we mgle bardzo trudno zorientować się w terenie. Granie i zbocza są szerokie i trawiaste. Przy ograniczonej do kilkunastu metrów widoczności, wszystko wygląda tak samo. Weszliśmy na szczyt i zamierzaliśmy iść dalej granią, ale po chwili wiatr zawiął już nasze ślady na śniegu i straciliśmy poczucie kierunku. Muszę tu wyjaśnić czytelnikom nie alpinistom, że z zasady żaden alpinista nie nosi ze sobą kompasu, który w takiej sytuacji bardzo by się przydał. Nasze wyposażenie przystosowane jest jednak do ostrych gór typu alpejskiego, w których kompas jest kompletnie nieprzydatny.

Początkowo nie czuliśmy niepokoju, bo nie wiedzieliśmy, że powoli i nieubłaganie zamyka się wokół nas pułapka. Ot, zgubiliśmy kierunek grani, no to co? Zaraz go znajdziemy i pójdziemy dalej. Zresztą, czego się bać w zupełnie łatwym terenie Tatr Zachodnich? Ale kolejne próby znalezienia grani kończyły się fiaskiem. To, co uważaliśmy za grani, stawało się coraz bardziej strome i okazywało się podciętych skałami żebrem. Oczywiście, mogliśmy bez problemu zjechać nim na linie, ale nie to było naszym celem. Chcieliśmy dalej iść granią, a nie wycofywać się.

Wracaliśmy więc na szczyt i próbowaliśmy w innym kierunku, pakując się w kolejne podcięte żebro. Tymczasem wiatr się wzmaczał i niemiłosiernie siekł po twarzy niesionym śniegiem. Nie wiem nawet, czy ten śnieg padał, czy też był tylko nanoszony przez wiatr. Za którymś razem w końcu znaleźliśmy dalszy kierunek grani i zeszliśmy na rozległą przełęcz. Tu siła wiatru była już tak duża, że trudno było utrzymać się na nogach. Zaczynaliśmy rozumieć, że mamy do czynienia z wiatrem halnym o huraganowej sile.

Ciągle jeszcze mogliśmy bez problemu wycofać się z grani, ale myśmy jeszcze nie chcieli się wycofywać. Iść granią zupełnie już się nie dało. Wiatr po prostu zwał z nóg. Znaleźliśmy nieco osłonięte od wiatru zagłębienie terenu i postanowiliśmy przeczekać kaprysy pogody. Mieliśmy płachtę biwakową, wielki puchowy śpiwór, kurtki puchowe, paliwo, jedzenie. Pozornie nie mieliśmy czego się obawiać. Pozornie byliśmy przygotowani nawet na biwakowanie przez tydzień. Dopiero po kilku godzinach zrozumiałem, że byliśmy w pułapce.

Nie przewidzieliśmy kilku rzeczy. Po pierwsze, że siła wiatru będzie tak wielka, iż nie da się przekroczyć grani, by zejść na polską stronę (biwakowaliśmy nieco poniżej grani po stronie słowackiej). Po drugie, że wiatr naniesie na zbocze poniżej nas ogromne masy świeżego śniegu,

zmieniając je w lawinową minę. Po trzeciej, że temperatura wzrośnie do okolic zera i cały nasz sprzęt biwakowy nasiąknie wodą, przestając chronić przed zimnem. Normalnie śpiwór puchowy jest bardzo ciepły, ale nie wtedy, gdy zawiera więcej wody niż puchu. I to wody lodowatej.



Jarosław Kowalik w czasie przejścia "Miękkich Ruchów". Fot. Piotr Panufnik.

Spędziliśmy w tym miejscu dwie noce i jeszcze niemal cały dzień, nie mogąc zejść ani na stronę polską, ani na słowacką. By zejść na stronę polską, trzeba było przekroczyć grań, a wiatr był tak silny, że nawet zbliżenie się do grani było niemożliwe. Natomiast zejście na Słowację związane było z ogromnym ryzykiem wyjechania z lawiną. Pod nami było wielkie, strome zbocze z grubą warstwą świeżego śniegu.

Siedzieliśmy w naszej płachcie, telepiąc się z zimna i popadając w coraz większą apatię. Na trzeci dzień doszedłem do wniosku, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Pogoda wyraźnie nie miała zamiaru się poprawiać, my zaś byliśmy coraz bardziej wyziębieni i mieliśmy coraz mniej sił. Z wyziębienia zaczynaliśmy mieć majaki. Słyszeliśmy grające radio, piejące koguty, widzieliśmy dzieci na sankach. Przedtem nie wiedziałem, że majaki mogą być do tego stopnia realne. Wiedziałem jednak, że to ostatni alarm, oznaka że grozi nam śmierć z wyziębienia. Zdecydowaliśmy się schodzić na Słowację.

Lawina jakoś nie poleciała, choć pamiętając tamte warunki nie wiem dlaczego. Widać nie było nam pisane. Zeszliśmy do doliny Raczkowej i dotarliśmy do zamieszkanego szałas. Ta decyzja uratowała nam życie. Do dziś pamiętam zbawcze ciepło ogniska.



Mnich i Dolinka za Mnichem w lekkiej mgle. Fot. Krzysztof Łoziński.

Czternaście lat po naszym przejściu „Miękkich Ruchów”, w czerwcu 1998 roku, odszedł od nas na zawsze Kowal. Nie pokonały go góry, tylko nowotwór. Walczył z chorobą dzielnie przez wiele lat. Pogorszenie przyszło tak nagle, że zanim się zorientowaliśmy, już nie żył. Staliśmy z Pafnucelem nad jego grobem i nawet się do siebie nie odezwaliśmy. Bo o czym tu gadać?

Przypisy:

[1] Nie mam nic przeciwko prawdziwej etyce chrześcijańskiej, ale zbyt często podciąga się ostatnio pod to pojęcie ksenofobię i zwykłą hipokryzję.

[2] Podhaczać - używać haków jako sztucznego ułatwienia, czyli czynnie je obciążać

[3] Droga klasyczna - droga taternicka, na której nie używa się sztucznych ułatwień, korzystając wyłącznie z naturalnej rzeźby skały jako chwytów i stopni. Przeciwnościem drogi klasycznej jest droga hakowa

[4] Guma superfriction - rodzaj gumy o niezwykle dużym współczynniku tarcia ze skałą, używanej obecnie przez producentów obuwia do wspinaczki

[5] Poręczowanie - pozostawianie w ścianie lin poręczowych i wracanie na noc do schroniska. Pozwala to na robienie trudnej drogi „na raty”, przez kilka kolejnych dni.

[6] Rep - inaczej repsznur: lina pomocnicza służąca do wyciągania w górę sprzętu i plecaków

[7] Szpej - w żargonie taternickim sprzęt

[8] V+ - stopień trudności drogi taternickiej, dawniej dość wysoki, obecnie w połowie skały

[9] Wyciąg - odległość między stanowiskami asekuracyjnymi lub długość liny. Zwykle ok. 30 metrów.

[10] III+, A1 - oznaczenie trudności technicznych drogi świadczące o tym, że jest to droga zupełnie łatwa.

[11] Nity - specjalne haki umieszczane w otworach wywierconych w skale. Nity, zwane też spitami, stosuje się niezwykle rzadko, tylko tam, gdzie ogromne trudności nie pozwalają na umieszczenie zwykłych haków.

[12] Pająk - skomplikowany manewr linowy, pozwalający na trawers w terenie zupełnie pozbawionym chwytów i szczelin

[13] Rzecz w tym, że startowałem wtedy z taboriska, spod namiotu, a nie ze schroniska. Mieszkanie pod namiotem w zimie powoduje, że startuje się z zimna w zimno i do zimna wraca.

[14] Tak było, gdy pisałem książkę. Obecnie powtórzenie zimowe już jest - Maciej Muskat z tow.

[15] Spity - haki osadzone na stałe w miejscach, gdzie nie ma naturalnych szczelin. Umieszcza się je w otworach wybitych w skale specjalnym wiertłem. Są to bardzo mocne i pewne punkty asekuracyjne.



Wschodnie ściany Mnicha i Mniška. Fot. Krzysztof Łoziński

*Góry nie lubią tych,
którzy mają pecha.*

Lawina

Ministrant jest górą, której próżno szukać w przewodnikach turystycznych i na mapach. Autorzy tych dzieł do dziś nie zauważają jego istnienia. Ministrant ma bardzo niewyraźny szczyt, który właściwie wcale nie wystaje z grani łączącej Mnicha i Mniszka z Mnichową Kopą. Ma za to ścianę, wprawdzie niedużą, bo liczącą zaledwie sto metrów wysokości, ale piekielnie trudną, bo składającą się z liczącego 60 metrów okapu, w kształcie uniesionej kłapy fortepianu. Ten okap to właściwie ogromna płaska strefa przewieszona pod kątem 30 stopni, a więc pod najgorszym możliwym kątem. Takie przewieszenie powoduje, że wisząc w ławeczkach nie ma się już kontaktu nogami ze skałą, a jednocześnie przechodząc na każdy kolejny hak trzeba mocno wznosić się w górę. Wymaga to od alpinisty nie tylko pokonywania bardzo dużych trudności technicznych, ale także ogromnego wysiłku fizycznego.

Przez ten okap prowadzi dziś najtrudniejsza technicznie hakowa droga w Tatrach: V+, A3+, 8e, 25 godzin. Poprowadzili ją Jan Muskat i Jarosław Caban „Blondyn”. Pierwsze przejście trwało 6 dni (w lecie), co najlepiej oddaje nagromadzenie trudności, bo żadnego z autorów nie można posądzić o brak umiejętności wspinania.

Przejście tej drogi poprzedzone było trzema próbami. Pierwszą próbę podjęli Fijał, Momo, Małolat i Belfegor, od razu bardzo ambitnie, w linii największego wysięgu okapu. Skończyło się to lotem Momy i odwrotem. Śladem po tej próbie był płaski kamień powieszony przez Momę na haku, który utrzymał jego lot. Kamień wiszący w tak nieprawdopodobnym miejscu (w 2/3 największego okapu w Tatrach) robił surrealistyczne wrażenie.

Dwa lata później zaczęła się moja prywatna wojna z Ministrantem. Początkowo chciałem zrobić solo jakąś drogę na Mniszku. Razem ze mną pod ścianę podchodzą Bobas, Krowa i Kazio Kierowca. Wycieczka kończy się odwrotem z powodu deszczu. Najpierw jednak próbujemy deszcz przeczekać. Siedzimy w żlebie na kamieniach i z nudów oglądamy okoliczne ściany.

- Wiecie co? Ja chyba pójdę na Ministranta - mówię.

Chłopcy sceptycznie patrzą na ogromny okap nad naszymi głowami.

- Solo? - pyta Krowa.

- Solo - mówię.

Zapada cisza.

- Łoza, czyś ty oszalał? - odzywa się po chwili Bobas.

Widać jednak oszalałem, bo kilka dni później, gdy poprawiła się pogoda, wchodzę w ścianę.

Od razu spore zaskoczenie. Dolna część ściany, która z dołu wydawała się tak łatwa, że miałem zamiar przejść ją na żywca, niespodziewanie staje dęba. Uległem złudzeniu. W zestawieniu z ogromnym okapem nawet pionowy teren wydaje się połogi. Muszę zacząć się asekurować.

Pod koniec wyciągu niespodziewanie trudna ścianka. Omal nie spadłem. Blondyn i Muskat wycenią później to miejsce na VI+. Na razie jednak jestem na sporej półce pod samym okapem. Momatiukowy kamień nad głową robi wrażenie czegoś nierealnego. Dopiero teraz widzę, jak wielka jest strefa przewieszona nade mną. „Wymyśliłeś sobie chłopie nie do przyjęcia plan” - mówię sam do siebie słowami piosenki Kabaretu Starszych Panów.

Przejście w linii największego wysięgu okapu na pewno przerasta moje możliwości. Mogę jednak spróbować pójść w prawo w skos, gdzie okap jest mniejszy, a nad nim widać coś w rodzaju pionowego zacięcia z wyraźną szczeliną. Tak mi się przynajmniej wydawało spod ściany, bo z tej półki nie widać nic poza okapem.

Jest od razu potężnie trudno. Pokonanie pierwszych kilkunastu metrów zajmuje mi prawie pięć godzin. Wchodzą niemal wyłącznie haki specjalne i nie dość, że te najmniejsze, to jeszcze trzeba się dobrze nagłowić, jak je osadzić. Asekuracja jest iluzją. Gdy zbliżam się do krawędzi okapu, sytuacja zaczyna być nerwowa. Od stanowiska nie wbiłem ani jednego porządnego haka, który mógłby wytrzymać lot.

Jest dobrze po południu, gdy wychodzę nad okap i tu zaczyna być już naprawdę źle. Porządnej szczeliny dalej nie ma. Właściwie to żadnej szczeliny nie ma. Są tylko jakieś takie niepoważne szparki zanikające po niecałym

metrze każda. Dalej nie mogę wbić nic porządnego, a w dodatku kończy mi się zapas haków specjalnych. Spitów nie mam, ale mam wiertło.

Tu muszę poczynić pewne wyjaśnienie. Zawsze byłem przeciwnikiem osadzania nitów i spitów. Uważałem, że przy małych rozmiarach tatrzańskich ścian, spitując można przejść wszystko, a zwłaszcza spitując w takim stylu, jak się to obecnie robi, czyli z pomocą elektrycznej wiertarki. To nie jest alpinizm, tylko praca wysokościowa.

Czasami jednak spitować trzeba, bo zdarzają się miejsca, gdzie nie ma żadnej możliwości osadzenia haka. Aby jednak nie ulegać zbyt łatwo pokusie spitowania, postanowiłem używać nitów, które będą straszniejsze niż najstraszniejszy hak. Początkowo używałem więc nitów aluminiowych o średnicy 8 mm i długości 1 cm. Dwa takie twory można, proszę wycieczki, oglądać na pierwszym wyciągu lewego filara Mniszka oraz na trzecim wyciągu drogi „Przeגיעie Pały” vel „Cztery Pory Roku”.

Później zmieniłem taktykę i wierciłem tylko otwory średnicy 12 mm i osadzałem w nich samymi końcami zwykle duże haki, które później wybijałem.

Takie twory można zwiedzać na pierwszym, nie powtórzonym do dziś, oryginalnym wyciągu drogi „Nabrzmięte Problemy”. Pewnie dlatego następcy wolą ten wyciąg omijać.

Nawiasem mówiąc dziś uważam, że i tak prawie wszystkie nity, jakich użyłem, osadziłem niepotrzebnie.

Moja sytuacja jest niewesoła. Jestem już około trzydziestu metrów od stanowiska i w każdej chwili grozi mi porządny „karabin maszynowy” („karabin maszynowy” - to wcale nie jest jakiś sprzęt strzelający, tylko takie zjawisko, że odpadając z jednym hakiem, wrywa się pod sobą wszystkie pozostałe). Co więcej, zaraz skończy mi się lina, a żadnego rozsądnego miejsca na stanowisko w okolicy nie widać.

Wyciągam wiertło i wybijam obok siebie trzy otwory. Wbijam w nie samymi końcami trzy cassinowskie łyżki.[1] Łączę całość pętlami i wieszam repa do zjazdu.

Rozglądam się jeszcze dookoła. Jakieś dziesięć metrów w prawo mam wyraźne zacięcie z porządną szczeliną, ale po drodze całkiem gładko. Wyżej dwa niewielkie okapy, no, niewielkie, to znaczy po pięć metrów. Tutaj pięciometrowy okap robi za niewielki. Za nimi już chyba szczyt. No tak, ale

należałoby zrobić co najmniej jeszcze jeden równie trudny wyciąg. Wątpię bym dał radę. Na tym wyczerpałem już limit nerwów na dwa sezony. Stanowczo wystarczy.



Im bliżej ściany Ministranta, tym bardziej przytłacza jej przewieszenie. Fot. Krzysztof Łoziński.

Zjeżdżam na półkę i muszę dociągnąć się do niej liną, bo jestem dobre piętnaście metrów od skały. Wybijanie jest dziwnie proste. Prawie wszystkie haki wychodzą niemal bez oporu. Wreszcie jestem znowu na swoim stanowisku.

Tak, ale to stanowisko jest kompletną iluzją. Co ostrożniejsi ludzie nie wieszaliby na czymś takim nawet kapelusza, a ja zwisam na tym całym ciężarem, w dodatku obciążony kupą żelaza.



Anatomia okapu. Zdjęcie wykonane ze ściany Ministranta wprost w górę. Fot. Krzysztof Łoziński.

Mam ogromną pokusę, żeby zjechać i dać sobie spokój. W końcu decyduję się jeszcze trochę powalczyć. Postanawiam, że jeżeli na odcinku dziesięciu metrów nie zrobi się łatwiej, to zjeżdżam. Właściwie, to z góry znam wynik, ale nie chcę się jeszcze przyznać do klęski. Kilka metrów nad sobą wypatruję jakąś niewyraźną szczelinę. Może tam się da wbić coś lepszego. Wieszam kolejno cztery skyhooki[2] i docieram do szczelinki. Jest kompletnie zalana i tylko w jednym miejscu daje się wbić normalnego CVM-a.[3] Ale na tym niestety koniec. Dalej trzeba by osadzić cały rządęk spitów. To nie ma sensu.

Zjeżdżam w nieprawdopodobnym lufcie. Jestem chyba ze dwadzieścia metrów od skały. Łąduję na pochyłym trawniku w żlebie prowadzącym na Mnichową Przełęczkę Niżnią. Stąd mogę zejść na nogach.

Zostawiam linę z postanowieniem, że prześpię się z problemem i wrócę jutro. Jestem kompletnie wypompowany psychicznie i potwornie zmęczony. Trzęsą mi się ręce, a nogi mam jak z waty.

Następnego dnia bez entuzjazmu podchodzę pod ścianę. Patrzę na moje stanowisko i wcale nie mam ochoty tam wracać. Czuję się jak ci żołnierze, co, grając w nogę, wkopali piłkę na pole minowe. Wszyscy wiedzą gdzie leży, ale kto po nią pójdzie? W końcu ściągam linę. Później żałowałem, że jednak tam nie wróciłem. Był jeden krótki wyciąg do końca, ale w tym momencie miałem już wszystkiego serdecznie dosyć.

Wydawałoby się, że po tym incydencie powinienem dać sobie spokój. Szaleństwo miewa jednak nawroty. Zimą 1985 roku wróciłem w ścianę Ministranta.

Tym razem wybrałem inny wariant. Wcześniej w domu analizowałem zdjęcia ściany. Zauważyłem, że z lewej strony okap jest najmniejszy. Ma tylko dwadzieścia metrów, a nad nim znajduje się pas pionowej skały idący skośnie w prawo aż do szczytu. Oczywiście można w każdej chwili odbić w lewo i przewijając się za kant wyjść na łatwy filarek. Ale nie o to chodzi, żeby ze ściany uciekać, tylko o to, by ją przejść.

W Żlebie Mnichowym leży głęboki śnieg. Podejście pod ścianę tym razem zajmuje kilka godzin. Za pierwszym podejściem wynoszę tylko pod ścianę sprzęt i poręczuję około trzydzieści metrów łatwych skałek u podstawy ściany. Wysiółek torowania w śniegu po pas z ciężkim plecakiem był na tyle duży, że na dziś wystarczy.

Drugiego dnia przynoszę jeszcze trochę sprzętu i wspinam się dalej. Najpierw niezbyt trudne zacięcie i pas bardzo stromych płyt z wymyciami. Tu jest już nieźle trudno. Wspinam się klasycznie w rakach po skale. I jestem pod okapem. Tym razem wybrałem lepsze miejsce niż poprzednio. Okap nade mną przecinają dwie równoległe wąskie szczeliny. Łatwo nie będzie, ale nie wygląda na taki horror, jak wtedy latem. Zostawiam poręczówkę pod okap i wracam na taborisko. Mieszkam pod namiotem. Taki mam już zimowy zwyczaj.



Przeczekujemy mżawkę w Żlebie Mnichowym. Bogdan Zalega "Bobas", Zbigniew Terlikowski "Krowa" i Kazimierz Gibulski "Kazio Kierowca" oglądają ścianę Ministranta. "Łoza, czyś ty oszalał?". Fot. Krzysztof Łoziński.

Dopiero za trzecim podejściem wchodzę w okap. Mimo wyraźnych szczelin jest bardzo trudno. Szczelinki są cieniutkie. Wchodzą tylko simondy, i to krótkie, oraz jedyńki, które w takim przewieszeniu pracują bardzo źle. Wbijam nawet kilka rurpów[4].



Na szczycie Mnicha. Fot. Krzysztof Łoziński.

Zimą dzień jest krótki. Ściemnia się, a ja wciąż jestem w okapie. Do jego krawędzi pozostało jeszcze pięć metrów, a teren jest zbyt trudny, by go przebyć przy latarce. Wieszam linę do zjazdu i opuszczam się w dół, w ciemną pustkę. Teraz widzę jak bardzo ściana jest przewieszona. Ląduję w żlebie, z dala od jej podstawy.

Następnego dnia długo gramolę się z namiotu. Jest jeszcze ciemno i od razu zauważam, że jest stanowczo za ciepło. Na niebie nie widać gwiazd. To

nie wróży dobrej pogody. Na razie jednak nic z nieba nie pada, więc nie ma powodu, by nie iść.

Gdy jestem u podstawy żlebu, jest już jasno. Niebo pokrywa równa, wysoka warstwa chmur. Wcale mi się to nie podoba. W dodatku śnieg zaczyna być mokry. Pod butami tworzą się buły nabitego śniegu. W pewnym momencie z Małej Galerii Cubryńskiej spada niewielka lawina mokrego śniegu. Jestem poza jej torem i trochę tylko oberwałem pojedynczymi bryłami.

Ale w końcu, co mnie obchodzi ta odwilż? Przecież wchodzę w ścianę na całość i wyjdę z niej dopiero na szczycie. Pode mną może być nawet potop. Co mi tam?

Poręczówka jest z polskiej liny podciągowej, zwanej gumą od majtek z powodu nadmiernej elastyczności. Zanim oderwałem się od ziemi, musiałem sporo napędałować się na jumarach w miejscu, by ją naciągnąć. Teraz podchodzę do góry w nieprawdopodobnym lufcie kręcąc się w powietrzu dookoła własnej osi. Wreszcie jestem na wiszącym stanowisku w okapie.

Ostatnie pięć metrów okapu pokonuję dosyć szybko. Może dlatego, że jestem wypoczęty. Około dziesięć metrów nad okapem dochodzę do poziomej rysy przecinającej całą ścianę. Mogę nareszcie założyć porządne stanowisko. Zjeżdżam do stanowiska pod okapem i wybijam wyciąg. Nie zlikwidowałem jednak dolnego stanowiska i zostawiłem sobie przywiązaną do niego pojedynczą linę podciągową. Ma ona osiemdziesiąt metrów długości i z tego miejsca sięgnie aż w okolice szczytu Ministranta. Dzięki tej linie prawie do końca drogi będę miał zapewniony odwrót. Bez niej byłby on niemożliwy, bo w tak silnym przewieszeniu żadna lina zwisająca pionowo nie sięgnęłaby do ziemi. Może jestem wariat, ale nie idiota i nie chcę jeszcze całkowicie odcinać sobie drogi odwrotu.

Zajęty wspinaczką nie zwróciłem uwagi, że zaczął padać śnieg. Na razie w powietrzu krążą pojedyncze duże płatki. Robię porządek na stanowisku i ruszam w górę. Najpierw muszę przetraversować kilka metrów w prawo, prawie na krawędź okapu pode mną. Zrywa się wiatr i śnieżycą gęstnieje. Już prawie nie widzę terenu nad sobą. Posuwam się kilka metrów do góry, ale śnieżycą zaczyna mi coraz bardziej przeszkadzać.

Ministrant, a właściwie jego ściana, znajduje się w głębokim wąwozie, jaki tworzy w tym miejscu Mnichowy Żleb, wcięty między Zadnią i Małą Galerię Cubryńską a górną część Dolinki za Mnichem. Wiatr zwiewa do tego wąwozu świeży śnieg ze wszystkich stron. Z minuty na minutę robi się coraz

gorzej. Cała przestrzeń wypełniona jest śniegiem. Opad połączony ze zwiewanymi ze wszystkich stron pyłówkami zaczyna tworzyć istne białe piekło. Zauważam, że chwilami nie widzę już nawet skały przed sobą, do której mam nie dalej niż pół metra. Dotykam jej ręką, a nie widzę. Śnieżny puch wypełnia wszystko. Mam wrażenie, że zaraz się uduszę. Nic nie widzę, bo twarz i oczy zalepia mi śnieg niemal natychmiast po ich przetarciu.



Płyty wschodniej ściany Mnicha. Fot. Krzysztof Łoziński.

Po omacku pospiesznie cofam się do stanowiska. Uciekać i to jak najprędzej. Jeśli tu zostanę, to nawet jeżeli się nie uduszę, umrę z wyziębienia. Śnieg mam już wszędzie, nawet pod bielizną. Łączę ze sobą dwie liny, by móc je potem ściągnąć i jazda. Jestem w jakiejś białej, wypełnionej śniegiem przestrzeni. Nic nie widzę. Po chwili czuję, że jedna z lin zaczyna ciągnąć mnie w bok. No tak, jest przyczepiona do stanowiska pod okapem. Blokuję linę w ósemce i dociągam się do haków. Wypinam linę z karabinka i lecę wahadłem w białą pustkę. Wreszcie jestem na dole. Łąduję, zapadając się w śniegu po klatkę piersiową i od razu uświadamiam sobie następne niebezpieczeństwo. Jestem na samej górze ogromnego stromego żlebu, do którego nawaliło ponad metr niezwiązanego śniegu. Mam do wyboru tylko dwa warianty: zostać (i pewna śmierć z wyziębienia), albo schodzić (i prawie pewny lot z lawiną).

Ściągam liny, pakuję plecak i zaczynam zejście. Wcześniej wyciągam radiotelefon i łączę się z ratownikiem dyżurnym GOPR w Morskim Oku. Mówię, że będę schodził cały czas meldując, gdzie jestem, bo jest cholernie źle i właściwie to nie mam szans. Jak polecę z lawiną, to niech chociaż ktoś o tym wie. Zresztą z tej wiedzy też niewiele wynika. W tych warunkach nikt nie może mi pomóc, a do poprawy pogody pod śniegiem i tak bym nie przeżył. Czysta formalność.

Zaczynam zejście. Gdy oddalam się trochę od ściany Ministranta kopiąc się w śniegu po pierś, poprawia się widoczność. Wyszedłem z zasięgu pyłówek i mam do czynienia tylko ze zwykłą śnieżycą i mgłą. Jestem na wysokości lewego filara Mniszka, gdy na lewo ode mnie rusza lawina. Obok mnie przewalają się masy śniegu.

- Kurwa, pierdolnęło z lewej - mówię przez radio.

Schodzę jeszcze pięćdziesiąt metrów i rusza lawina z prawej.

- Pierdolnęło z prawej - mówię, i chcę coś jeszcze dodać, ale w tym momencie dostaję uderzenie w plecy.

- Kurwa, lawina, pierdolnałem z lawiną! - wrzeszczę w mikrofon i rzucam się do tyłu jakbym chciał zrobić fiflak[5].

Utrzymać się na wierzchu, za wszelką cenę utrzymać się na wierzchu! Udaje mi się zrzucić plecak. Sunę na grzbiecie ogromnej lawiny wypełniającej cały żleb.

Wielki blok skalny w dole żlebu zbliża się z zawrotną szybkością. Cholera, tylko nie w ten blok! Ale jestem zupełnie bezradny. Lecę prosto na blok i przelatuję nad nim wyrzucony jak ze skoczni. Robi się mniej stromo i lawina zaczyna stawać. Nie dać się wciągnąć pod spód! Walczę rozpaczliwie o utrzymanie się na powierzchni.

Wreszcie lawina zatrzymała się. Jestem na wierzchu i chyba nic mi nie jest. Wygrzebuję się ze śniegu, który momentalnie twardnieje.

- Pierdolnąłem z lawiną, ale nic mi nie jest - mówię przez radio dziwnie spokojnie.

Kilka metrów wyżej wystaje mój plecak. Wyciągam go i wtedy widzę kolejną lawinę sunącą prosto na mnie.

- O kurwa, druga! - wrzeszczę przez radio.

Potężny wał czoła lawiny porywa mnie ze sobą. Coś mnie kotłuje, gniecie, ciągnie i nagle wylatuję w górę jak z procy, i łup na plecy, aż mi oddech zatkało i... lawina staje. Znowu jestem na wierzchu i znowu jestem cały.

Gramolę się ze śniegu i myślę tylko o jednym: uciekać w dół. I wtedy z mojego radiotelefonu rozlega się młodziutki, dziewczęcy głos:

- Tu zimowy obóz harcerski z Bukowiny. Proszę pana, proszę nie używać takich brzydkich słów przez radio.

Toruję w dół po pas w śniegu, a góry wokół huczą lawinami, z Zachodu Zaruskiego, z Zetki, z Szerokiego Żlebu, zewsząd. Jestem już na Hali pod Mnichem. Spadłem z lawiną trzysta metrów! Z samej góry, na sam dół, aż się warunki terenowe do latania skończyły.

Kiedy docieram do schroniska, już na mnie czekają.

- Leżałem na pryczy i słyszę: „pierdolnąłem z lawiną!” - mówi dyżurny goprowiec - jak podskoczyłem, to się walnąłem głową o górne łóżko.

Dowiaduję się, że lecąc z lawiną, cały czas strasznie bluzgałem. Ja z tego nic nie pamiętam. Pewnie odruchowo trzymałem cały czas wciśnięty przycisk nadawania. Harcerzy też wszyscy słyszeli i jest z tego kupa śmiechu. A swoją drogą, to miałem masę szczęścia. Gdybym nie utrzymał się na wierzchu lawiny i gdyby druga lawina sama nie wyrzuciła mnie na wierzch, to

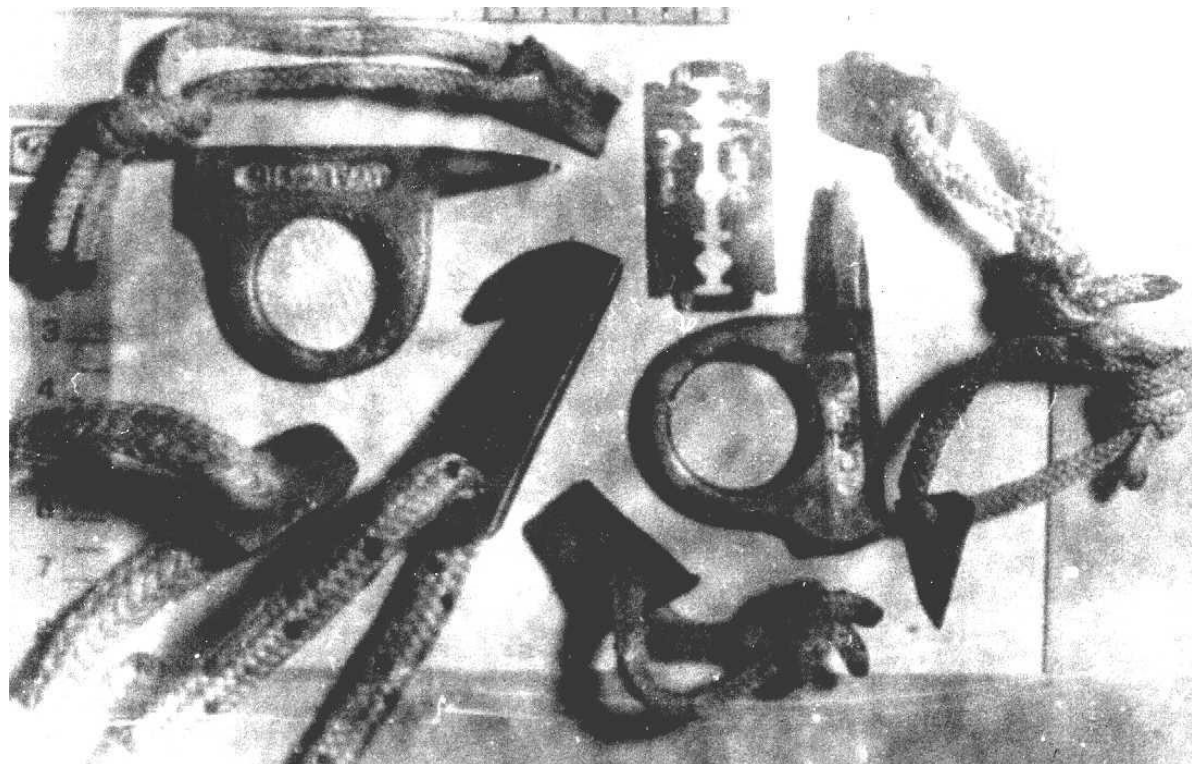
by mnie znaleźli na wiosnę. Ale tak już jest. Góry nie lubią tych, co mają pecha.

Wracam na taborisko. Na szosie leży pół metra śniegu, którego jeszcze rano nie było. Tak ogromny opad to wyjątkowa rzadkość. Że też musiał się trafić akurat wtedy, gdy miałem już tylko trzydzieści metrów do końca ściany i największe trudności za sobą.

Tego dnia czułem się zupełnie dobrze. Następnego dnia miałem już trudności ze wstawaniem. Bolało mnie właściwie wszystko. Kilka dni później poszedłem na prześwietlenie, by sprawdzić, czy mam całe żebra. Nieźle mnie te lawiny poobijały. Cały byłem w sińcach.

- No, no... Wygląda pan jak niebieskoscóry - powiedział lekarz, który mnie badał - aż dziwne, że nie ma żadnych złamań.

A ja pomyślałem, że to wcale nie dziwne. Gdybym doznał jakiegoś złamania, to z pewnością nie zszedłbym o własnych siłach i pan doktor wcale by mnie nie oglądał, chyba że wiosną na patologii.



Haki specjalne, których używałem na Ministrancie. Dla porównania wielkości - żyletka.
Fot. Krzysztof Łoziński.

Okazuje się, że szaleństwo nie tylko miewa nawroty, ale i udziela się innym. Gdy latem przyjechałem w góry, z połowy okapu wisiała już poręczówka Muskata i „Blondyna”. Oglądałem ją z Małej Galerii Cubryńskiej. „Nie ciesz się Jasiu - pomyślałem - ja już dwa razy byłem nad okapem”.

Tym razem jednak góra przegrała. Janek Muskat wycenił to na A3+ i to w skali modernistycznej. Skala modernistyczna - to taka, w której zakłada się, że wszystko, co pokonano hakowo wcześniej, mieści się w stopniu A1 (Wariant R na Mnichu i Filar Kazalnicy zostały w tej skali zdegradowane na A1-); jeżeli w czasie krótszym niż dwadzieścia minut wie się jak i gdzie osadzić następny hak, to nie ma A2; trudności A3 są wtedy, gdy wyrwanie jednego haka grozi „karabinem maszynowym” aż do stanowiska albo i ze stanowiskiem; większe trudności niż A3 nie istnieją. W takiej to właśnie skali Janek Muskat wycenił ścianę Ministranta na A3+, a Janek Muskat naprawdę umie się wspinać i wie, co mówi.

Cóż mi zostało? Złożyłem im gratulacje. Co z tego, że tyle się nawalczyłem. Góry należą do wszystkich i nie są objęte rezerwacją. Poza tym ja, w przeciwieństwie do większości alpinistów, uważam, że tabela wyników nie zaczyna dyskusji, tylko ją kończy. Oni ścianę przeszli, a ja nie, i są to jedyne godne odnotowania fakty. Koniec, kropka.



Nawis śnieżny. Fot. Krzysztof Łoziński.

Choć od przejścia Muskata minęło już 27 lat, jego droga ma szereg powtórzeń i ciągle każde jej przejście uważane jest za wielki wyczyn, mimo coraz większej liczby stałych haków. Sześćdziesiąt metrów przewieszenia i muskatowe A3+ zmuszają do szacunku. Nikt nie próbował poprowadzić dróg ani w linii próby Momatiuka, ani w linii moich prób. A szkoda. Poprowadzono natomiast pierwszą drogę klasyczną, która trawersuje okap od prawej do lewej, taką szeroką rysą. Dokonał tego zespół trójki młodych ratowników TOPR. Trudności wycenili na X (słownie:dziesięć). Za moich czasów takich trudności nie przechodził nikt.

Przypisy

[1] Cassinowskie łyżki - haki firmy Cassin o wąskich końcach i wykonane z bardzo miękkiej stali, przez co trzymały w szczelinach bardzo mocno.

[2] Skyhook - inaczej clifhunger lub bocianik - niewielki haczyk, którego się nie wbija, tylko wiesz na mikrokwarcach lub występach skały. Używanie tego sprzętu grozi lotem w każdej chwili.

[3] CVM - hak ze stali chromowo-wanadowo-molibdenowej o bardzo wysokiej twardości.

[4] Rurpy - haki specjalne o bardzo małych wymiarach, rzędu jednego centymetra.

[5] Fiflak - ćwiczenie gimnastyczne, przerzut do tyłu.

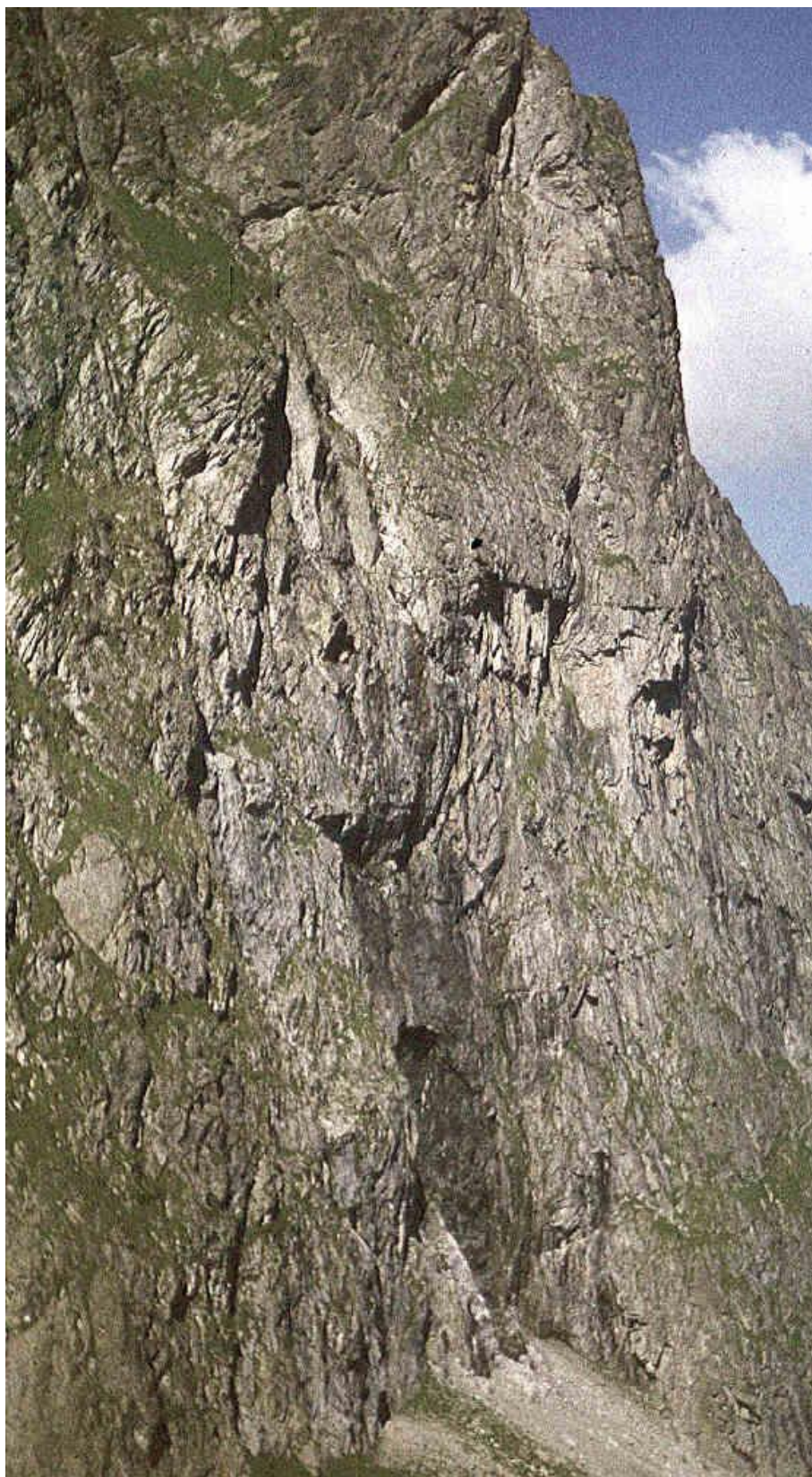
Uskok Laborantów

„Uskok Laborantów” - to droga w ścianie Kotła Kazalnicy, o której od razu po jej zrobieniu wiedziałem, że jest to najbrzydsza i najbardziej niebezpieczna z dróg, jakie poprowadziłem, a zarazem najszybciej zostanie powtórzona, bo ludzie są skłonni przejść nawet najpaskudniejszą formację, byleby się nazywało to Kazalnica. Podstawową cechą tej drogi jest potworna kruszyzna i niemal zupełny brak asekuracji przy sporych trudnościach technicznych. Dlaczego więc razem z Mundkiem zrobiliśmy taką drogę? Bo cały czas myśleliśmy, że dalej będzie lepiej.

Zaczęło się od pomysłu Janka, by zrobić nową drogę między „Superściekiem” a „Sprężyną”. Przy pierwszej próbie poszło nam całkiem nieźle, bo doszliśmy do połowy wysokości ściany, ale tam zrobiliśmy pewien błąd taktyczny. W wielkim okapie, który trzeba było pokonać, wybraliśmy zły kierunek ataku. Zmyliły nas paski mchów, wyglądające z daleka jak zarośnięta mchem szczelina. Gdy jednak podszedłem pod okap, okazało się, że pod mchem żadnej szczeliny nie ma i powinno się atakować ten okap w zupełnie innym miejscu. Straciliśmy masę czasu, a miejsce zupełnie nie nadawało się do biwakowania i nie zostało nam nic innego, jak zjechać. Później podchodziliśmy pod ścianę jeszcze dwa razy, ale bez powodzenia. W końcu, kilka lat później, drogę w tym samym miejscu poprowadzili Mariusz Koras i Janek Wolf. Tak już bywa. Góry nie są objęte rezerwacją.

Przy okazji tych prób zauważyłem spory obszar dziewiczej skały pomiędzy „Sprężyną” a drogą Długosza i Popki. Jankowi ten pomysł zupełnie się nie podobał, więc musiałem szukać innych partnerów. Udało mi się namówić Krzyśka i Bogdana.

Laborantami nie zostaliśmy nazwani przez innych, jak głosi dużo późniejsza legenda, z powodu żmudnej dłubaniny w ścianie, ale nazwaliśmy się tak sami. Powód też był zupełnie inny i całkiem prozaiczny. Bogdan pracował na Politechnice Warszawskiej jako laborant chemiczny, i jako pracownik wyższej uczelni miał zniżkę 50% na kolei. Aby cały zespół mógł pojechać do Zakopanego taniej, pożyczyl dla nas, od kolegów z pracy, legitymacje laborantów i w ten sposób podróżowaliśmy wszyscy jako laboranci za połowę normalnej ceny biletu.



Urwisko Kotła Kazalnicy (Sanktuarium). Fot. Krzysztof Łoziński.

Tu wypadaloby wspomniec, co to byla w tamtym czasie podroz do Zakopanego. Bo nie byla to dzisiejsza wygodna przejazdka pociagiem ekspresowym lub samochodem.

Przez dlugie lata jezdzyly z Warszawy do Zakopanego dwa rodzaje pociagow: „Rzeznia”, czyli osobowy, i „Wołowy”, czyli pospieszny. „Rzeznia” to byl pociag stajacy na kazdej najmniejszej nawet stacyjce i to na ogol na dobre pare minut. Jechalo to do Zakopanego cale czternaście godzin i z reguly byl to pociag potwornie zatloczony. O miejsca trzeba bylo walczyć. „Rzeznia” odjezdzała o polnocy z Dworca Glownego (ktory teraz juz nie funkcjonuje). Gdy pociag podstawiano na peron, czesc przedzialow byla juz zajeta przez tych, ktorzy, za flaszkę daną kolejarzom, dostawali się do pociagu juz na stacji postojowej. Gdy pociag wjezdzał, odbywały się niemal kaskaderskie sceny, czyli walka o miejsca. Ludzie dopadali w biegu drzwi wagonow i wskakiwali, odpychając przy tym konkurentow. Niektórzy wskakiwali przez okna.

Aby zdobyć przedział, trzeba bylo dopaść go we dwóch, bo jeden musiał potem warować w oknie, a drugi w drzwiach, aby obronić zdobycz przed tłumem. Gdy pociag zatrzymał się, po peronie odbywały się gromadne szaleńcze biegi w obie strony, bo nie bylo wiadomo, gdzie nasi złapali przedział i jak dlugo zdołają go utrzymać. W sezonie zimowym lub letnim walki o przedziały byly najbardziej zaciekle. Organizowało się wtedy koleżeńskie „kupy”, w wyniku czego zdobyczny przedział okupowało później dziesięć czy dwanaście osób razem z wielkimi plecakami, śpiąc metoda jeden na drugim w jakichś potwornie niewygodnych pozycjach, a że towarzystwo na ogol bylo dwupłciowe, to z tego podrozowania „Rzeźnią” wyłoniło się później pare małzeństw.

Była też inna „szkoła przetrwania” tych upiornych czternastu godzin podrozy. Polegala ona, w wielkim skrócie, na systematycznej konsumpcji alkoholu, ktorego trzeba bylo zabrac ze sobą odpowiedni zapas. Ale zdarzaly się też inne rozwiązania, czasem równie oryginalne, co i męczące, dla pozostałych pasazerów.

Pewnego razu podrozowałem do Zakopanego w jednym przedziale z Bolekiem i Mariuszem, nawiedzonymi studentami matematyki. Ja też byłem studentem matematyki (i fizyki), tyle, że nie nawiedzonym. Bolek i Mariusz, juz na przedpolach Warszawy, rozpoczęli dyskusję o przestrzeniach pierzastych i operatorach lambda i nie zmienili tematu aż do końca, kontynuując go nawet w autobusie do Łysej Polany. Przestrzeń pierzasta to

taka konstrukcja, w której przez każdy punkt tworzącej ją prostej przechodzi prosta do niej prostopadła, tworząc w ten sposób drugi wymiar, a jeśli jeszcze przez każdy punkt każdej z tych prostych prostopadłych przechodzą następne proste do nich prostopadłe, to powstaje wymiar trzeci i tak dalej. W sumie jest to twór istotny tylko dla jakiejś wąskiej grupy matematyków teoretyków i zanudzenie tym tworem przez kilkanaście godzin grona normalnych ludzi powinno być karane chłostą.

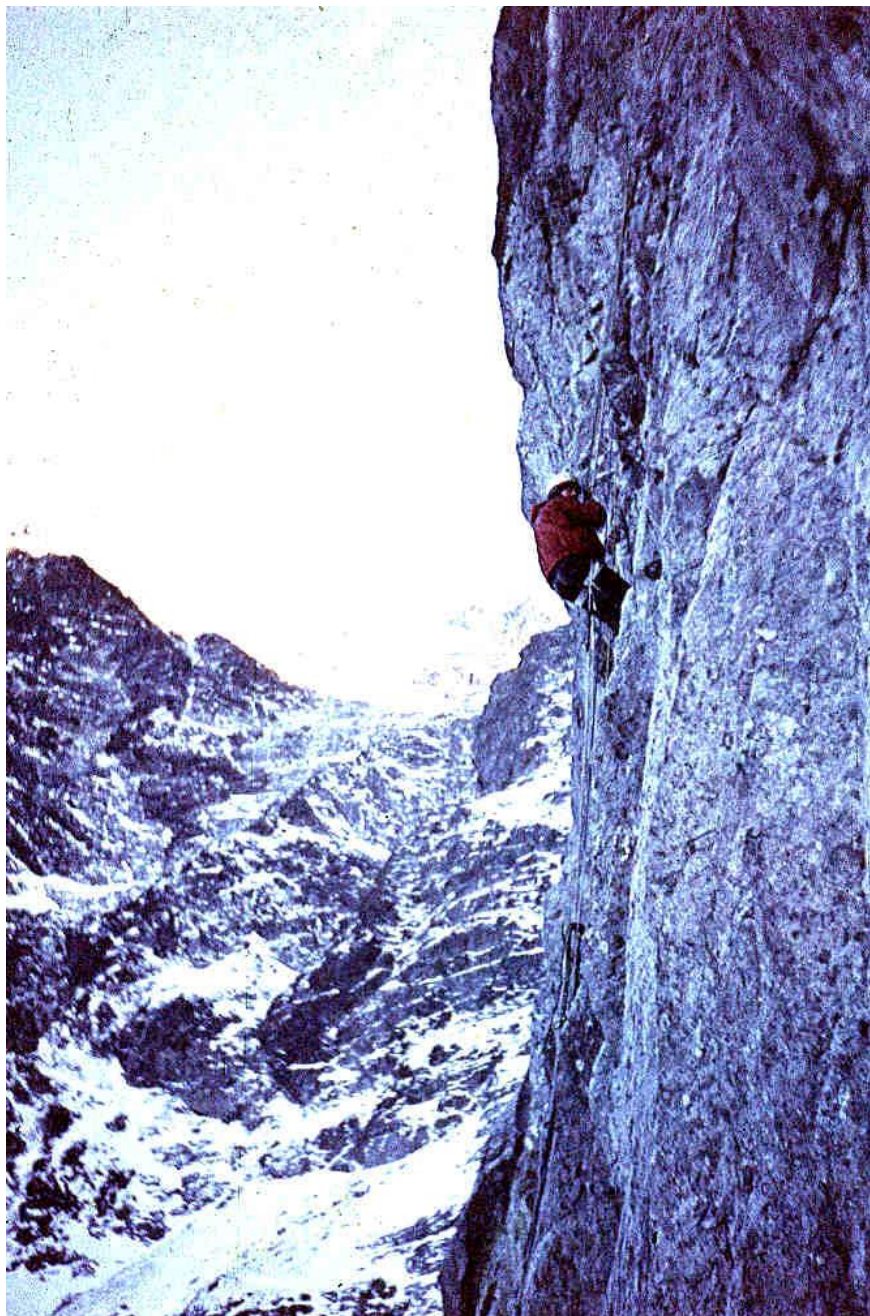
Po tej podróży na Mariusza nikt już nie mówił inaczej jak „Przestrzeń Pierzasta”, a gdy w Morskim Oku któryś z dyskutantów zajmował miejsce przy stole, to pozostałe miejsca pustoszały. Jeden z młodszych uczestników tej podróży, który dopiero miał zdawać na studia, zmienił preferencje z matematyki na socjologię i nie zdołałem mu wytłumaczyć, że to, co go wkurza, to nie matematyka, tylko Bolek i Mariusz.

„Rzeźnią” podróżowało się w przedziwny sposób i w przedziwnych miejscach. Nie zawsze udawało się zdobyć przedział. Bywało, że jechaliśmy w kibelku lub w umywalni, a najczęściej w korytarzu. Tylko bardzo naiwni myśleli, że w czasie podróży „Rzeźnią” można normalnie korzystać z toalety. Takie sprawy załatwiano się na stacjach lub przez okno. W kibelku natomiast, co najmniej kilka razy, zdarzało się nam gotować posiłki na juvlu[6]. To był prawdziwy pociąg widmo.

Nieco lepsze notowania miał „Wołowy”, który nazywał się pospieszny, bo jechał dwanaście godzin, a nie czternaście. Pozostałe realia były takie same, jak w „Rzeźni”. Z tych podróży do końca życia będę pamiętał takie sytuacje, gdy po długim, jak mi się wydawało, czasie tkwienia w potwornie niewygodnej pozycji, między czymś worem a nartami, zaczynałem mieć nadzieję, że pewnie sporo już ujechaliśmy, że ten koszmar może wkrótce się skończy. Zaczynałem nieśmiało marzyć, że może już minęliśmy Radom, albo nawet zbliżamy się do Krakowa. Rzuciłem wtedy nieśmiało pytanie: „Jaka to stacja?”, a ktoś tkwiący bliżej okna odpowiadał: „Warka”.

I tym razem tłok w „Rzeźni” był potworny, bo wybraliśmy termin wyjazdu akurat przed Świętem Zmarłych, a jednocześnie, będąc tylko we trzech, nie mieliśmy szans na zdobycie przedziału. Jechaliśmy w harmonijce między wagonami. Był mróz i nikt poza nami nie mógł w harmonijce wytrwać, bo inni pasażerowie nie mieli kurtek puchowych, ale i nam dała się ta podróż we znaki.

Tatry przywitały nas piękną i mroźną pogodą. W schronisku w Morskim Oku dostaliśmy osobny pokój, co było rzeczą niezwykłą i możliwą tylko zupełnie poza sezonem. Przy okazji tego wyjazdu zauważyłem rzecz bardzo ważną, która później kilka razy mi się przydała, a mianowicie, że w nietypowym okresie, w listopadzie, panują bardzo dobre warunki do atakowania dróg w ścianie Kotła Kazalnicy.



Na wiszącym stanowisku w czasie pierwszej próby przejścia "Uskoku Laborantów". Fot. Krzysztof Kleczkowski.

Jednym z problemów wspinania się w tej ścianie było istnienie w niej dwóch „ścieków”. „Wielkim Ściekiem” nazywany jest wodospad opadający z Kotła Kazalnicy, zaś „Małym Ściekiem” - wodospad opadający z Wyżniego Czarnostawiańskiego Kotła. Przez znaczną część roku wspinanie się w linii obu ścieków jest całkowicie niemożliwe lub szalenie niebezpieczne. Latem, po opadach deszczu, wspinaczkę uniemożliwiają wodospady, przy czym, w przypadku „Wielkiego Ścieku”, wodospad po pewnym czasie od opadów w końcu wysycha, ale wodospad z „Małego Ścieku” nie wysycha praktycznie nigdy. W pełni sezonu zimowego w linii obu ścieków schodzą ogromne lawiny i nawet samo podejście pod ścianę związane bywa ze sporym ryzykiem. Kilka lat później lawina spadająca z „Wielkiego Ścieku” zabiła podchodzącego pod ścianę „Kursanta” (Lecha Skarżyńskiego) i parę towarzyszących mu turystów.

W listopadzie natomiast można atakować wszystkie problemy w tej ścianie na ogół bezpiecznie. Od dłuższego czasu panują już wtedy ujemne temperatury, więc wszystkie lodospady i sople, jakie miały powstać, już powstały i są w pełni ukształtowane, a z drugiej strony - jest bardzo mało śniegu, więc nie ma lawin. Kilka lat później podjąłem samotnie, chyba jedyną do tamtego czasu, próbę przejścia w linii „Małego Ścieku”, właśnie w listopadzie iomalże mi się udało. Musiałem się wycofać, bo zaczynał padać śnieg i zostawszy w tym miejscu szybko znalazłbym się w pułapce, ale doszedłem prawie do końca strefy przewieszanej. Gdy wychodziło pierwsze wydanie tej książki, 19 lat temu, drogi w tym rejonie nie było nadal. Obecnie jest ich już kilka. Drogę w linii bardzo podobnej do mojej zrobił Jarosław Caban „Blondyn”. O ile pamiętam, wszystkie zrobiono w lecie, a do ich powstania przyczyniło się opisanie mojej próby pierwszym wydaniu tej książki. Wcześniej nikt się tym rejonem ściany nie interesował.

W czasie naszej pierwszej próby przejścia „Uskoku Laborantów” panowały bardzo dziwne warunki. Był spory mróz, ale musiał być od niedawna, bo jeziora zamrożone były dosyć cienką i przezroczystą warstwą lodu. Po Morskim Oku nie mieliśmy odwagi chodzić, bo lód wydawał się nam zbyt cienki, ale po Czarnym Stawie już chodziliśmy. Wyglądało to jak chodzenie po wodzie. Przez zupełnie przezroczystą, nie pokrytą śniegiem, warstwę lodu widać było doskonale kamieniste dno. W dodatku w tych warunkach woda była jakaś niezwykle przejrzysta i dno widzieliśmy nawet dość daleko od brzegu. Sprawiało to niezwykle wrażenie wywołujące dreszczyk emocji. Chodziliśmy po przezroczystej powierzchni widząc głębie pod sobą. Nigdy później nie spotkałem takiego zjawiska. Z kolei śniegu było

bardzo mało i był on zupełnie niezwiązany, przez co nie chodziło się po śniegu, tylko po kamieniach przysypanych lekkim puchem. Przez ten puch nie było jednak dobrze widać układu kamieni i co raz nogi wpadały w jakieś dziury. Było to bardzo męczące, ale nagrodą była piękna pogoda i wspaniałe warunki w ścianie.

„Uskok Laborantów” tak naprawdę składa się z trzech uskoków, czyli stref bardzo trudnego, pionowego lub przewieszzonego terenu, oddzielonych od siebie odcinkami nieco łatwiejszymi. Moim zamysłem było przejść dwa pierwsze uskoki mniej więcej środkiem. Z dołu wyglądało to na bardzo lite pionowe płyty, pozbawione szczelin. Janek, który od początku dystansował się od naszego pomysłu, powiedział nawet: „nitów wam zabraknie”. Kto by przypuszczał, że rzeczywistością tej drogi będzie wręcz koszmarna kruszyzna. Lity był tylko pierwszy uskok, który pokonaliśmy w czasie próby zimowej. Dalej był kruchy horror.[7]

Trzecim uskokiem miał być pas bardzo silnie przewieszonych skał między „Spreżyną”[8] a „Wariantem Zagajewskiego”[9]. Trzeciego uskoku nie udało mi się pokonać i jest on, w tej linii, w której próbowaliśmy, nie zrobiony do dzisiaj. Nie radzę jednak ponawiać prób w tym miejscu, chyba że ktoś bardzo chce się zabić. W końcu ten trzeci uskok został też pokonany, już nie przez nas, lecz w nieco innej linii. Ale nie uprzedzajmy faktów.

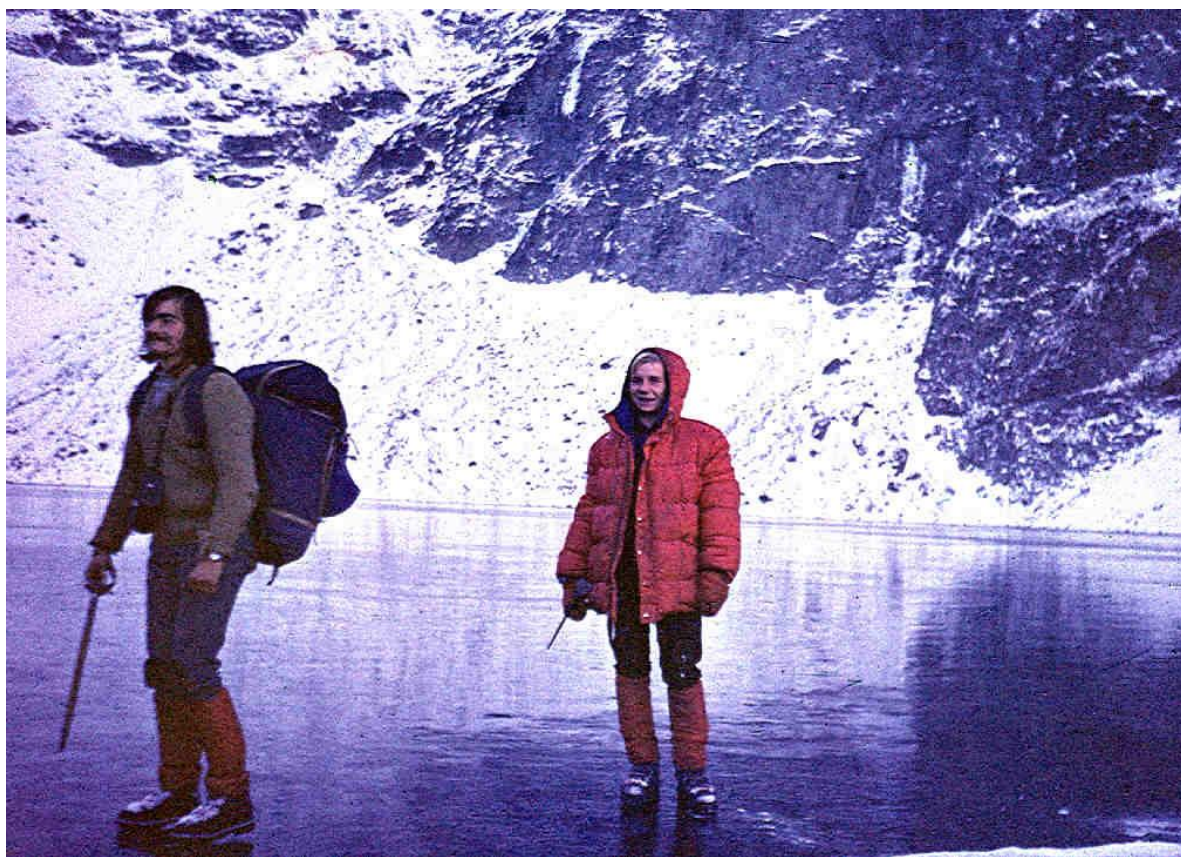
W czasie naszej listopadowej próby byliśmy wielkimi optymistami. Myśleliśmy, że w warunkach zimowych zdołamy zrobić drogę, mając tylko trzy dni czasu na cały pobyt. Od razu okazało się, że jest znacznie trudniej niż się spodziewaliśmy. Skałę, a zwłaszcza szczeliny, pokrywała warstewka lodu. O wspinaniu klasycznym nie było mowy. Pierwszego dnia zrobiliśmy tylko krótki hakowy wyciąg w zupełnie pionowej płycie. Cały drugi dzień spędziłem w ławeczkach na wiszącym stanowisku. Bogdan w tym czasie mozolnie posuwał się w górę. Dziesięć metrów nade mną najpierw dwa razy spadł z niewielkiej przewieszki, a potem, gdy już był nad nią, przestałem go widzieć. Krzysiek, który cały czas stał pod ścianą okutany w kurtkę puchową i przytupywał, służył nam za komentatora i tylko dzięki niemu nie zanudziłem się na śmierć. Za to, co zmarłem, to moje. Gdy Bogdan dochodził do półki kończącej pierwszy uskok, niemal całkowicie skończył mu się sprzęt i, aby wyjść na półkę, w akcie desperacji wbił w zamrożnięte trawki karabinek.

Dalej, jak nam się wówczas wydawało, miało być znacznie łatwiej, ale właśnie trzeba było już wyjechać. Bogdan musiał wracać do pracy, a ja i Krzysiek na uczelnię.



Mały Ściek. Fot. Krzysztof Łoziński.

Wiele lat później przyjechałem znowu w góry w listopadzie. Tym razem zmierzyć się z problemem „Małego Ścieku”. Przyjechałem sam, bo wszyscy moi koledzy uważali pomysł za zbyt szalony i zbyt niebezpieczny. W tej opinii było ziarno prawdy, bo w normalnych warunkach letnich, lub w czasie pełni zimy, atakowanie „Małego Ścieku” rzeczywiście jest czystym samobójstwem. W lecie opada tędy ponad stumetrowy wodospad, a płynąca w nim woda niemal cały czas zrzuca z góry kamienie. W zimie natomiast schodzą tędy ogromne lawiny z Wyżniego Czarnostawińskiego Kotła. Tak więc uważałem, że normalnie nie tylko nie da się „Małego Ścieku” przejść, ale nawet nie da się pod niego podejść, nie ryzykując życiem. Jak okazało się po latach, jednak się da, o czym wspomniałem już wcześniej.



Chodzimy po wodzie. Krzysztof Kleczkowski (z plecakiem) i Bogdan Zalega na pokrytej cienką, przezroczystą warstwą lodu powierzchni Czarnego Stawu. "Uskok Laborantów" widać dokładnie za Bogdanem. Fot. Krzysztof Łoziński.

W czasie mojej samotnej listopadowej próby śniegu prawie nie było, a mimo to z Wyżniego Czarnostawińskiego Kotła cały czas zsuwał się

niewielki strumyczek śniegu, który rozpylał się w powietrzu i na dolnych wyciągach wspinałem się w warunkach takich, jakby prószył drobny śnieżek. Te dolne wyciągi, które uważałem dopiero za podejście pod właściwe trudności, okazały się nadspodziewanie trudne. To były dwa pełne wyciągi twardego naciekowego lodu, nadspodziewanie strome. Z dołu wydaje się, że ten teren leży, ale wydaje się tak głównie z powodu kontrastu z ogromną strefą przewieszoną, znajdującą się wyżej. Gdy jednak człowiek zaczyna się wspinać, z zaskoczeniem stwierdza, że lód staje dęba i trzeba nieźle się w nim nawalczyć.

Wcześniej myślałem, że ten dolny odcinek zdołam przejść na żywca, co najwyżej wciągając plecak, a tu niestety: sztywna asekuracja i trudności rzędu V+. Wspinaczka solowa ze sztywną asekuracją zajmuje mnóstwo czasu, a w listopadzie dzień jest bardzo krótki, więc zdołałem urobić do zmroku tylko pod wielką strefę przewieszoną. Biwak był wygodny, choć nieco nerwowy. Znajdowałem się na lodowej półce tuż pod okapami. Dół „Małego Ścieku” - to coś w rodzaju gigantycznej nyży, która w razie załamania pogody może stać się pułapką. Nad głową miałem kilkadziesiąt metrów silnie przewieszzonego i bardzo trudnego terenu, a uciekając w dół z tego miejsca, w warunkach silnego opadu śniegu, znalazłbym się w linii spadku wszystkich lawin z kotła. Dlatego spałem nerwowo, ciągle budząc się i patrząc na niebo. Ale całą noc niebo było pogodne i pełne gwiazd.

Rano zacząłem rozglądać się dokładniej po otoczeniu, czego nie zdążyłem zrobić w zapadającym zmroku. Okapy nade mną wyglądały beznadziejnie, nie tylko dlatego, że jest to bardzo duży odcinek silnego przewieszenia. Gorsze jest to, że te okapy wyglądają na strasznie kruche. Pełno w nich wielkich, wiszących nie wiadomo na czym, skalnych bloków. Środkiem strefy przebiega wielkie pęknięcie, coś jakby komin albo rysa, formacja podobna do tej, która znajduje się w linii „Wielkiego Ścieku”. Niestety wypełnione jest to tak zwanym „glinołupkiem”, czyli bardzo miękką skałą metamorficzną. Paskudztwo.

Tak mi się przynajmniej wydawało, bo środek strefy przewieszonej pokryty był grubą na jakieś pół metra warstwą naciekowego lodu, ozdobioną całymi girlandami sopli. Atak w linii środkowej odpadał więc całkowicie, choć nie wykluczam, że w innych warunkach (ilość lodu w różnych latach nie jest jednakowa) byłby możliwy. Wybrałem kierunek skośnie w prawo, silnie przewieszoną załupą wyprowadzającą nad okapy, jakieś dwadzieścia metrów na prawo od ich środka. Trochę było to ominięcie największego przewieszenia, ale też nawalczyłem się nieźle. Ta skośna, przewieszona załupa

zajęła mi cały dzień mozolnej i niełatwej hakówki. O zmroku byłem już w terenie nieprzewieszonym, ale ciągle bardzo trudnym i mogłem nawet zajrzeć do kotła. Widok nie był pocieszający.

Okazało się, że to, co z dołu wydaje się końcem problemu, to zaledwie jego połowa, przynajmniej w sensie wysokości. Oczywiście dalej teren jest już znacznie łatwiejszy i można też ze ściany uciec. Są dwie możliwości tej ucieczki. Albo można pójść dalej skośnie w prawo w górę i skończyć drogę filarem Czarnego Miegusza, albo odbić jeszcze w prawo i wyjść do Sanktuarium[10].

Obie te możliwości - to jednak ucieczka, a nie skończenie drogi. Nad okapami „Małego Ścieku” ciągnie się bowiem bardzo stromy kular, który dopiero wyprowadza do Wyżniego Czarnostawiańskiego Kotła. Gdyby pominąć ten kular, można by powiedzieć, że zrobiło się jakąś drogę, ale nie, że zrobiło się „Mały Ściek”. A ten kular - to jeszcze dobre sto metrów kolejnych lodospadów, może już nie bardzo trudnych, ale i nie całkiem łatwych. W dodatku miałem do tego kularu jeszcze dobre czterdzieści metrów nieźle trudnego terenu.

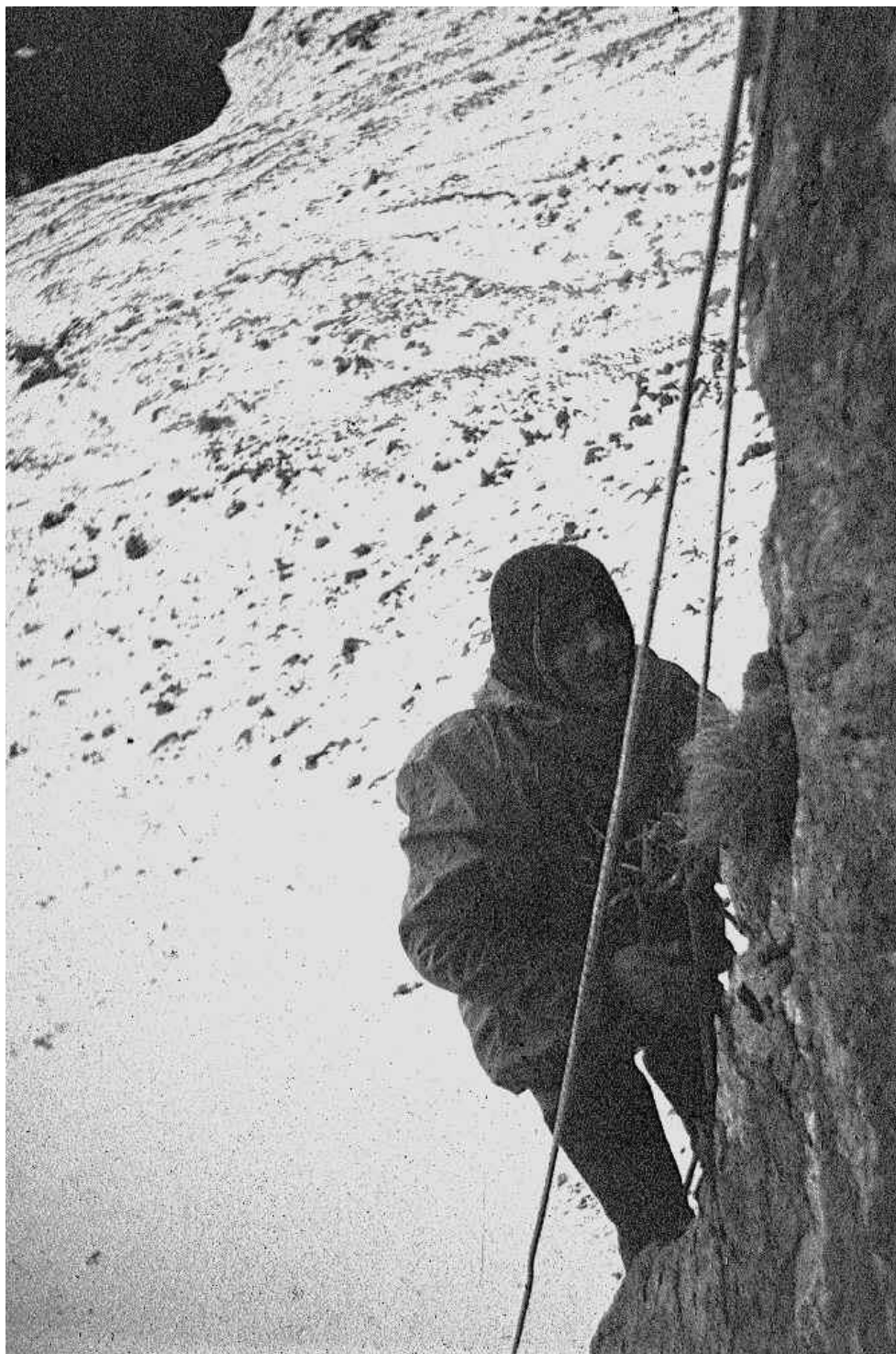
Przez chwilę rozważałem czy wspinać się po ciemku i skończyć drogę w nocy. Byłem jednak bardzo zmęczony i na dziś miałem już wszystkiego dosyć. Znalazłem więc niewielką półkę i założyłem biwak. Później żałowałem tej decyzji, bo - wspinając się nocą - zapewne skończyłbym drogę.

Nad ranem obudził mnie huk lawiny. Otworzyłem płachtę biwakową i znalazłem się w środku wielkiej śnieżycy. Śnieg musiał padać już od dobrych paru godzin i to bardzo intensywnie. Z obu „ścieków”, jedna za drugą, sunęły wielkie lawiny pyłowe. Byłem poza ich zasięgiem i nic mi nie groziło, ale o kończeniu drogi trzeba było zapomnieć. Czterema zjazdami na linie wycofałem się ze ściany.

W następnych latach kilkakrotnie planowałem dokończenie tej drogi, ale w końcu nigdy tego nie zrobiłem. Dziś jestem już na to zbyt stary, więc w pierwszym wydaniu książki mogłem zdradzić pomysł następcom.

Do pomysłu przejścia „Uskoku Laborantów” powróciłem w lecie. Tym razem moim partnerem był Mundek, Stefan Czeczko, Pierwszy uskok przeszliśmy dużo łatwiejszym wariantem, niż w czasie pierwszej, listopadowej, próby. Dalej teren wyglądał znacznie łatwiej, a przynajmniej tak

nam się zdawało. Bardzo szybko mieliśmy się przekonać, w jak wielkim byliśmy błędzie.



Bogdan Zalega na wiszącym stanowisku. Fot. Krzysztof Łoziński.

Już bezpośrednio nad stanowiskiem zatrzymała mnie nadspodziewanie trudna ścianka. Straciłem nieco czasu, zanim wymyśliłem, w którym miejscu ją atakować. W końcu puściła w sposób w miarę normalny, chyba nie trudniej niż V+, ale tak już jest na nowych drogach: jak się już wie, gdzie to przejść, to może być nawet dość łatwo. Zdobywca traci masę czasu i sił na próbach, które później nie znajdują się w linii drogi, a następcy dziwią się: z czym on tak walczył, przecież tam nie jest tak trudno. Ale gdyby robienie nowych dróg było takie proste, jak się niektórym krytykującym wydaje, to w Tatrach wszystko byłoby zdobyte pięćdziesiąt lat temu.

Poprowadziłem długi i niezbyt trudny wyciąg pod drugi uskok i tu wyszedł na jaw pierwszy poważny klops. Okazało się, że nie ma z czego założyć stanowiska. Wyciąg, który przeszedłem, składał się głównie z bardzo stromych trawek i kruszyzny, więc żadnego przelotu na nim nie było. W miejscu, do którego doszedłem, znajdowała się niewielka, trawiasta półeczka, a wyżej całkowicie lita płyta, bez najmniejszej nawet szczeliny. Dopiero jakieś 6-7 metrów wyżej zaczynał się ni to kominek, ni to rysa, rokujący nadzieję na wbicie jakiegoś haka.

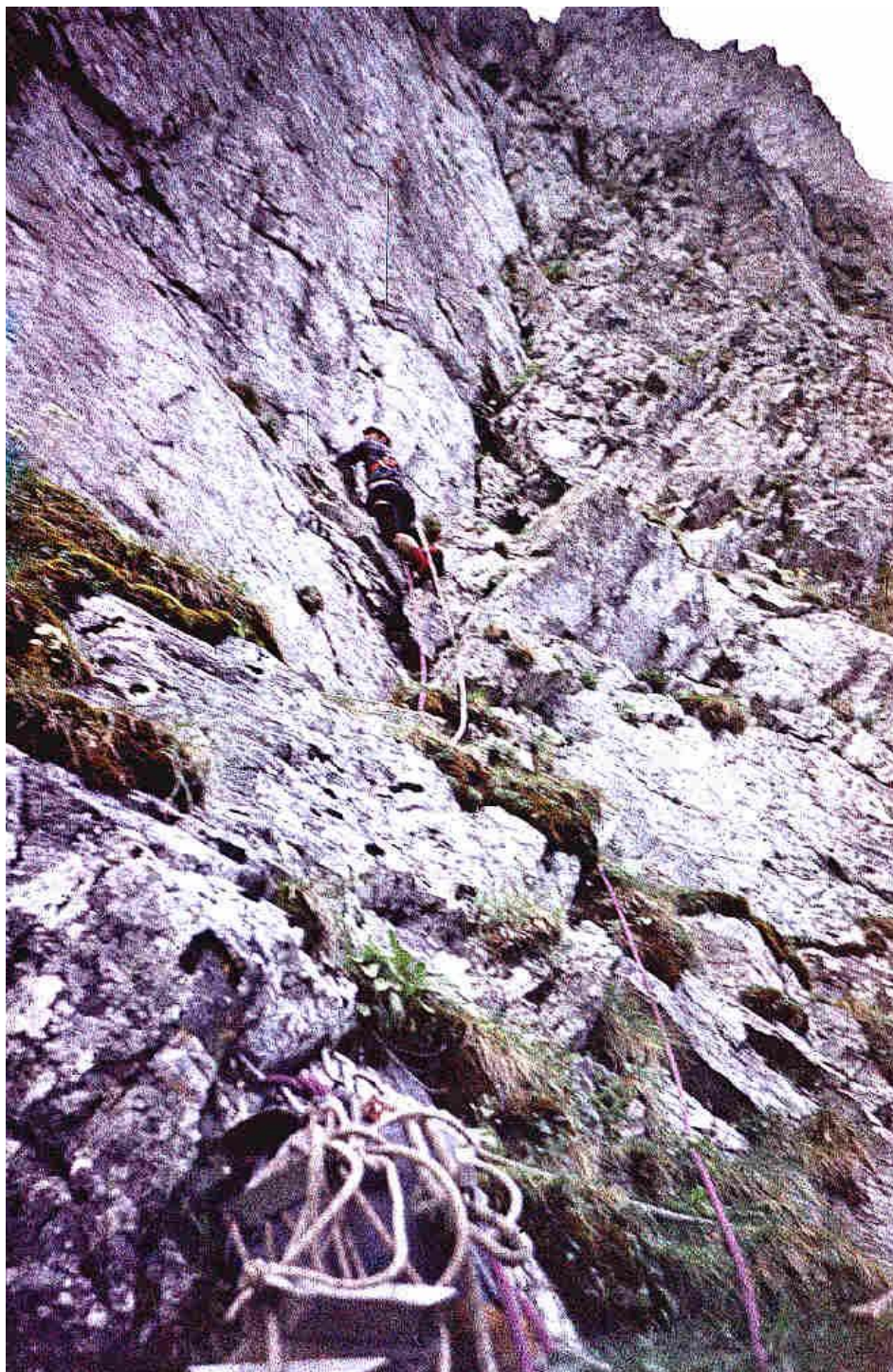
Nie miałem wielkiej ochoty atakować trudnej płyty czterdzieści metrów nad stanowiskiem i bez żadnego przelotu. W dodatku kończyła mi się lina i wcale nie byłem pewien czy sięgnie do kominka ani tego, co w tym kominku zastanę. Po krótkiej naradzie doszliśmy do wniosku, że Mundek dojdzie do mnie, a potem „coś wymyślimy”.

Horror, jaki przeżyliśmy na następnym wyciągu, może być niezrozumiały dla ludzi, którzy powtarzali później naszą drogę, bo obecnie przechodzi się drugi uskok w zupełnie innym miejscu. Najpierw Mundek doszedł do mnie z górną asekuracją, a raczej z górnym brakiem asekuracji. Byliśmy związani liną, ale odkąd zlikwidował dolne stanowisko, nie było między nami ani jednego haka. Dopóki Mundek miał linę z góry, a ja siedziałem na półce, to mimo braku stanowiska, pewnie jakoś bym go utrzymał, gorzej, gdy zaczął iść do góry. W tym momencie stanowiliśmy już potencjalny „latający tramwaj”.

Mundek podszedł kilka metrów klasycznie i znalazł się u podstawy kominka. Tam jednak nie mógł nic sensownego wbić. W końcu umieścił niezbyt pewnego simondzika i długo zastanawiał się, czy go obciążyć. Ostatecznie powiesił na nim ławeczki i obciążył je.

- Jeszcze żyjemy - powiedział, bo hak jednak nie wypadł.

- Wiem, bo jeszcze żyję - odparłem, choć wcale nie miałem nastroju do żartów.



Mundek (Stefan Czechko) próbuje "odbić się" w lewo od załupy na "Sprężynie". Fot. Krzysztof Łoziński.

Mundek wchodził na coraz to wyższe szczeble ławeczek, a hak był obciążany pod coraz to bardziej niekorzystnym kątem. Trwało to strasznie długo. Mundek nie mógł ciągle znaleźć żadnej szczeliny, a między nami, ani na stanowisku, ciągle nie było żadnego haka. Wreszcie poprosił, żebym przysłał mu na repie kołki. W tamtych latach nie znaleźliśmy jeszcze kostek ani bongów, które były już wynalezione, tylko jeszcze nie dotarły do Polski, a friendów jeszcze nie wynaleziono. W szerokie szczeliny wbijało się drewniane kołki.

Mundek wziął największy kołek, gruby na jakieś 15 centymetrów, a długi na ponad 25, i wbił go poprzecznie, czyli długością, a nie szerokością, w rysę. Kołek tkwił w rysie jak szczebel drabiny. Mundek obwiązał go w środku pętlą i powiesił ławeczkę. Gdy obciążał kołek, trącił nogą simonda, a ten wypadł. Teraz Mundek wisiał dziesięć metrów nade mną na jednym wbitym w poprzek kołku i między nami dalej nie było żadnego przelotu. Trwało to wszystko strasznie długo. Kombinował tam już godzinę, a uszedł zaledwie dziesięć metrów. No i ciągle nie mieliśmy praktycznie żadnej asekuracji.

Stopniowo, szukając nad głową szczelin, wchodził w coraz wyższe szczeble, aż w końcu stanął nogami na tym naszym jedynym kołku. Usłyszałem, że coś wbija.

- Wbiłeś coś? - zapytałem.

- Następny kołek.

- A chociaż dobry?

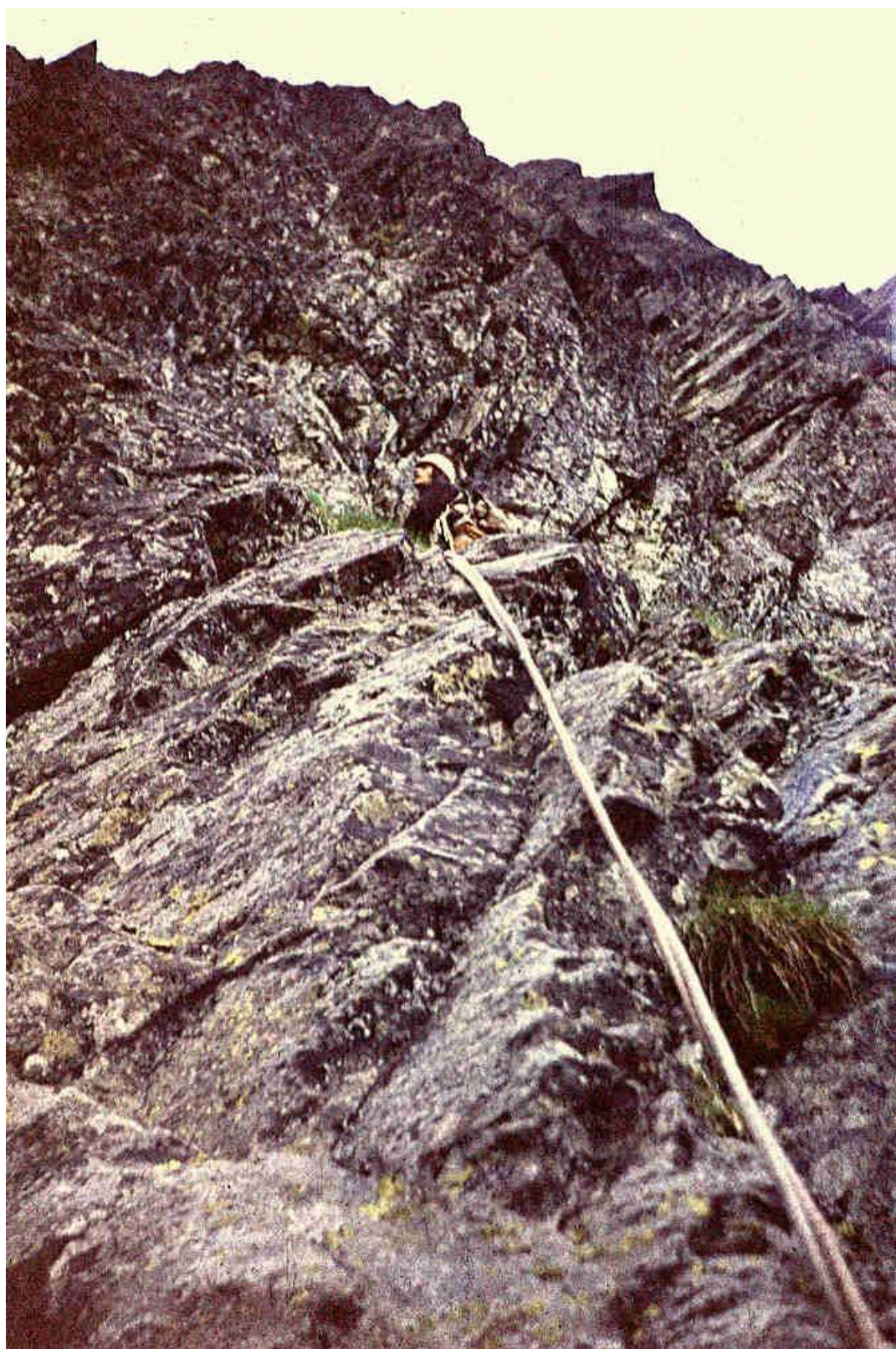
- Horrorystyczny.

Nie widziałem teraz, co robi, bo połową ciała schowany był w kominku. Dobiegały do mnie tylko sapania i przekleństwa.

Ciągle posuwał się w górę strasznie wolno. Z kominka co raz wypadały kępki trawy i jakieś kamienie. Coś tam musiał wbijać, bo słyszałem stukanie młotka, ale z tego co mówił wynikało, że dobrego haka nadal nie ma. Kilka razy odbywaliśmy taką rozmowę:

-Uważaj, zaraz polecę! - zupełnie jakbym miał na co uważać, nie mając stanowiska.

- Nie rób tego - mówiłem, tak jakby to od niego zależało. W końcu nikt nie lata na ochotnika.



Bezskutecznie próbuję wbić się w okapy trzeciego uskoku. Fot. Stefan Czecko.

Ten wyciąg trwał sześć godzin, a Mundek nie był człowiekiem, o którym można było powiedzieć, że nie umie się wspinać. Ludzie, którzy nigdy nie robili trudnych, nowych dróg, nie rozumieją, dlaczego zajmuje to tak wiele czasu. A przyczyny są zupełnie prozaiczne. Tatrzańskie ściany położone są nisko. Teren nie przechodzony pokryty jest mchami, porostami. Szczeliny często zarośnięte są kępkami trawy i wypełnione ziemią. Prowadzący na nowej drodze musi to wszystko czyścić i sporą część tej pracy wykonuje zupełnie niepotrzebnie. Na przykład pracowicie wydłubuje jakieś trawki, by stwierdzić, że pod nimi nie ma w ogóle szczeliny. Oczywiście tych wszystkich problemów nie ma w terenie względnie łatwym.

Gdy Mundek w końcu założył stanowisko, zaczęło się ściemniać. Sporo czasu zajęło wyciąganie plecaków i w końcu zrobiło się zupełnie ciemno. Doszliśmy do wniosku, że zabiwakujemy oddzielnie, bo wyciąg był zbyt trudny, bym przechodził go po ciemku. Początkowo miałem taki pomysł, by powybić podchodząc na węzłach prusika (jumarów nie mieliśmy, to jeszcze nie były te czasy), ale Mundek oświadczył, że stanowisko wprawdzie ma, „ale wolałby go nie obciążać”.

Oba plecaki były już na górze. Zostałem na swojej półce bez ciepłego ubrania, bez jedzenia i, co gorsza, bez picia. Próby opuszczenia mi tego wszystkiego z góry nie powiodły się. Opuszczany plecak klinował się w kominku. Czekala mnie niezbyt przyjemna noc. Było bardzo zimno i strasznie chciało mi się pić. Na szczęście moja półeczka była dosyć wygodna. Dobrze i to.

Rano dosyć szybko przechodzę wyciąg. W kominku jest niesamowita kruszyzna. Prawie wszystkie mundkowe haki i inne konstrukcje wyjmuję ręką. Przy okazji wyrzucam dobre parę kilo kamieni.

To, co znajduje się nad nami nie wygląda zachęcająco. Trzeci uskoki jest potwornie przewieszony. Jedne z drugich wystają krawędzie kolejnych okapów. W dodatku wygląda to znowu na potworną kruszyznę. I tym razem uznajemy, że jak tam dojdziemy, „to coś wymyślimy”.

Swoją drogą pomyślałem, że „coś wymyślimy”, w sytuacji, gdy nie ma nic do wymyślenia, jest sam w sobie ciekawym zjawiskiem. Uświadomiłem sobie, ile to razy w moim życiu w sytuacjach zupełnie beznadziejnych dochodziłem do wniosku, że potem „coś wymyślę”. Pamiętam taką scenę: po aresztowaniu w stanie wojennym zostałem przywieziony do mokotowskiego więzienia i tam spotkałem kolegę z „Solidarności” zatrzymanego tego samego dnia. Mieliśmy

tylko dwa papierosy, a obaj byliśmy wówczas nałogowymi palaczami. Doszliśmy wtedy do wniosku, że teraz sobie wypalimy, a później „coś się wymyśli”, choć mieliśmy obaj pełną świadomość, że w tej sytuacji nie ma nic do wymyślenia.



Jak pająk na suficie. Moja sylwetka na tle nieba w okapach trzeciego uskoku. Fot. Stefan Czeczko.

Znajdujemy się na dosyć długiej półce, przez którą, na obu jej końcach, przechodzą sąsiednie drogi. Z prawej strony „Sprężyna”, a z lewej - wariant

Zagajewskiego do drogi Długosza i Popki. Mundek ma pomysł, żeby podejść kilkanaście metrów „Sprężyną”, a potem odbić skośnie w lewo. Mnie się ten pomysł nie podoba, ale Mundek chce spróbować.

Przewieszona załupa, najtrudniejszy wyciąg „Sprężyny”, w porównaniu z naszym problemem, wygląda jak wygodna ścieżka. Mundek dosyć szybko przechodzi te kilkanaście metrów, ale gdy tylko próbuje odbić w lewo, okazuje się, że to nie będzie takie proste. W końcu daje spokój i wraca na naszą półkę.

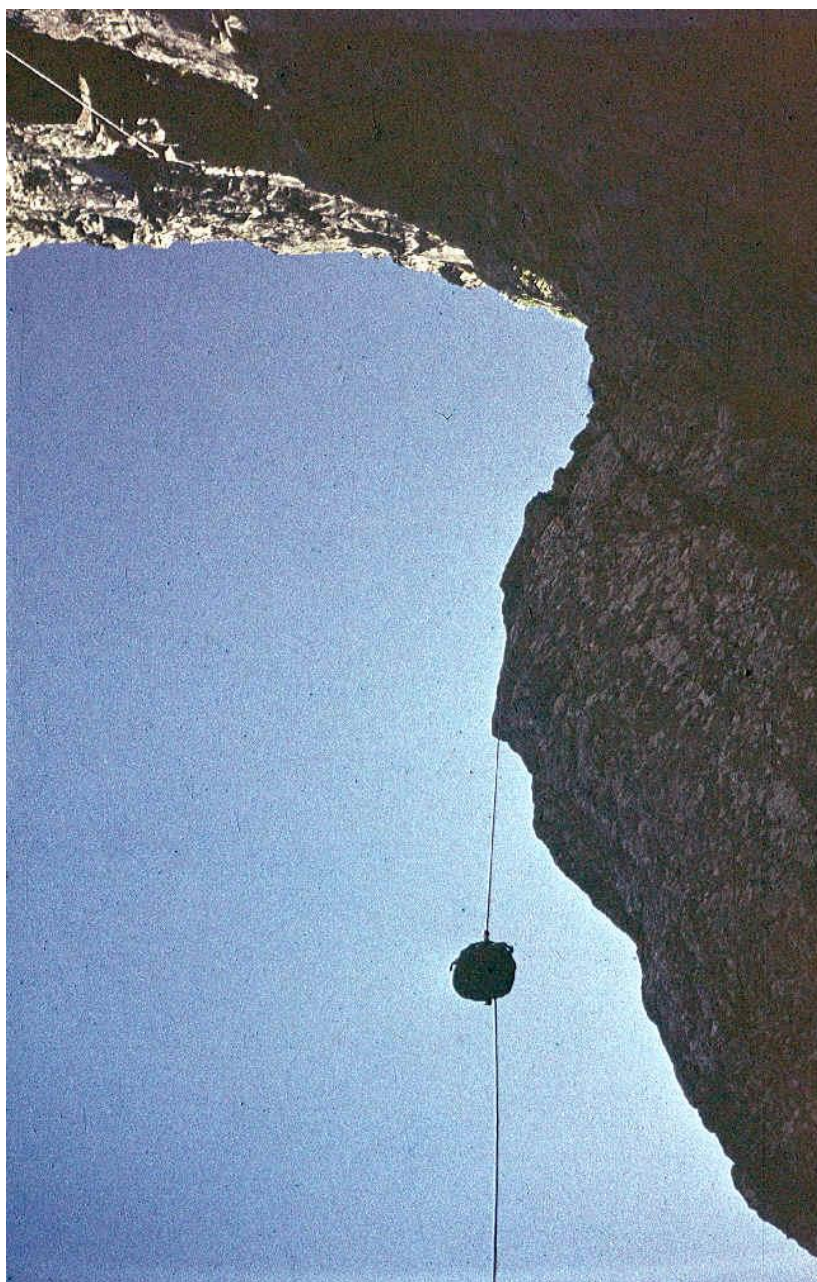
Teraz ja próbuję ugryźć problem. Wprost w górę podchodzę niewielką ścianką, która wydawała mi się nieco położona, a w praktyce okazuje się zupełnie pionowa. Dalej znajduje się kolejna ścianka, która miała być lekko przewieszona, a okazuje się przewieszona potężnie. Kąt przewieszenia wynosi ok. 40 stopni. Szczelina, która miała być bardzo dobra, też pozostawia wiele do życzenia. Słowem, nie ma lekko. Wisząc w ławeczkach, jak na suficie poddasza, mozolnie zdobywam kolejne metry skały. Po kilkunastu metrach dochodzę do krawędzi przewieszenia. Z dołu wydawało się, że nad przewieszoną ścianką teren nieco się położy przed następnym pasem okapów. Ale w naszym otoczeniu przewieszona jest wszystko, więc teren pionowy sprawia wrażenie połego.

Nad krawędzią trafiam na teren pionowy, ale potwornie kruchy. Istna sterta ruchomych bloków, stojących nie wiadomo na czym i nie wiadomo dlaczego. Mam spore trudności z założeniem stanowiska. W końcu montuję jakieś przedziwne konstrukcje z pęczków haków. Ściągam Mundka i próbuję walczyć dalej. Kruszyzna jednak przechodzi ludzkie pojęcie. Podchodzę pod następny okap i stwierdzam, że jeżeli spróbuję w to coś wbić, to cały okap spadnie mi na głowę. Okap składa się z wielkich ruchomych bloków, zaklinowanych jeden o drugi. Każda próba ingerencji w ten układ pachnie katastrofą.

Zakładamy zjazd i wracamy na naszą półkę. Postanawiamy ominąć pierwszy pas okapów wariantem Zagajewskiego, a potem „coś się wymyśli”. Wspinam się skośnym trawersem w stronę wariantu Zagajewskiego. Prowadzi on pionową odchylającą się nieco w prawo kruchą załupą. Asekuracja w dalszym ciągu iluzoryczna, ale zaczynamy już się do tego stanu przyzwyczajać.

Zajęci wspinaczką nie zauważyliśmy, że zaczyna psuć się pogoda. Gdy podchodzę pod kruchą przewieszkę na wariancie Zagajewskiego, spadają pierwsze krople deszczu. Gdy przechodzę przewieszkę, z góry naszą załupą

już leje się woda. Jestem cały przemoczony. Zakładam stanowisko pod przewieszoną ścianką i - niestety - musimy najbliższą godzinę przeczekać tam, gdzie jesteśmy. Mundek na dole, a ja na górze. Załupa na wariancie Zagajewskiego jest naturalną rynną ściekową z części Kotła Kazalnicy. Nie spada tędy tyle wody, co przez Wielki lub Mały Ściek, ale żeby sprawić nam poważne kłopoty - zupełnie wystarczy. Najbardziej niepokoją nas niesione przez wodę kamienie. Wprawdzie jesteśmy obaj schowani pod przewieszonymi strefami, ale na uderzenia kamieni narażona jest lina.[11]



Wyciąganie plecaka w ścianie Kotła Kazalnicy. Fot. Stefan Czecko.

Wreszcie deszcz ustaje i Mundek może dojść do mnie. Przenosimy stanowisko nieco wyżej na małą piarżystą półeczkę i Mundek ponownie próbuje wbić się w strefę przewieszoną między Spreżyną a Zagajewskim. Idzie mocno w prawo w skos po stromych płytach między okapami. Między nami nie ma żadnego przelotu, a stanowisko jest raczej takie sobie.

Mundek stwierdza w końcu, że musi się z tego pomysłu wycofać. Ale łatwo powiedzieć, trudniej zejść w niełatwym terenie, mając iluzoryczną asekurację. Wpadamy na pomysł, że Mundek założy prowizoryczne stanowisko, a ja podejść trochę wyżej załupą i zapewnię mu asekurację z góry. Okazuje się jednak, że z założeniem stanowiska są problemy. Mundek ma nad sobą, w okapie, tylko bardzo szeroką szczelinę. Dziś wrzuciłoby się w to dużą kostkę lub frienda, ale myśmy wówczas nie znali kostek i friendów. W końcu udaje mu się w tej szczelinie zaklinować młotek. Rozwiązanie dość nietypowe, ale skuteczne.

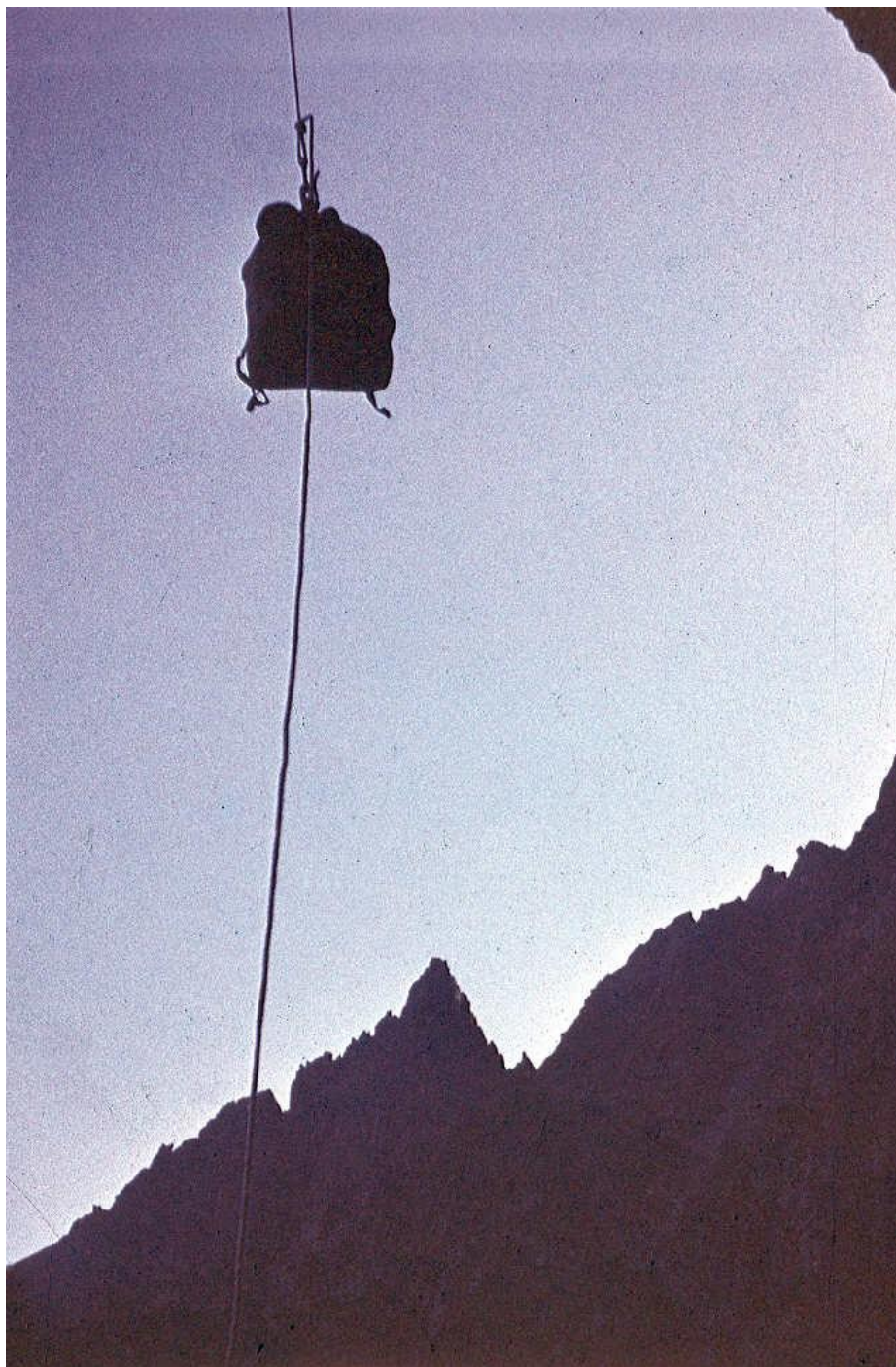
Mundek wpiął się uprzężą do linki od młotka i zawisł na nim w okapie. Ja zlikwidowałem stanowisko i zacząłem podchodzić wyżej, przerzucając ręką linę, zaczepiającą się ciągle o krawędzie okapów. Byłem tak napięty, że przygryzłem język i nawet tego początkowo nie zauważyłem. Wspinałem się w kruchych trudnościach piątego stopnia, bez asekuracji, nad całą ścianą Sanktuarium. W tym czasie mój partner wisiał w okapie na zaklinowanym młotku.

Wreszcie założyłem stanowisko. Dwa w miarę normalne haki. Stałem na małej, trójkątnej półeczce z kamieni. Wtedy okazało się, że jest następny problem. Mundek odpiął się od swojego młotka i stanął niezbyt pewnie pod okapem. Młotek zaklinował się w szczelinie tak dobrze, że nie mógł go wyjąć. Musiałem mu posłać na repie swój młotek do wybijania młotka.

Mundek uwolnił się ze swojego prowizorycznego stanowiska i zaczął powoli, bardzo ostrożnie, obniżać się w stronę wariantu Zagajewskiego. Linę miał wprawdzie nieco z góry, ale bardzo mocno w bok. Groziło mu potężne wahadło. Też musiał przeżyć niezłe nerwy. Nagle, gdy był już prawie pode mną, moja półeczka urwała się. Pozbawiony gruntu pod nogami zawisłem na hakach stanowiskowych. Ale to był już ostatni dowcip naszej ściany.

Mundek minął mnie i poszedł do góry. Kończyliśmy drogę wariantem Zagajewskiego. Trzeci uskok niestety dał nam odpór. Gdy Mundek był

dziesięć metrów nade mną, wbił wreszcie porządnego haka. Pierwszego na tej drodze.



Przewieszenie jest tak duże, że wyciągany plecak odjeżdża daleko od ściany. W tle Żabi Mnich. Fot. Stefan Czeżko.

- O! Jak się zrobiło łatwo, to i lito, i haka można wbić! - powiedział.

Szybko przeszliśmy ostatni, już łatwy wyciąg. Dłuższą chwilę siedzieliśmy na stromych trawkach Sanktuarium. Musieliśmy odreagować nerwowo.

Droga doczekała się wielu powtórzeń. Najczęściej przechodzona jest zimą, gdy trawki i kruszyzny skute są lodem. Następcy nie przeżywają już takiego kruchego horroru, jaki był naszym udziałem. Drogę przechodzi się nieco inaczej, znacznie bardziej litym terenem. Sporą część ruchomych kamieni zrzucano w czasie pierwszych powtórzeń. No i nikt nie ma już takich pomysłów, by próbować przejść trzeci uskoku w linii naszej próby.

Dwaj ludzie wymienieni w tym opowiadaniu już nie żyją: Mundek (Stefan Czczko) i Bobas (Bogdan Zalega). Nie zginęli w górskich wypadkach. Zmarli z powodu wylewów krwi, Mundek w Himalajach, w bazie wyprawy, a Bobas w Warszawie, w domu.

Mundka znałem w gruncie rzeczy słabo. Był moim partnerem tylko z jednej drogi. Bogdana znałem nie tylko z gór, ale też z antykomunistycznego podziemia. Był jednym z tych ludzi, którym należy się pomnik, jednym z tych cichych bohaterów, których zapewne pomina podreęczniki historii, ale bez których niewiele byśmy zrobili. Bogdan należał do tych ludzi, co mało mówią, a dużo robią, a w postępowaniu kierują się szczerym odruchem serca, a nie wyższą ideologią.

Przypomniał mi się incydent, który zdarzył się, gdy jechaliśmy z Bogdanem i Krzyśkiem Kleczkowskim na naszą pierwszą próbę przejścia „Uskoku Laborantów”. Jechaliśmy pociągiem, „rzeźnią”. Panował potworny tłok. Pewien nieznany nam mężczyzna oparł o drzwi wagonu cały stosik swojego bagażu. W pewnym momencie ktoś otworzył te drzwi i cały ten stosik wyleciał na tory w czasie jazdy pociągu. Bogdan wysiadł z tym mężczyzną na najbliższej stacji i poszedł pomagać mu szukać. Dojechał do nas następnym pociągiem.

Po latach zastanawiam się, ilu ludzi, który dziś wystawiają piersi na order, zdobyłoby się na taki odruch, by wysiąść w nocy z pociągu i brnąć przez śniegi po torach w poszukiwaniu walizek nieznanego faceta, który nawet o taką pomoc nie prosił.

Książkę pisałem ponad 20 lat temu. Od tego czasu nieco się zmieniło. Wariant przedłużający naszą drogę przez trzeci uskok poprowadził niejaki Artur P. z towarzyszem. Wariant ten wiedzie nieco w prawo od naszej próby i w żadnym miejscu się z nią nie pokrywa. Początkowo bardzo się ucieszyłem z powstania tego wariantu, ale Artur P. okazał się być człowiekiem, delikatnie mówiąc, lewitującym w odmiennych stanach świadomości. W czasie prowadzenia tego wariantu natrafił na stare stanowisko asekuracyjne z paroma karabinkami. Stanowisko to pochodzi z akcji ratunkowej GOPR po Andrzeja Posiewnika i Huberta Hankiewicza z 1970 roku. Artur P. początkowo napisał, że znalazł „stanowisko Czeczki z 4 karabinkami” a nieco później, że znalazł „stanowisko Łozy z 5 karabinkami” i wyciągnął z tego wniosek, że ja te karabinki ukradłem, bo takie same były w klubie w magazynie. To, że żadne karabinki z klubu nie zginęły, a takie same mieli wówczas prawie wszyscy, wcale mu w takich twierdzeniach nie przeszkadzało. Następnie Artur P. płacząc, rżąc i spadając powtórzył kilka moich dróg po 30-40 latach i opublikował kilka paszkwili rojących się od obelg pod moim adresem. Artura P. w ogóle nie znam (ani on mnie). Dyskutować z nim nie zamierzam, psychiatrą nie jestem.

Dodam tylko, że w linii mojej próby prze okapy Artur P. w ogóle nie był. Ominął największe trudności z prawej strony dużo łatwiejszym terenem.

Przypisy

[6] Juvel - palnik benzynowy, który miał tendencje do wybuchania. Juvel był produkowany w NRD. Jego polskim poprzednikiem była Dęba, zwana też „granatem” z powodu licznych eksplozji.

[7] Obecnie droga przechodzona jest w nieco inny sposób, jest znacznie ładniejsza i dużo mniej krucha.

[8] "Sprężyna" - droga Ryszarda Berbeki i Macieja Gryczyńskiego.

[9] "Wariant Zagajewskiego"- wariant do drogi Długosza i Popki, autorstwa Bogusława Zagajewskiego i Adama Szurka.

[10] Sanktuarium - inaczej Kocioł Kazalnicy

[11] Uderzenie spadającego kamienia w linę na ogół powoduje jej przecięcie.

Mój Afganistan

Z Hindukuszem i z Afganistanem wiąże się spory rozdział mojego życia. Byłem w tym kraju kilka razy, przed wojną i w jej trakcie. O niektórych sprawach długo jeszcze nie będę mógł opowiedzieć, o części z nich - pewnie nigdy. W samym Afgańskim Hindukuszu Wysokim byłem dwa razy, na dwóch wyprawach. Pierwsza była zła, druga koszmarna. Obie były w tej samej dolinie i atakowały tę samą górę: Koh-e-Tez (7015 m). Z opisaniem tych wypraw mam pewien kłopot. W przypadku pierwszej nie ma czego opisywać, bo miała tak mizerne wyniki, w przypadku drugiej nie mogę podać prawdziwych imion (a tym bardziej nazwisk) uczestników, bo ujawnienie ich postępowania nie mogłoby obyć się bez poważnej awantury w środowisku, a może nawet sprowokowałyby interwencję prokuratora. Tego bym nie chciał, bo ode mnie panowie mają już przedawnienie i przebaczenie, a ściślej przebaczenie z powodu przedawnienia. Nie będę wracał do spraw sprzed ponad trzydziestu lat.



Kopuła szczytowa Koh-e-Tez (7015 m). Fot. Krzysztof Łoziński

Wyprawę tę jednak warto opisać ku przestrodze, jako studium tego, do czego może doprowadzić zły dobór uczestników. Umówmy się więc tak: imiona będą zmienione, a te zdjęcia, na których są ludzie, będą pochodzić z innej wyprawy (w końcu zrobiłem je w tych samych miejscach). Pamiętajmy jednak, że osoby na zdjęciach - to kto inny niż w treści opowiadania.

Zacznijmy od tego, jak trafiłem w Hindukusz. W połowie lat siedemdziesiątych istniał pewien niezwykle układ polityczno-komunikacyjny, pozwalający nam, Polakom, na wyjątkowo tanie docieranie do Hindukuszu. Lata siedemdziesiąte były okresem sporego już korodowania socjalizmu i, choć do końca różowo nie było, to sfery wolności rozszerzyły się znacznie.

Po raz pierwszy dosyć masowo dawano paszporty, a pojechanie do Czechosłowacji lub NRD w ogóle już nie było problemem. W Hindukusz jechało się pociągiem najpierw do Moskwy, a stamtąd do Termezu nad Amu Darią, na granicy z Afganistanem. Amu Darię przepływało się promem za 3,5 rubla, i lądowało się w miejscowości Hejratan, gdzie wynajmowało się samochód i jechało do Kabulu załatwić niezbędne formalności, a potem w góry. Za drugim razem zresztą w ogóle ominęliśmy Kabul, bo na podstawie doświadczeń z poprzedniej wyprawy wiedziałem, że „niezbędne formalności” tak naprawdę są całkowicie zbędne.

Cały wyjazd, na trzy miesiące w Hindukusz, kosztował wtedy trzy nauczycielskie pensje (w tym czasie pracowałem w szkole jako nauczyciel fizyki). Efektem tego układu był istny najazd Polaków na Hindukusz. Przez kilka kolejnych lat jeździło w Hindukusz Afgański po kilkadziesiąt polskich wypraw rocznie. W samym 1976 roku ponad trzystu Polaków przekroczyło w Hindukuszu wysokość 6000 metrów. Gdy ktoś obecnie pyta, skąd się wzięła polska potęga alpinistyczna, odpowiadam: z polityki Edwarda Gierka. Żadna inna nacja nie mogła tak łatwo i za tak małe pieniądze atakować siedmiotysięczników.

Początkowo wcale nie wybierałem się w Hindukusz. Moim marzeniem były Alpy. Dziś może ktoś powiedzieć: to co za problem? Trzeba było jechać w Alpy. Ale komunizm to był system, w którym, jak mawiał Stefan Kisielewski, po mistrzowsku rozwiązywano problemy w innych systemach nie istniejące. Otóż w Alpy nie można było z Polski tak po prostu pojechać. Trzeba było dostać się na zorganizowaną klubową wyprawę.

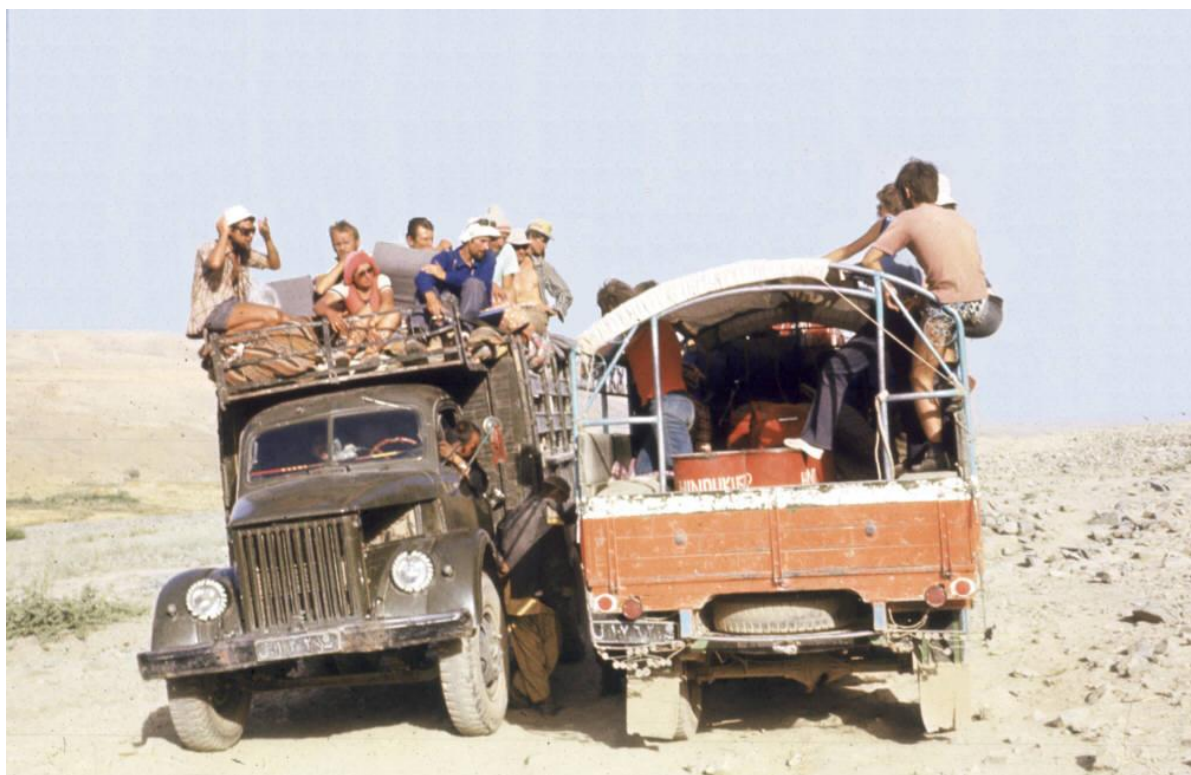
Władza wprawdzie dawała paszporty prawie każdemu, ale nie tak znów łatwo. Aby wystąpić o paszport, trzeba było uzyskać tak zwaną „promesę

dolarową", czyli obietnicę banku PKO, że sprzeda delikwentowi pewną sumę dolarów i to nie sumę dowolną, lecz ściśle określoną w zależności od roku kalendarzowego, a nie od celu podróży. W 1976 roku było to na przykład 130 dolarów. Żeby jednak dostać promesę dolarową, trzeba było dostać się na listę jakiejś oficjalnej wyprawy lub wycieczki, no i mieć trochę szczęścia. Listę uczestników wyprawy, po jej wstępnym zatwierdzeniu, dostawały „wyższe czynniki” i przydzielały promesy lub nie. Dopiero z promesą składało się wnioski o paszport, a dopiero z paszportem kupowało się w PKO dolary, które następnie trzeba było wpłacić na „konto A” w tym samym PKO i na krótko przed wyjazdem można było te dolary z konta wyjąć, bo na granicy trzeba było pokazać kwitek, że dolary pochodzą z konta A.

Cały ten system był na szczęście mocno niekonsekwentny i nieszczerły. Po powrocie z zagranicy można było wpłacić dolary na już raz założone konto A, a że Gierek potrzebował dewiz, to można było wpłacić ich dowolnie dużo. Mógł też na nasze konto wpłacić dolary ktoś inny powracający z zagranicy. Dolarów teoretycznie nie wolno było posiadać ani kupować, ale wolno je było wpłacić, gdy jeszcze miało się paszport (paszporty trzeba było w krótki czas po powrocie oddawać).

W prasie codziennej ukazywały się wtedy przedziwne ogłoszenia, z których zrozumieniem mogą mieć kłopot historycy. Na przykład: „z powracającym nawiązę” lub „powracającemu wynajmę”. Chodziło o to, że kupiwszy dolary u waluciarza, trzeba było znaleźć kogoś, kto nam te dolary na konto wpłaci, bo sami nie mogliśmy. Oczywiście temu komuś trzeba było za usługę odpalić działkę. Ogłoszenie „powracającemu wynajmę” oznaczało, że ktoś chce wynająć mieszkanie lub pokój za dolary (czego jawnie nie wolno było zrobić - ani wynajmować, ani za dolary).

Zapisałem się w Klubie Wysokogórskim na wyprawę w Alpy. Ale z samego zapisania się jeszcze nic nie wynikało. Skład wyprawy musiał zostać zatwierdzony przez zarząd klubu. Zanim to nastąpiło, otrzymałem promesę dolarową i mogłem już złożyć wnioski o przyznanie paszportu. Przyszedł dzień kwalifikacji uczestników i tu czekało mnie nieprzyjemne zaskoczenie. Zarząd Klubu Wysokogórskiego uchwalił, że o kwalifikacji decydować będzie konkurs wykazów przejść oraz że, „przejścia solowe się nie liczą”. W tej sytuacji nie miałem szans, bo większość moich (i tylko moich) najlepszych przejść, to były właśnie przejścia solowe.



Afganistan. Spotkanie dwóch polskich wypraw na pustyni. My jedziemy w Hindukusz, wraca lubelska wyprawa Teresy Rubinowskiej. Fot. Krzysztof Łoziński.

Tą metodą nie dostałem się na wyjazd w Alpy, ale zdążyłem dostać promesę dolarową i mogłem wystąpić o paszport. W tym momencie mogłem oczywiście sam pojechać w Alpy, ale pojechanie, w trudne i nieznane mi jeszcze wtedy góry, zupełnie samotnie, to była już trochę za duża brawura. Oczywiście jeśli bym chciał w tych górach się wspinać. Z drugiej strony pojechać po to, żeby nic nie zrobić, to nie był najlepszy pomysł[1]. Zacząłem szukać innych rozwiązań. W tym momencie spotkałem kolegę, który zaproponował mi udział w wyprawie w Hindukusz.

Dziś, czytając historię tej wyprawy, można by się zastanawiać, jak to się stało, że dosyć już doświadczony taternik dał się wpuścić w takie maliny. A stało się to dosyć prosto. Wprawdzie byłem już doświadczonym taternikiem, ale kompletnym nowicjuszem wyprawowym. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że ludzie, z którymi się wybieram, nie nadają się do działalności w tak dużych górach. Efektem tej wyprawy był wynik zerowy: nie weszliśmy na nic, choć obiektywnie nie było przeszkód, poza zupełną niechęcią do wspinania ze strony uczestników. Był taki moment, kiedy mogłem spróbować wejść na Koh-e Tez solo, ale kierownik wyprawy nie zgodził się.

Trudno mu się dziwić. Solówki były jeszcze w polskim alpinizmie nowością, a on się bał odpowiedzialności. No i miał czego się bać. Wprawdzie w momencie, gdy zaproponowałem, że pójdę na szczyt solo, miałem już za sobą dwukrotne przekroczenie wysokości 6000 metrów (przy zakładaniu obozów), ale znajdowaliśmy się na samym dole. Musiałby więc zgodzić się na to, że facet, którego prawie wcale nie zna, atakuje solo siedmiotysięcznik od samego dołu. Gdyby wtedy coś mi się stało, kierownik by się nie wytłumaczył.



Pierwsze góry w Afganistanie. 60 kilometrów od granicy spotykamy pasmo górskie, które na naszej mapie nie ma nawet nazwy. Fot. Krzysztof Łoziński.

Wróciłem z tej wyprawy z wielkim uczuciem zawodu. Byłem tak blisko wielkich gór i nic nie mogłem zrobić. Postanowiłem, że muszę tam wrócić. No i wróciłem. Tym razem jednak z góry zastrzegłem sobie, że jeśli nikt nie będzie chciał się wspinać, to ja będę wspinał się solo. Żaden kierownik tym razem nie mógł mi zabronić. Wyjazd był od początku do końca prywatny i żadnego kierownika nie miał. Miał natomiast inną wadę: jego uczestnicy nie

nadawali się nie tylko do działalności w Hindukuszu, ale nawet nie nadawali się w ogóle do żadnej działalności.

I tu pierwsza przestroga dla młodzieży: nigdy nie bądź tak napalony na wspinanie, by godzić się na wyjazd ze słabym zespołem. Nic dobrego z takiego wyjazdu wyniknąć nie może.

No tak, ale człowiek jest mądry na starość, gdy widział już dobre parę wypraw i innych wyjazdów. Co innego jednak, gdy ma się dwadzieścia kilka lat, wyjazd na siedmiotysięcznik wydaje się szczytem szczęścia, a w dodatku żyje się w kraju, z którego każdy wyjazd zagraniczny jest w ogóle szczytem szczęścia. Trzeba pamiętać, że w rzeczywistości PRL-u, można było być nawet górskim asem nad asy i nigdy nie wyjechać z Tatr! Zresztą są tego konkretne przykłady. Janek Hobrzański i Rysiek Malczyk wspinali się lepiej ode mnie, nawet lepiej od niemal wszystkich, ale mieli mniej szczęścia i nigdy nie trafili w góry wysokie. Czy można więc dziwić się, że koniecznie chciałem wyjechać w Hindukusz, nawet z ludźmi, których strach było zabrać na trudniejszą tatrzańską wspinaczkę?

Wróćmy jednak do pierwszej wyprawy. Była ona dla mnie ważna, bo był to mój pierwszy kontakt z Azją, tropikalnym klimatem i górami większymi niż Tatry. Już na etapie przygotowań wszystko się sypało. Rezygnowali uczestnicy, gubiły się paszporty (i na szczęście znajdowały się z powrotem), a na sam koniec okazało się, że nie ma zatwierdzenia wyprawy i wszyscy już chcieli zrezygnować. Jednak ja nie miałem ochoty się tak łatwo poddawać. Zaproponowałem wyjazd prywatny. W końcu wszyscy mieliśmy już paszporty i dewizy.

To była w tamtym czasie pewna rewolucja. Byliśmy wychowani w systemie, w którym wszystko musiało być zatwierdzone, bo inaczej było nielegalne. Bez zatwierdzenia nie można było załatwić wielu rzeczy: odprawy celnej, nadania bagażu. Wymyśliliśmy, że bagaż weźmiemy do przedziałów i nie będziemy go nadawać, a odprawę załatwimy na granicy, jak turyści.

W tym momencie jednak spadł na nas nowy kataklizm. Gierek chciał wytłumaczyć, dlaczego w kraju panują braki w zaopatrzeniu sklepów. Było świeżo po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie (1976). Na stadionach odbywały się wiece ormowców i spędzonych urzędników, którzy udawali społeczeństwo i potępiali „warchołów z Radomia i Ursusa”. Władza musiała pokazać, że dba o poprawę zaopatrzenia. Ogłoszono, że na rynku nie ma żywności, „bo turyści wyjeżdżający za granicę wywożą żywność” i ogłoszono

całkowity zakaz wywozu prawie wszystkich podstawowych produktów: cukru, mleka w proszku, konserw, czekolady...

Zacząłem chodzić po urzędach i starać się o pozwolenie na wywóz żywności. Dotarłem do urzędnika w Głównym Urzędzie Ceł, który powiedział mi, że wprawdzie w zakazie nie ma żadnych wyjątków, ale jak napiszę pismo, to pójdzie z nim do szefa „i może da się coś zrobić”. Ochoczo napisałem pismo i poszedłem pełen nadziei do urzędu. Następnego dnia dostałem odpowiedź: „żywność potrzebna jest klasie robotniczej, a studenci powinni się uczyć, a nie jeździć za granicę”. Problem pozostawał nierozwiązany, a termin wyjazdu się zbliżał.

Rozwiązaliśmy ten problem, pakując żywność tak, że żaden celnik nie był w stanie zorientować się, co ładunek zawiera. Tworzyliśmy woreczki opisane jako „zestaw śniadaniowy”, „zestaw obiadowy” itp. Mleko w proszku (zakazane) i cukier (zakazany) mieszaliśmy z płatkami owsianymi (dozwolonymi) i w ten sposób powstawał „zestaw śniadaniowy nr 1”. Istna paranoja, ale dzięki niej udało się nam wywieźć żywność.

Wypada jeszcze przypomnieć, jak się w tamtych latach otrzymywało paszport, bo nie było to takie proste jak obecnie. W Warszawie było tylko jedno biuro paszportowe. Mieściło się na ulicy Kruczej i tam składało się formularze paszportowe w jednym tylko okienku, do którego stało się w ogromnej kolejce. Formularz był bardzo skomplikowany i liczył kilka stron. Trzeba było wytłumaczyć się z całej bliższej i dalszej rodziny, wypisując pracownice adresy i miejsca pracy, nazwiska panińskie babek i ciotek, no i cały własny życiorys, wszystkie miejsca pracy, wyjazdy zagraniczne itp. Gdy po kilku godzinach stania w kolejce docierało się w końcu do okienka, urzędujący w nim SB-ek znajdował w formularzu jakiś błąd i formularz odrzucał. Błędu nie można było poprawić, bo cała procedura była nadzwyczaj tajna i ważna. Wypełniało się nowy formularz i stawało znów do kolejki. Oczywiście następnego dnia, bo tego samego nie było już szans na dotarcie do okienka. I tak kilka razy.

Gdy w końcu przyjęto wniosek paszportowy, następowało półtoramiesięczne czekanie. W wyznaczonym terminie szło się po odbiór paszportu, poprzedzony rozmową z SB-kiem. W specjalnym pokoju za biurkiem siedział rozwalony jegomość w różowej koszuli z fioletowym krawatem pod niebieską marynarką. Następową głupawą rozmową, w której SB-ek starał się wybadać czy przypadkiem delikwent nie zamierza zostać za granicą na stałe. Padały więc pytania: „To za ile pan sprzedał samochód?” lub

„A żona ma już paszport?“. To miało być takie podchwytliwe, ale na ogół było zupełnie niecelne. Większość z nas nie miała jeszcze ani samochodu, ani żony. Gdy wiele lat później w Kaszmirze w Indiach zginęło w górach dwóch moich kolegów, wezwano mnie na przesłuchanie do biura paszportowego. SB-ka nie interesowało to, że dwaj chłopcy nie żyją, tylko to czy oni przypadkiem nie uciekli gdzieś dalej przez jakąś granicę, na przykład do Chin.



Afganistan. Na pustyni temperatura w południe przekracza +55 stopni. Fot. Krzysztof Łoziński.

Wszystko szło gładko aż do Moskwy, gdzie trzeba było załatwić rezerwację na pociąg do Termezu (bilety mieliśmy kupione w Polsce, ale bez rezerwacji). Stanęliśmy w wielkiej kolejce w biurze Inturistu. Po paru godzinach stania dotarliśmy do lady, gdzie znudzona i dość opryskliwa panienska na pytanie o rezerwację do Termezu „na siewodnia“^[2] spokojnym tonem odparła: „na siewodnia niet!“^[3] i już chciała zająć się kolejnym innostrąncem^[4] w kolejce. Ale nie z nami te numery. My też byliśmy wychowani w realnym socjalizmie i umieliśmy się poruszać w „kraju wielkiego szczęścia“. Dawno już wymyśliliśmy sobie „towarzysza Leontiewa“, na którego powoływaliśmy się przy każdej okazji. Nie wiem czy

jakiś „towarzysz Leontiew” w ogóle istniał, ale wiedziałem, że w ZSRR nikt nie odważy się sprawdzać.

Spokojnie więc wypaliłem: „A nam towarzyszc Lieontiew skazał, szto dla nas budiet!”[5]. Rezerwacje natychmiast się znalazły. Towarzysz Leontiew oddawał mi jeszcze przysługi wiele razy. Kto nam pozwolił wziąć wózek na Dworcu Kazańskim? Towarzysz Leontiew. Kto nam pozwolił zabrać cały bagaż wyprawy do przedziałów? Towarzysz Leontiew.

Dopiero wiele lat później, gdy na lotnisku Szeriemietiewo w Moskwie próbowałem coś znowu załatwić na „towariszcza Leontiewa”, a żołnierz radziecki odparł: „Tak ja jewo w żopie noszu”[6], zrozumiałem że w ZSRR coś się zmienia. To był pierwszy objaw „pierestrojki”, jaki zauważyłem.

Pierwszy wyjazd w Hindukusz był też dla mnie pierwszym kontaktem z tropikalnym klimatem. Afganistan ma najwyższe temperatury lata na Ziemi, wyższe niż w Afryce. Jest to wynik połączenia strefy zwrotnikowej z wyjątkowo kontynentalnym klimatem. Stąd ogromne upały i niemal zupełny brak opadów w lecie oraz mrozy w zimie. Monsun, który dociera do Hindukuszu, nie niesie już ze sobą opadów. Cała wilgoć wypadła się już wcześniej na grzbietach Himalajów i Karakorum. W dolinach Hindukuszu monsun ma postać silnego gorącego wiatru niosącego ogromne ilości pyłu.

Pociąg z Moskwy do Termezu był klimatyzowany i nie wolno było w nim otwierać okien. Zamknięci w środku mieliśmy wrażenie, że jest strasznie gorąco i staraliśmy się wychodzić na zewnątrz niemal na każdej stacji. Dopiero jednak gdy pociąg minął Morze Aralskie, zaczął się prawdziwy upał. Pociąg sunął równo przez tydzień przez stepy Kazachstanu, Tadżykistanu i Uzbekistanu, a krajobraz za oknem był płaski jak deska. Nazywaliśmy to polami golfowymi Breżniewa. W pewnym momencie, mocno już na południu, pociąg zatrzymał się na małej stacji w stepie. W wagonie wydawało mi się strasznie gorąco i duszno, więc chciałem wyjść na zewnątrz. Otworzyłem drzwi wagonu i... jak bym wskoczył do pieca. Musiałem się przestawić na inną skalę temperatur: ciepło jest powyżej 40 stopni, 30 - to chłodno, a 20 - to zimno. Na nizinach Afganistanu 55 stopni ciepła nie jest niczym dziwnym, a południe Uzbekistanu ma klimat podobny.



Hindukusz Wysoki widziany z Iskashimu. Od lewej Noszak (7492 m) i Asp-e-Safet (6450 m). Po prawej położone bliżej dużo niższe szczyty. Fot. Krzysztof Łoziński.

W Termezie przywitał nas na peronie szpaler żołnierzy, którzy sprawdzali wysiadającym przepustki. Termez, jako miasto nadgraniczne, był tak zwanym miastem zamkniętym. Obywatele ZSRR nie mogli do niego przyjechać bez specjalnej przepustki, a my, cudzoziemcy, mogliśmy. Ot, jeden z absurdów komunizmu. Absurd ten był jeszcze większy w czasie następnej wyprawy, gdy cały rejon Termezu był dosłownie naszpikowany wojskiem. W Afganistanie miała się za kilka miesięcy zacząć „spontaniczna rewolucja”, na pomoc której miała, cały rok później, pospieszyć Armia Radziecka. „Spontanicznej rewolucji” w Afganistanie jeszcze nie było, ale ulice Termezu były już zielone od mundurów, zaś najczęściej spotykanym pojazdem był czołg. Całe zgrupowania czołgów stały na niemal wszystkich placówkach, a nawet na szkolnych boiskach i wzdłuż głównych ulic. Muszę przyznać, że na ten widok poczułem się nieco nieswojo.

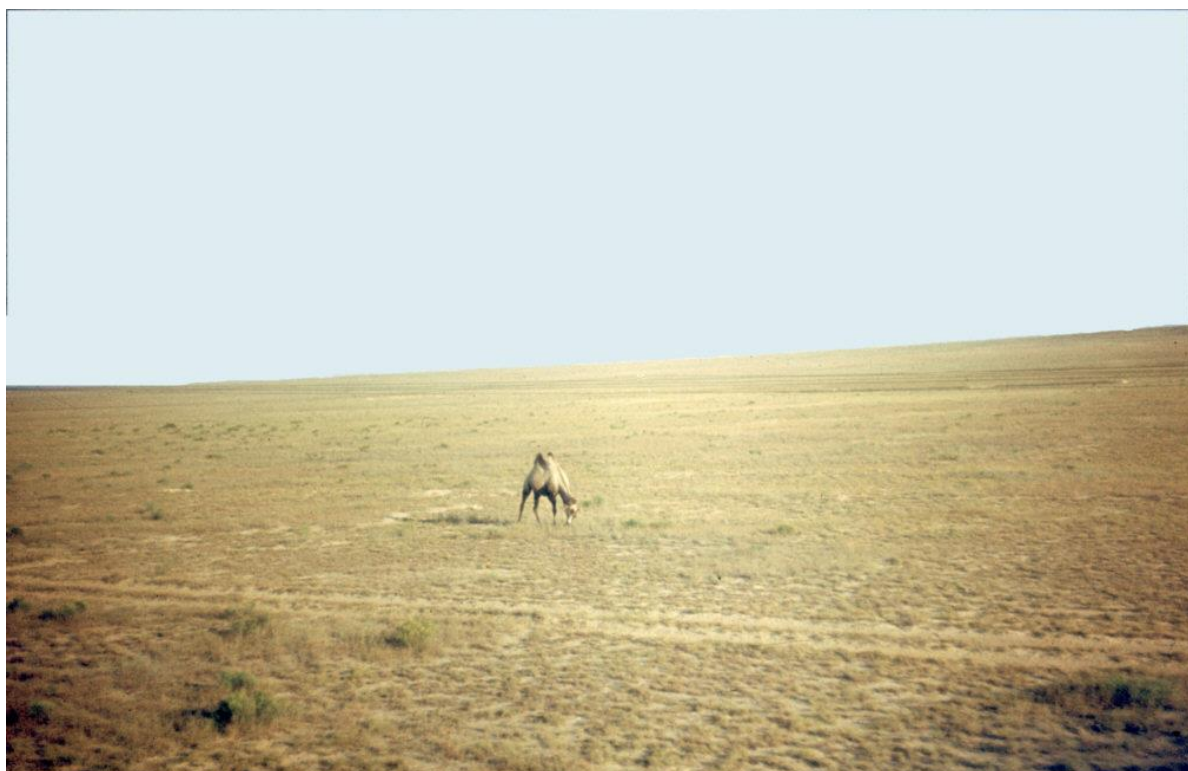
Wróćmy jednak do mojego pierwszego kontaktu z tropikiem. Spotkaliśmy w Termezie wyprawę łódzką, która przebywała w tym mieście już kilka dni, czekając na przeprawę (prom nie pływał codziennie). Łodzianie poradzili nam, i słusznie, żeby zamieszkać na dworcu, a nie w *gostielnicy* (hotelu). Grupa z Krakowa, która przyjechała razem z nami, postanowiła jednak iść do *gostielnicy*. A to był błąd. W *gostielnicy* panował potworny brud i zaduch. W tropikalnym upale nie było tam ani klimatyzacji, ani nawet

wiatraków pod sufitem, ani moskitiery w oknach. Był wieczór i chłopcy otworzyli okno, by przewietrzyć pokój. Zapomnieli, że owady lecą do światła. Po chwili wokół żarówki wirował czarny kłęb wszelkiej tropikalnej latającej bździałgy[7] i w efekcie Krakowiacy musieli się z *gostielnicy* ewakuować. Zapomnieli widać o jednej z podstawowych nauk na temat Związku Radzieckiego: w tym kraju mało co nadaje się do tego, do czego gdzie indziej by się nadawało. Jak coś jest hotelem, to nie znaczy, że nadaje się do mieszkania, jak coś jest samolotem, to jeszcze nie znaczy, że nadaje się do latania, a jak coś jest samochodem, to tym bardziej nie znaczy, że nadaje się do jazdy.

Swojego czasu krążył taki dowcip: we wsi rosyjskiej był bród przez rzekę. Przyszła władza radziecka i zbudowała most, ale wieś tradycyjna dalej chodziła przez bród. Pewnego dnia przyjechał jeden facet z Moskwy samochodem. Wjechał na most i most się zawalił. Wtedy człowiek radziecki powiedział: „Ot durak, widzi, że most i jedzie!” Nasi Krakowiacy zachowali się jak ten „durak”. Widzieli, że hotel i chcieli w nim mieszkać.

Tymczasem mieszkanie na dworcu było całkiem wygodnym rozwiązaniem. Spałem na wózku do bagaży i tylko budziły mnie przyjeżdżające w nocy pociągi. Poczyniłem wówczas pewną obserwację, co do zwyczajów tropikalnych bździałgw. Na peronie znajdowały się latarnie, a bździałgy leciały do światła. Chodnik wokół latarni pełen był różnych czarnych, łączących i latających stworzeń, których składu wolałem nie analizować. Ludzie wysiadający z pociągów rozdeptywali część tego towarzystwa, a rano, gdy robiło się już jasno, przylatywały ptaszki, by pożywić się rozdeptanymi bździałgwami. Co któraś bździałgwa musiała być rozdeptana nie do końca i pewnie była jadowita, bo co pewien czas widziałem, jak celnie ugodzony ptaszek fikał łapkami do góry i przestawał się poruszać. Według teorii zaprzyjaźnionego Uzbeka, było to dzieło nieskutecznie rozdeptanych skorpionów. Gdy dzień wstał już na dobre, ucztę rozpoczynały bezpieczeństwa pieski. Nazywałem ten cykl „przemianą materii”.

Na dworcu zawierało się też różne ciekawe znajomości. Pewnego dnia przysiadł się do mnie Miejscowy Człowiek Radziecki z trzema orderami na marynarce. Zapytał, jak mi się podoba Termez. Chciałem być uprzejmy, więc nie powiedziałem, że jest to miejsce wysoce ponure. Powiedziałem za to, że nie jestem przyzwyczajony do tego klimatu i tego robactwa. Okazało się, że palnałem gafę.



Stepy Kazachstanu - "pola golfowe Breżniewa". Fot. Krzysztof Łoziński.

- Jakiego robactwa?! - Miejscowy Człowiek Radziecki zrobił się aż czerwony z oburzenia na takie świętokradztwo.

- No do tych skorpionów... - brnąłem dalej.

- *U nas skorpionow niet!* - oświadczył dumnie Człowiek Radziecki.

Widząc, że mam do czynienia z betonem, tym razem ja nie wytrzymałem.

- *A eto czto?* - zapytałem pokazując patykiem skorpiona, który właśnie laźł po peronie.

Człowiek Radziecki nadał się jak czerwony balon, po czym, z godnością obrońcy wyższej sprawy, oświadczył:

- *Eto iz Afganistana! Czerez Amu Dariu pławajut!*[8]

Musiałem skapitulować przed radziecką logiką. W końcu w czasach mojego dzieciństwa stonkę do Polski też zrzucali ponoć Amerykanie. W

ZSRR skorpionów *niet* i już. Nawet jak są, to też ich nie ma, bo nielegalnie przekraczają granicę.

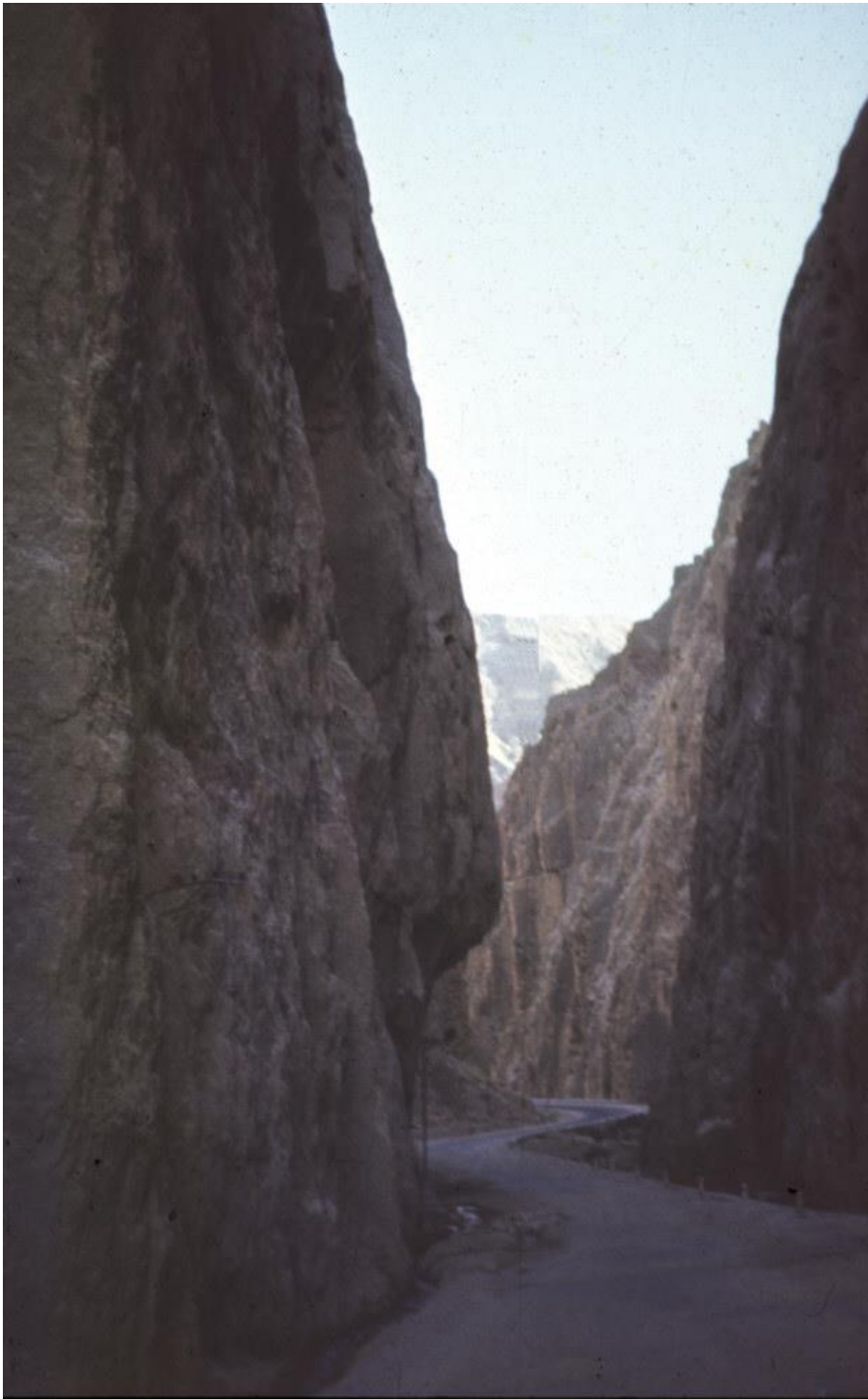
Prawdziwe zetknięcie z tropikalnymi bździałgami czekało mnie jednak dopiero w pierwszym afgańskim mieście, w jakim nocowałem, w Puli-k-Humri. Potworny upał nie zelżał nawet wieczorem. Stwierdziłem właśnie, że nasze lekarskie termometry z apteczki trzeba wyrzucić, bo przystosowane tylko do temperatury 42 stopni, zostały po prostu rozsądzone. Termometr hotelowy pokazywał + 55 stopni. Na mieszkanie w hotelu nie było nas stać. Spać mieliśmy na hotelowym dziedzińcu, na trawie. Wziąłem śpiworek pod pachę, latarkę w garść i poszedłem szukać dogodnego miejsca. Świecę latarką na trawę i widzę, że w trawie, gdzie nie spojrzę, rusza się! Cała masa czegoś czarnego, co ma za dużo nóg i oczu, rusza się i to wszędzie! I ja mam się w TO położyć spać?

Nie będę jednak spać na stojąco ani siedzieć całą noc na krześle. W końcu rozkładałem w trawie śpiwór, ale zapinam się w nim po szyję, żeby się od TEGO odizolować. Śpiwór jest puchowy, więc długo nie wytrzymuję i muszę się odpiąć. Jak się odpiąłem, to tuż nad nosem przeleciał mi z głośnym buczeniem jakiś żuk typu „bombowiec”. Czym prędzej zapinam się znowu po szyję. Jest straszny upał i w zapiętym śpiworze potwornie się pocę. Znowu się odpinam. Nie pamiętam już, jak długo tak się męczyłem. Dziś cała ta historia po prostu mnie śmieszy. Byłem później w tropikalnych krajach wielokrotnie i wiem, że na tropikalne bździałgwy jest tylko jedna metoda: polubić. Wśród bździałgw w tropiku po prostu trzeba żyć i robić swoje, nie przejmując się jaszczurkami na suficie, węzami pod łóżkiem, szerszeniami krążącymi wokół deseru itp. Jaszczurki i węże są zresztą mile widziane, bo właśnie zjadają różne bździałgwy i inne pająki.

W Puli-k-Humri siedzieliśmy kilka dni. W tym czasie nasz kierownik załatwiał „niezbędne formalności” w Kabulu. W końcu nic nie załatwił, więc pojechaliśmy w góry bez załatwienia „niezbędnych formalności” i jakoś nic z tego powodu się nie stało. Na następnej wyprawie nawet już nie próbowaliśmy nic załatwiać, tylko pojechaliśmy od razu w góry. Ta metoda na dobre weszła mi w krew, bo później stosowałem ją systematycznie także w Indiach i w Nepalu.

W czasie pobytu w Puli-k-Humri wybrałem się z Andrzejem z wyprawy krakowskiej na pustynię a raczej na pustynne góry. Cały Afganistan pokryty jest ogromnymi wzgórzami, które z daleka wyglądają, jakby były usypane z piasku. Są one jednak zbudowane z litej skały. Te wzgórze mają po kilkaset

metrów wysokości i gdyby nie sąsiedztwo Hindukuszu, mogłyby robić za całkiem niezłe góry.



Wąwóz przez pierwsze pasmo górskie Afganistanu, zarazem jedyna droga z północy do kotliny Puli-k-Humri. Rosjanie nie zdobyli jej przez 10 lat wojny. Fot. Krzysztof Łoziński.



Pustynne góry w Afganistanie wyglądają jak usypane z piasku. Jest to lita skała. Fot. Krzysztof Łoziński.

Wycieczkę na pustynię stanowczo odradzał nam miejscowy sklepikarz, który twierdził, że na pustyni są „złe węże” oraz, że można zablądzić. Jakoś nie przejmowaliśmy się tymi przestrogami, ale szybko mieliśmy się przekonać, że facet wie, co mówi. W pustynnych górach wprawdzie nie zablądziliśmy, ale wycieczka nieźle dała nam w kość. Chodzenie pod górę, w pełnym słońcu, przy temperaturze przekraczającej 50 stopni, nie jest łatwym zajęciem. Weszliśmy na dwie spore pustynne góry i na jednej z nich spotkaliśmy węża, który, jak to określił Andrzej, „miał trudny charakter”.

Wąż był mały, kolorowy, nie dłuższy niż 40 centymetrów i cienki jak ołówek. Leżał sobie tak, że wyglądał na martwego. Andrzej chciał go wziąć w rękę, ale ja postanowiłem, na wszelki wypadek, najpierw trącić go butem. Otrzymałem błyskawiczne uderzenie zębami jadowymi w but. But był na szczęście z grubej i twardej skóry. Zbyt twardej, by taki mały wąż mógł ją przebić. Zaprzyjaźniony sklepikarz wypytał nas po powrocie o szczegóły wyglądu węża i złapał się za głowę.

- Very bad snake! Very bad snake![9] - powtarzał.

O tym, że nieświadomość i odwaga - to dwie różne rzeczy miałem się jeszcze raz przekonać nieco później w Fajzabadzie. Na progu wejścia do hotelu siedziało kilku miejscowych Tadżyków. Nagle odskoczyli we wszystkie strony jak oparzeni. Zobaczyłem, że spomiędzy nich wybiegł spory pająk i biegł w moją stronę. Potraktowałem go butem i było po pająku. Tadżycy patrzyli na mnie z jakimś podziwem, a ja nie wiedziałem, o co chodzi. Pająk - to pająk, więc go klap! To była pierwsza tarantula[10], jaką spotkałem w życiu. Nie miałem pojęcia, że jest śmiertelnie jadowita i że potrafi skakać.

Nie będę opisywał szczegółowo skąd dokąd się jedzie i w jaki sposób, czyli pominiemy to, czym ludzie wracający z wypraw potrafią zanudzić słuchaczy na śmierć (najpierw przyjechaliśmy do Kabulu, tam wynajęliśmy ciężarówkę, potem..., lub: w Bamianie spaliśmy w tym hotelu, w Fajzabadzie w tym, a w Iskashimie w tym...). Znacznie ciekawszy jest pewien nastrój dojazdu, który jest składnikiem właściwie wszystkich wypraw.

Otóż wyobraźmy sobie, że właśnie przyjechaliśmy z innego kraju, dobrze odkarmieni, wypoczęci i pełni zapału. Już na dworcu w Termezie spotykamy rosyjskiego alpinistę wracającego z Pamiru i dowiadujemy się, że latem było w górach trzęsienie ziemi[11] i „jest strasznie”: lodowce pozmieniały położenia, wszystkie seraki[12] się chwieją, wszystkie kamienie spadają, prawie każda wyprawa ma trupa... Patrzymy na niego dziwnie, ale facet wyraźnie wygląda na takiego, co potężnie dostał w górach w tyłek. Twarz ma poparzoną słońcem, schodzą z niej całe płyty skóry, cały jest wychudzony i jakiś poobijany.

Jedziemy dalej i w każdym kolejnym mieście, im bliżej gór, tym częściej, spotykamy wracające wyprawy. Ludzie tacy jacyś zmęczeni, odrapani, ci wiozą trupa, tamci rannego, ten ma to obandażowane, tamten tamto... Miny robią nam się coraz bardziej poważne. Gór jeszcze nie widać, ale już uczą nas szacunku.

Przy tych spotkaniach zawsze następuje wymiana wiadomości. W Fajzabadzie spotykam po raz pierwszy Rainholda Messnera, legendę alpinizmu, wówczas uważanego bezspornie za najlepszego alpinistę świata.

- Jesteś z Polski? - pyta Messner.

- Tak, z Polski.

- Who is Żurek? - pada zaskakujące pytanie.

Zupełnie nie wiem, o co chodzi. Krzysio Żurek, to Krzysio Żurek, ale czemu pyta o niego sam wielki Messner?

- Żurek is Żurek - odpowiadam głupawo - What is with Żurek?[13]

I tu dowiaduję się nie lada sensacji. Żurek wszedł solo na Noszak[14].

Mało że wszedł, ale jeszcze w jakim stylu! Na Noszaku walczyła jedna z „narodowych” wypraw oblężniczych, bodajże z PKG. Chłopcy od tygodni zakładali obozy i poręczówki, mozolnie zdobywając wysokość. A tu pewnego dnia przyszedł z Doliny Mandaras z wizytą Krzysio Żurek, poczęstował się w bazie herbatką, włożył buciki i w dziesięć godzin był na Noszaku.

Dla mnie było to wydarzenie szczególnie ważne. Miałem nadzieję, że po wyczynie Żurka, nie będzie można dłużej ignorować solówek. Niestety, byłem w błędzie.

No i sam wielki Messner zadał pytanie: „Who is Żurek?”. To też coś.

Zjawiskiem, z którym też po raz pierwszy spotkałem się w Afganistanie, jest azjatycki styl jazdy samochodem. To jest po prostu coś niebywałego. Zaczniemy od tego, że drogi, po których się jeździ, zostałyby w Europie uznane za jazdę terenową. W Hindukusz jedzie się wzdłuż przełomu rzeki Koczy. Jest to na przestrzeni bardzo wielu, chyba ponad stu kilometrów, gigantyczny wąwóz o przekroju V, ale czasami jego ściany są prawie pionowe. Są to ogromne zbocza o różnicy wysokości dochodzącej nawet do kilometra lub dwóch. Kilkaset metrów powyżej rzeki w skały wcięta jest droga na szerokość jednego samochodu. Co kilometr mijanka. Ogromna ciężarówka, którą jedziemy, ledwo się mieści. Patrząc z góry, a siedzimy wysoko na skrzyni, ma się wrażenie, że zaraz wyjedzie z drogi i spadnie w przepaść. Co chwila dosłownie pół koła zawisa nad powietrzem, po czym kierowca cofa się metr i poprawia kierunek jazdy.

Prędkość tej jazdy jest minimalna. Przed samochodem cały czas biegnie pomocnik, który odrzuca na bok kamienie. Pojazd jest tak przeciążony, że gdyby wjechał na kamień, to opona mogłaby eksplodować. Z tyłu dla odmiany biegnie klockowy. Trzyma w rękach ogromny drewniany klin. Gdyby samochód zaczął się staczać po pochyłości, a normalne hamulce (o ile w ogóle są) nie zdołały utrzymać tak przeciążonego pojazdu, to klockowy podłoży ten klin pod koło. Klockowy jest bardzo ważną postacią. To on sprawdza czy

wszyscy zabrali się po postoju, czy nikt nie spadł z samochodu w czasie jazdy i to on daje sygnał do odjazdu.



Koh-e-Tez (7015 m) widziany z drogi na Koh-e-Awal (ok. 6000 m). Fot. Krzysztof Łoziński.

To właśnie przez klockowego Polacy nazwali taki pojazd „burubuhajem”. W języku farsi (perskim), używanym w Afganistanie, słowo *buru* oznacza to samo, co w angielskim *go* czyli: iść, jechać, poruszać się. *Buru bahaj* to po prostu: jedźmy, *let's go*. Klockowy daje sygnał do odjazdu, krzycząc przeciągle: *buru bahaaaj!* Stąd nazwa „burubuhaj”.

Swoją drogą jest to pojazd, który przyprawiłby o palpacje serca każdego europejskiego mechanika. Zamiast resorów ma podkładki z wielu warstw gumy z opon. Burty rozbudowano w górę do granic możliwości. Na dachu szoferki znajduje się beczka z wodą, która cienką rurką cały czas spływa z góry na chłodnicę, dając dodatkowe chłodzenie, bez którego na pustyni silnik szybko by się przegrzał. Całość pomalowana jest w niezwykle efektowne wzory tworzące istną kakofonię barw. Wszystko ozdabia wielka ilość frędzelków, paciorków, baranich rogów, lisich ogonów, itp. Kierowca ma do dyspozycji kilka lusterek, ale wszystkie ustawione są tak, by on się w nich przeglądał. Lusterko wsteczne jest w Afganistanie zjawiskiem nieznanym. Raz widziałem jak kierowca przerzucał biegi młotkiem. Widziałem też pojazd, w którym brakowało koła kierownicy, a zastępował ją założony na kolumnę kierownicy wielki klucz francuski. Całość uzupełnia kilka potężnych klaksonów i cała bateria reflektorów.

W większości krajów Azji, w tym w Afganistanie, nie istnieje coś takiego, jak prawo jazdy. Prowadzi samochód każdy, kto go ma albo kogo właściciel do kierowania dopuści. Dwunastoletni syn właściciela za kierownicą wielkiej ciężarówki nie jest niczym dziwnym. W większości krajów islamskich nie wolno natomiast prowadzić samochodów kobietom. Kodeks drogowy nie istnieje, zastępuje go prawo zwyczajowe.

To zwyczajowe prawo drogowe jest w Azji zupełnie inne niż w Europie. Po pierwsze, kierowcę interesuje tylko to, co jest przed nim. To, co się dzieje z tyłu go nie obchodzi. To ten z tyłu ma uważać, żeby nie najechać na poprzednika. Można więc zupełnie niespodziewanie skręcać, hamować, i dlatego lusterko wsteczne jest zbędne. Azjatycki styl jazdy nieco przypomina grę komputerową: duża szybkość i miękkie ruchy. Wszyscy uczestnicy ruchu, a w niektórych miastach jest on bardzo duży, wykonują gwałtowne manewry, jakby jechali slalomem, i cały czas trąbią. Klakson oznacza „uciekać mi z drogi, bo jadę”.

Wiele lat później widziałem w Indiach stłuczkę samochodu nie obeznanego z tymi regułami Polaka z indyjskim „burubuhajem”. Polak stał na

światłach w Kalkucie, a Hindus zatrąbił, ruszył i wjechał na niego z tyłu. Oburzony Polak wezwał policjanta, a ten zapytał tylko: „Trąbił?”. „Trąbił” - odparł Polak. „To trzeba było uciekać” - stwierdził policjant.



Koh-e-Urgund (7038 m) widziany ze szczytu Koh-e-Awal (5800 m). Fot. Krzysztof Łoziński.

Pierwszeństwo w ruchu drogowym ma ten pojazd, który jest większy, ma silniejszy klakson i silniejsze światła. Czym większy „burubuhaj”, tym śmielej sobie poczyną. Niektórzy montują z przodu specjalną wystającą szynę, niby taran, przed zderzakiem. To jest argument w dyskusji o pierwszeństwie. W nocy, na szosie, nie zmienia się przy mijaniu światła na krótkie. Wręcz przeciwnie, trwa konkurs skuteczności oślepienia. Za którymś z moich pobytów w Afganistanie jechałem w nocy od strony Kabulu serpentynami (potwornymi) do przełęczy Salang (3600 m.n.p.m.). W pewnym momencie z przeciwka ukazał się jakiś pojazd z jednym czerwonym światłem. Według naszych, europejskich, reguł oznacza to pojazd jednośladowy, który się oddala. Był to ogromny „burubuhaj”, jadący w naszą stronę. Jechał bez światła, bo noc była jasna. Jedną czerwoną lampkę miał z przodu, na środku maski, ku ozdobie. Gdy się zbliżył, chciał widać zobaczyć, co to jedzie, i włączył wszystkie potężne halogeny, a miał ich chyba ze dwanaście. Oślepił nas tak, że musieliśmy stanąć, bo nie wiedzieliśmy, gdzie droga, gdzie przepaść.

Oczywiście wyprzedzanie na trzeciego, a nawet na czwartego, nikogo nie dziwi. Na drogach jest wszystko: samochody, motocykle, wozy konne, karawany mułów, arby ciągnięte przez woły, stada owiec, wielbłądy... w Indiach dochodzą do tego jeszcze słonie, a w Chinach ogromne ilości rowerów.

Niezapomnianych emocji dostarcza dopiero jazda w górach. Droga jest wcięta w ogromne zbocze, a nieraz w pionową skałę. Kilometr niżej, na brzegu rzeki, leżą wraki samochodów, które miały mniej szczęścia. Co pewien czas w drodze jest wyrwa. Ot, umacniający drogę od strony luzu murek nie wytrzymał i się zarwał. Samochód staje. Pomocnik kierowcy opuszcza się na linie na dno wyrwy i zaczyna odbudowywać murek z kamieni, które wszyscy pasażerowie znoszą z okolicy. To dlatego kierowca chce mieć jak najwięcej pasażerów. Gdy murek jest odbudowany, wyrwę wypełnia się kamieniami i jazda.

Parę kilometrów dalej inna przeszkoda. Na drogę osunęła się skalna lawina. Wszyscy solidarnie biorą się do usuwania rumowiska kamieni. Przy większych głazach w ruch idzie wciągarka samochodu.

Ale to nie wszystkie przygody tej drogi. Co parę kilometrów zbocze przecina boczny wąwóz, istny kanion o pionowych ścianach. Jakimś sposobem trzeba go przekroczyć. Zbudowano więc mostek, zwany przez Polaków „syfmostkiem”. Technologia budowy „syfmostka” jest wszędzie podobna.

Najpierw z belek i kamieni buduje się po obu stronach przyczółki nieco wychylające się nad luft i zmniejszające w ten sposób dystans między brzegami. Następnie z obu stron przewraca się po parę topoli, tak by sięgały drugiej strony. Na to wszystko układa się gałęzie, a na nich - nawierzchnię z ziemi i kamieni lub z grubych belek.



Afgańscy kierowcy nie znają pojęcia przeładowania samochodu. Fot. Krzysztof Łoziński.

Przed mostkiem wszyscy wysiadają. Wypakowuje się cały ładunek. Kierowca odprawia modły do Allaha, po czym ogromny „burubuhaj”, bedford, leyland lub kamaz, ważący na pusto około dziesięciu ton, powoli przejeżdża przez mostek. Mostek koszmarnie się ugina i kolebie na boki. Kierowca się poci, a wszyscy inni obserwują przeprawę z bezpiecznej odległości. Następnie przenosi się na piechotę ładunek i jazda dalej, do następnego mostka.

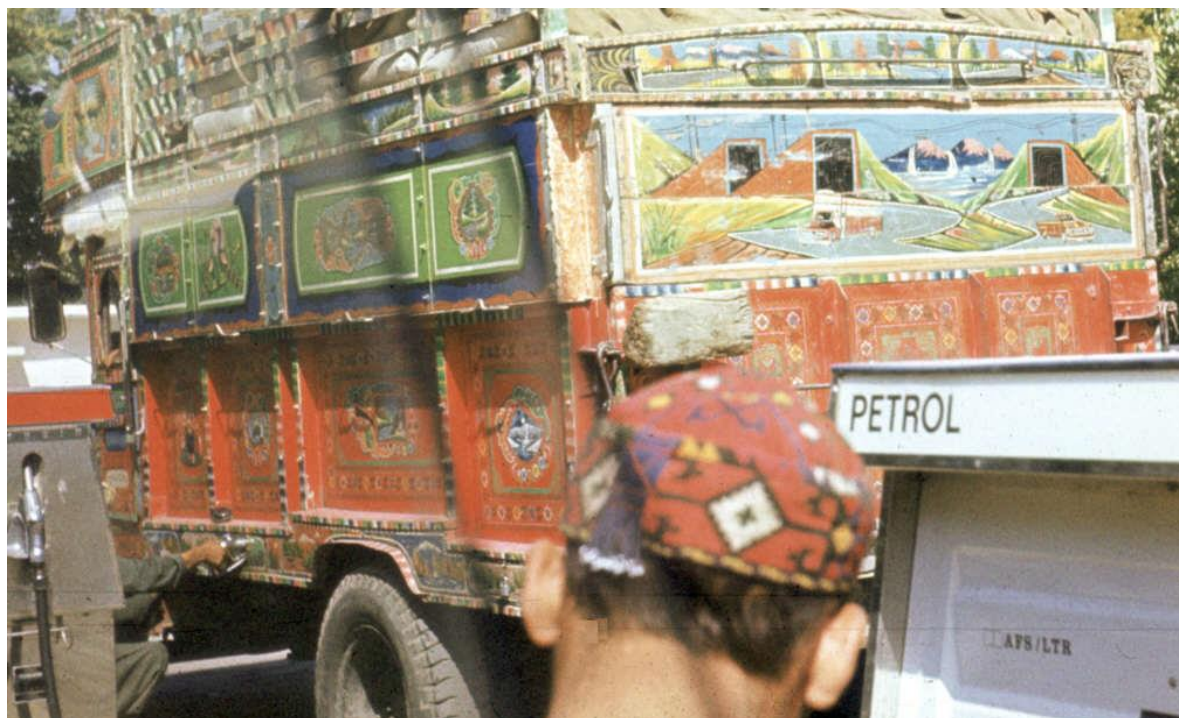
Za Fajzabadem droga nieco się poprawia, ale nie na długo. Przez pewien czas jedziemy szeroką doliną. Wokół drogi rosną orzechy włoskie i owocujące właśnie morele. Nie możemy powstrzymać się od ich jedzenia, zapominając o amebie, czerwonce, durze brzuszny i całej palecie tropikalnych chorób

układu pokarmowego. Kilka dni później odczuwam na własnej skórze dotkliwą lekcję poważnego traktowania zasad higieny w tropiku. Ale nie uprzedzamy faktów. Na razie jedziemy wśród dostojnych drzew. Wszyscy miejscowi chowają się na skrzyni samochodu przed ich gałęziami. Zastanawiam się, czemu oni tak się boją tych gałęzi. Przecież samochód jedzie zupełnie wolno. Ja sobie stoję i odgarniam te gałęzie ręką. W pewnym momencie czuję na przedramieniu lewej ręki jakieś pacnięcie, jakby spadł na nią ciężki i miękki przedmiot. Na gołą skórę mojego przedramienia spadła z drzewa dorodna tatrantula. Zrzucam ją jednym ruchem, ale teraz i ja chowam się przed gałęziami. Lubię zwierzęta, ale niekoniecznie ptaszniki[15].

Zmorą podróży są dwa perskie słowa: *mutar harap*, to znaczy: samochód się popsuł. Po raz pierwszy *mutar harap* tuż za Fajzabadem. Po prostu przywalił czołowo w skałę i rozwalił chłodnicę. W afgańskim upale to katastrofa, ale nie dla tadżyckiego kierowcy. Pozbierał od nas konserwy, wywalił zawartość (dla muzułmanina, nie jedzącego wieprzowiny, nasze konserwy były podejrzone), wyklepał na kamieniu blachę z puszek na płasko i za pomocą nożyczek pociął ją w odpowiednie kształty. Następnie rozpalil ognisko z burzanów, rozgrzał na nim lutownicę i zalutował dziurę w chłodnicy.

Ostatecznie *mutar harap* koło Zebaku. Zupełnie rozleciał się przedni most. Kierowca stwierdził, że pojedzie autostopem do Fajzabadu po części (ok. 100 km od tego miejsca). Kłopot w tym, że jesteśmy w bardzo szerokiej dolinie, na kompletnej pustyni, i w ogóle nie ma tu żadnej drogi. Raz na dzień przejeżdża wprawdzie jakiś samochód, ale może jechać równie dobrze kilometr w prawo lub w lewo. Szanse na naprawę wydają się mizerne. Musimy rozejrzeć się za innym transportem.

Ale jak tu się rozejrzeć? Na pustyni można się rozglądać do upadłego i nic z tego nie wynika. Rozwiązanie znajduje się samo. Kładziemy się spać w śpiworach koło samochodu. Rano budzimy się otoczeni wianuszkami siedzących w kucki miejscowych górali. Szybko znajdują się *iszaki* (osły) i nawet jeden *asp* (koń). Swoją drogą to ciekawe zjawisko. Ile razy w życiu zatrzymałem się w szczerzej pustyni, obojętnie w jakim kraju, to zawsze następnego dnia znajdowała się jakaś ludność miejscowa. To chyba dlatego, że my - Europejczycy - jesteśmy dla tych ludzi jak Marsjanie. Wydaje się nam, że jesteśmy sami, a cały czas obserwują nas zza gór i skał jakieś czujne oczy.



Podstawowym pojazdem Afganistanu był "burubuhaj", czyli ciężarówka, w której usunięto resory, zastępując je klockami z gumy, rozbudowano burty na trzy metry do góry i wymalowano na nich marzenia islamskiego kierowcy: asfaltowe drogi, białe kobiety, telefon i inne ozdoby. Kabinę ozdobiono frędzelkami i dzwoneczkami. Fot. Krzysztof Łoziński.

Następnego dnia ruszamy z karawaną w stronę Iskashimu. Od początku idzie mi się jakoś źle. Jakbym był nadmiernie zmęczony. Po paru godzinach sprawa jest jasna: mam biegunkę i wysoką gorączkę. To te jedzone bez mycia morele. Ledwo docieram do Iskashimu. Jestem na ostatnich nogach. Tu jednak spotykamy jedną z polskich wypraw, która ma autentycznego lekarza. Dostaję leki i przy okazji doktor wyjaśnia mi, na czym polega różnica między amebą a „zwykłą sraczką”.

- Otóż, ameba jest wtedy - mówi doktor - gdy srasz i rzygasz dalej niż widzisz, a gdy bliżej - to zwykła sraczka.

Uspokojony tą definicją wiem już, że nie mam ameby. Ale to niewielkie pocieszenie. Jesteśmy niemal na progu gór, a ja, zamiast być w najlepszej formie, leżę zwalony chorobą i nadaję się praktycznie do tego, by mnie nieść (znacznie później inny lekarz powiedział mi, że sądząc po objawach miałem dur brzuszny).

W Iskashimie wynajmujemy inny samochód. Dalsza droga doliną Wahanu jest zupełnie łatwa. Samochód szybko pokonuje ostatnie sto kilometrów i jesteśmy w wiosce Urgund-e-Bala, u wylotu naszej doliny. Tu dowiadujemy się o wypadku na Koh-e-Tez.

Na Koh-e-Tez działała wyprawa śląska z Katowic. W zejściu ze szczytu spadło trzech alpinistów: Janusz Skorek, Marek Łukaszewski i Grzegorz Fligiel. Spadli około dwustu metrów i zatrzymali się na wysokości 6400 m. Janusz był prawie cały. Bodajże miał tylko zerwany zaczep mięśnia. Dwaj pozostali byli w naprawdę ciężkim stanie. Kupa złamań i obrażeń wewnętrznych. Marek, jak się później okazało, miał złamany kręgosłup.

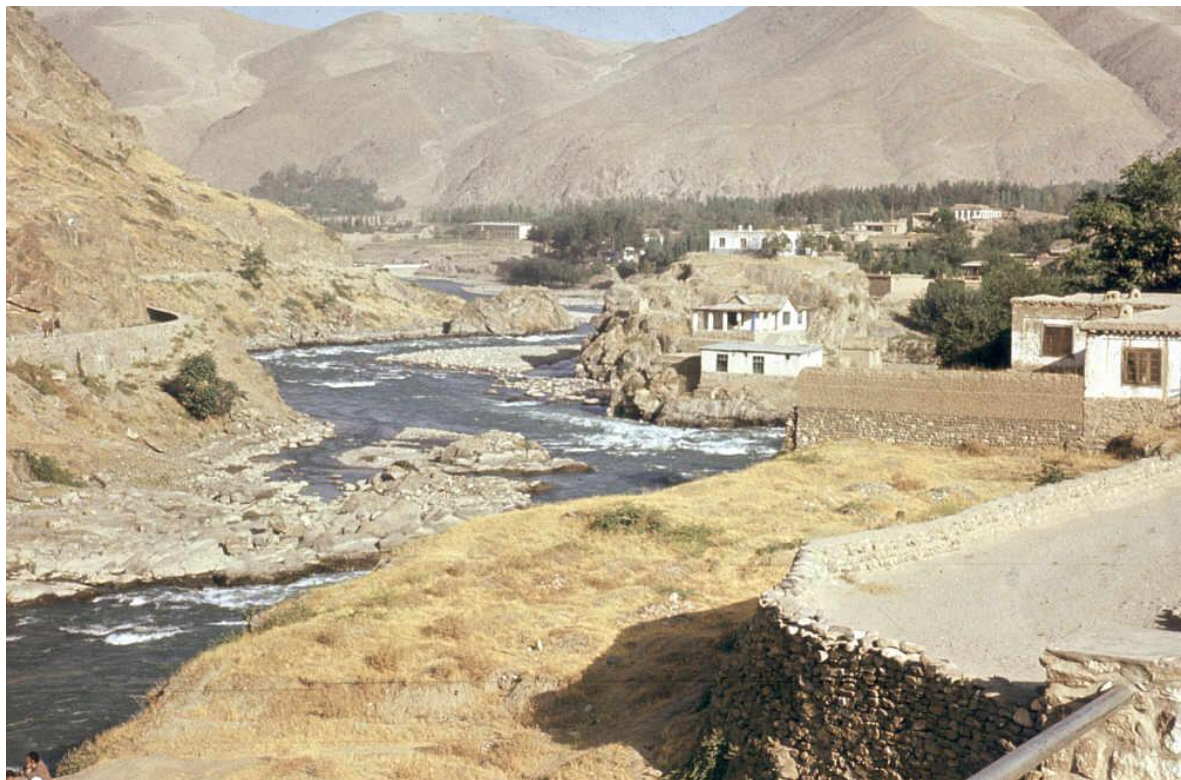
W momencie, gdy dotarliśmy do wylotu doliny, było już praktycznie po akcji ratunkowej[16]. Chłopcy byli po operacji i właśnie transportowano ich do Urgund-e-Bala. Zresztą i tak nic nie mogliśmy pomóc. Byliśmy nie zaaklimatyzowani, więc jakiegokolwiek wyjście na większą wysokość nie wchodziło w rachubę. Mnie - choremu - w tym momencie pozostało praktycznie kibicowanie. Dzięki temu jednak zyskałem czas na dojście do zdrowia.

Przez kilka dni siedzę samotnie w Urgund-e-Bala i pilnuję bagażu wyprawy. Odwiedza mnie miejscowy *askar* (żołnierz). *Askar* zna tylko język farsi, ale bardzo chce ze mną rozmawiać. Przez te kilka dni nauczyłem się podstaw farsi od afgańskiego analfabety. Bardzo mi się ten język później przydawał. Po raz pierwszy wtedy zacząłem kojarzyć, jak silne związki kulturowe łączą całą, pozornie tak różną, Euroazję. Zauważyłem to pierwszy raz na podstawie języka.

Zaczęło się od liczebników. W farsi liczy się do dziesięciu tak: *jak, du, se, chor, pańdź, szaszt, aft, aszt, nu, da*. Tak, tak: czor, pańdź, szaszt, to cztery, pięć, sześć... Ale dopiero ciekawie zaczyna być, gdy skojarzymy, że sto to w farsi *sat*, czyli *cztery*sta, *pięć*set i *sześć*set to *czorsat, pańdźsat* i *szaszt*sat. Zadziwiające podobieństwo!

Dzisiaj znam już Azję i jej historię dużo lepiej i wiem, że to podobieństwo nie jest przypadkowe. Nasze liczebniki pochodzą z Indii i dotarły do nas za pośrednictwem Arabów (dlatego nazywamy je „cyframi arabskimi”). Podobieństwo jest jeszcze większe, gdy poznamy liczebniki z sanskrytu. Dzisiaj *trzy* w języku farsi - to *se*, a w języku hindi *san*. To słowo wywodzi się z południowo-chińskiego *san* - trzy, trójkąt, męczyzna, góra. Z tego samego

źródła pochodzi słowo *san* w japońskim. Stąd *Fugisan* - góra Fugi. Dzisiaj trzy w hindi - to *san*, ale w sanskrycie było *tre*. Tak, tak proszę państwa, bo wszyscy razem pochodzimy od Ariów, który ze stepów dzisiejszej Ukrainy, a także spod naszego Lublina (którego oczywiście wówczas jeszcze nie było), rozprzestrzenili się po całym kontynencie. Od słowa *Aria* wywodzi się zarówno nazwa *Irlandia* jak i *Iran*.



Fajzabad, stolica stanu Badakshan. Ostatnie miasto, w którym jest telefon. Fot. Krzysztof Łoziński.

Ale na tym nie koniec podobieństw językowych. Na przykład *kura* w hindi to *kukura*. Woda w dzisiejszym hindi - to *pani*, ale w sanskrycie było *uda*. Przez długi czas nie rozumiałem, skąd się bierze szereg podobieństw między hindi a japońskim. Okazuje się, że oba narody miały wspólnych przodków na Półwyspie Malajskim. Świat jest jednak dużo mniejszy, niż nam się wydaje.

Skąd te historyczno-kulturoznawcze myśli? Jak to, skąd? Jestem przecież na jedwabnym szlaku. To tędy od czasów starożytnych wędrowały z Xian, najstarszej stolicy Cesarstwa Chińskiego, karawany z ładunkami jedwabiu do starożytnego Rzymu i wożono ich tyle, że cesarz Augustyn musiał wydać dekret ograniczający używanie jedwabnych szat. To tędy

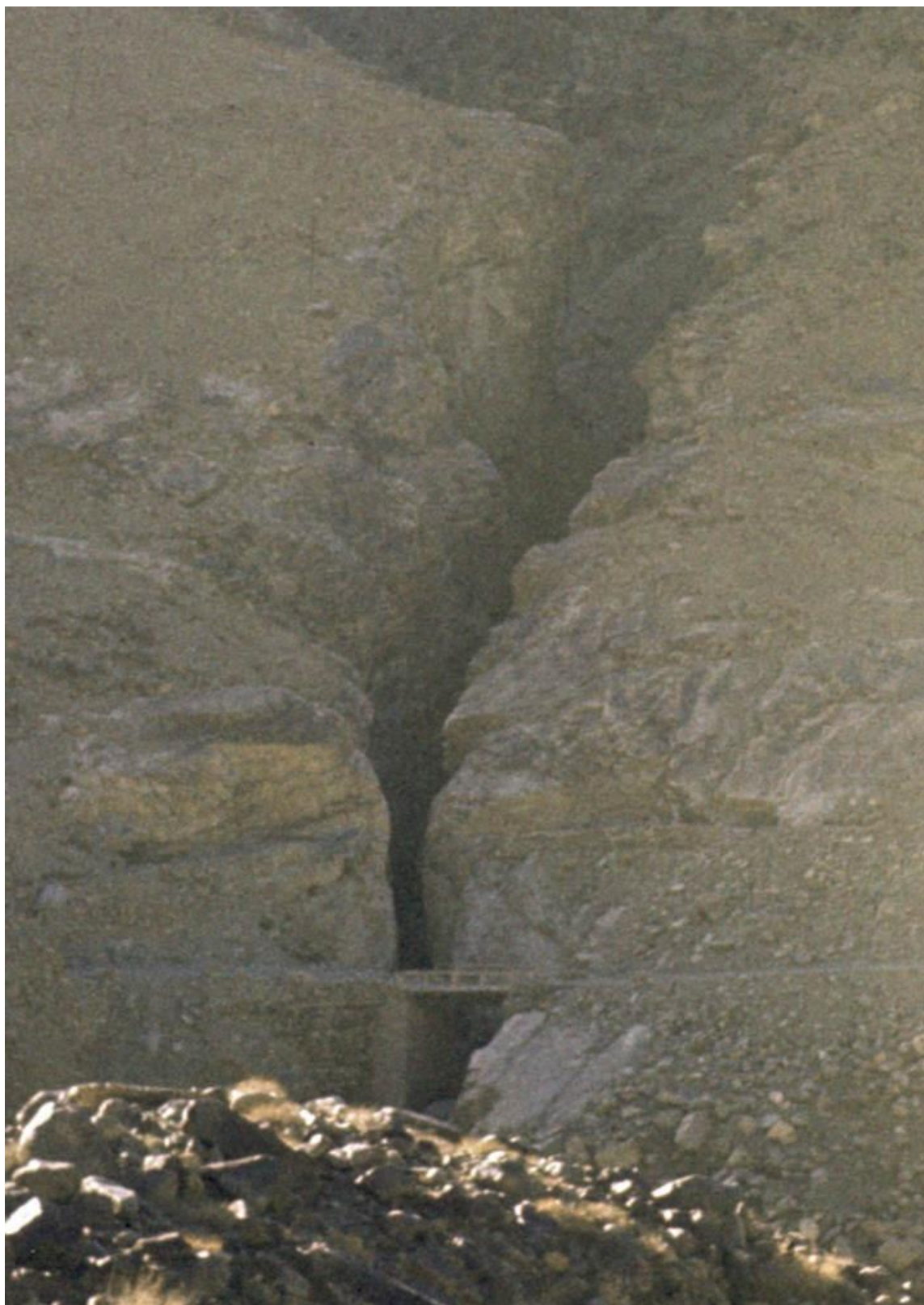
wędrował do Chin Marco Polo. Swoją drogą miejsce jest niesamowite. Gdy stanę twarzą w kierunku końca doliny, to po prawej ręce mam Hindukusz, po lewej - Pamir, a na horyzoncie widzę ośnieżone szczyty Tien Shanu. Niewiele jest na świecie miejsc, z których można oglądać na raz aż trzy pasma górskie, których szczyty wznoszą się na ponad siedem tysięcy metrów. W prawo mam Afganistan, na lewo, po drugiej stronie rzeki Piandż (górnego biegu Amu Darii) - Tadżykistan w ZSRR, a na wprost - chińską prowincję Xinjiang (Turkiestan Wschodni). Jeszcze ciekawostka: nazwa Hindu-Kush znaczy w miejscowym języku Hinduskie Góry.

Te kilka dni pozwoliło mi jako tako powrócić do zdrowia. Gdy jednak idę w górę doliny z ciężkim plecakiem, czuję się jeszcze bardzo słaby. Inni doszli do bazy w jeden dzień. Mnie zajmuje to dwa. Ten marsz doliną jest zresztą dość uciążliwy. Nie ma ścieżki. Idzie się po piargach, po morenach, przekracza potoki. Dochodzi do tego wysokość. Dno doliny Wahanu leży na 2500 m, a nasza baza na 4650 m. To ponad dwa kilometry w górę. A ja przecież pierwszy raz w życiu jestem wyżej, niż w Tatrach. Miałem pojechać w Alpy, a teraz przychodzi mi mieszkać na wysokości szczytu Mont Blanc.

W bazie nadspodziewanie szybko wracam do sił. Po kilku dniach funkcjonuję już całkiem normalnie. Można by zacząć się wspinać, ale nie ma z kim. Okazuje się, że ze wszystkich osób umiejętność wspinania posiadał tylko kierownik. Pozostali nie objawiają ani umiejętności, ani chęci.

I na tym można by relację o mojej pierwszej wyprawie do Urgund-e-Bala zakończyć. Nie weszliśmy nigdzie. Moja propozycja solowego wejścia na Koh-e-Tez została odrzucona. W „Taterniku” ukazała się później niewielka notatka, że była taka to a taka wyprawa, podeszła pod to i tamto (formuła maskująca pełną klępkę), udział w niej wzięli ten, ten i ten (pełne imiona i nazwiska) „oraz K. Woziński”. Ot taka drobna pomyłka - niby że piszący nie wiedział jak mam na imię i pomylił literę Ł z W. Oczywiście przez pomyłkę. Zapomniał tylko dodać, że „wyprawa podeszła tu i tam” nogami swego przedstawiciela przy asyście kilku „alpinistów bazowych”, względnie zawodników „brydża wysokościowego”.

A z pisownią mojego nazwiska, parę lat później, podobny numer, choć tym razem bez złej woli zrobili moi brytyjscy partnerzy z wyprawy na Tiricz Mir. Opisali mnie jako Crisa Wozenskyego, starając się napisać moje nazwisko na po angielsku podstawie wymowy. Oczywiście nikt w Polsce nie skojarzył, że opisany w brytyjskim piśmie Cris Wozensky to Krzysztof Łoziński. Następcom zalecam, by swoje nazwisko pisać Angolom na kartce.



Typowy problem drogowy Afganistanu: boczny wąwóz, przez który trzeba jakoś przejechać. W dolnej części zdjęcia widoczna droga i "syfmostek". Fot. Krzysztof Łoziński.

Przejdźmy zatem do drugiej wyprawy, która wprawdzie - jako wyprawa - nic nie zrobiła, ale za to ja, bez udziału wyprawy - lub wbrew jej udziałowi - zrobiłem co nieco.

Nie będę już opisywał dojazdu, bo wystarczy, ale z wyjątkiem jednego wydarzenia, bo ciekawe.

Dzięki nieuwadze lub nieudolności jednego z kolegów, nasz bagaż, zamiast wylądować w Termezie, został wywieziony pociągiem aż do Duszanbe, gdzie była stacja końcowa i dalej pojechać nie mógł. Chcąc nie chcąc, pojechaliśmy do Duszanbe szukać naszego bagażu i tam powstał problem, jak go przetransportować z powrotem do Termezu. Wiedziałem już, że nadawanie czegoś na pociąg w ZSRR jest wysoce ryzykowne, bo może, dla odmiany, pojechać na przeciwny koniec linii kolejowej, czyli na przykład do Moskwy. Wymyśliliśmy transport lotniczy. Okazało się, że wynajęcie samolotu An-2 z Duszanbe do Termezu wcale nie jest specjalnie drogie. Pracownik lotniska kazał nam zawieźć bagaż pod parking dla samolotów, na którym stał cały rząd dwupłatowych „Antków”.

Dziwne były już zwyczaje na tym lotnisku. Jechaliśmy przez płytę lotniska ciężarówką na przełaj, bez żadnego nadzoru. Przyjechaliśmy pod te samoloty i nadal nikogo z nami nie było. W ogóle, to mogliśmy wwieźć na to lotnisko karabin, bombę, i co byśmy tylko chcieli, bo nie przechodziliśmy żadnej kontroli. Po chwili przyjechał na rowerze pilot i otworzył jeden z samolotów. Spytałem, czy mamy te bębny jakoś specjalnie układać, a on na to: „A tak, brasaj.” No to wrzuciliśmy bez żadnego wyważania samolotu i innych ceregieli.

Pilot posadził mnie na miejscu obok siebie, bo drugiego pilota nie było, zapuścił silnik i mówi: „zamknij drzwi”. No to zamknąłem. „Będziemy lecieć” - myślę. A on zapalił papierosa i mówi: „Otwórz drzwi”, po czym zaczyna startować z otwartymi drzwiami. Chodziło o to, że przy otwartych drzwiach ciąg silnika zgasiłby mu zapalkę.

Cały ten lot był niesamowity. Facet prowadził samolot tak, jakby jeździł rowerem po stepie. Coś mu zagadało przez radio: kumpla spotkał. No to wylądował koło jakiejś jurty. Pogadali, wystartował dalej. Nagle znowu coś mu zagadało. Zakręcił pod kątem prostym i mówi, że lecimy do kołchozu zabrać babę do szpitala. Wkrótce ukazał się kołchoz. Cztery jurty na stepie

pustym po horyzont i stado wielbłądów. Wysiedliśmy z samolotu i idziemy do tego kołchozu.

Trzy jurty są zamieszkałe, a czwarta całkowicie pusta. Nad jej drzwiami tabliczka: „Dworiec kultury”. Zasiadamy w tym „pałacu kultury” i czekamy. Przychodzi szef kołchozu i częstuje nas herbatą. Czaj jest oczywiście, jak to w Azji, z mlekiem, tłuszczem i solą. Szef kołchozu jest Rosjaninem i zesłańcem, ale jako Rosjanin jest szefem, choć Uzbegy z kołchozu nie są zesłańcami. Patrzę na te cztery jurty, na ten pusty step i nagle coś mi odbiło:

- *Towariszcz, a elektryfikacja u was kuda?* - pytam i zapada konsternacja.

Elektryfikacja to było główne hasło Lenina. Socjalizm miał się składać z władzy ludu i elektryfikacji. A tu - step po horyzont, prądu nie ma, to jest socjalizm czy go nie ma? Miała być władza ludu, a rządzi zesłaniec.

Zabieramy babę i startujemy. Gdy zbliżamy się do Termezu, samolot zaczyna zataczać koła nad stepem. Początkowo nie wiem, o co chodzi, ale po chwili wszystko jest jasne. Pojawia się obok nas Mig-21. Latać to sobie możesz ptaszku nad stepem, ale gdy podchodzisz do lądowania w Termezie, mieście zamkniętym, w dodatku ostatnio zamienionym w wielki parking dla czołgów, to musisz mieć myśliwca na ogonie, żeby ci coś głupiego nie przyszło do głowy.

Wracajmy w góry. Na poprzedniej wyprawie podszedłem z kierownikiem pod przełęcz Shogordok An (6400 m), a później jeszcze raz poszedłem z jedną z dziewcząt zwinąć zostawiony tam obóz. Byłem więc dwa razy na wysokości 6400 m, i to było moje jedyne, jak dotąd, doświadczenie wysokościowe. Dwa razy znajdowałem się w miejscu, z którego do szczytu Koh-e-Tez brakowało tylko sześciuset metrów zupełnie łatwego podejścia po śniegu, i dwa razy musiałem z tego miejsca zawrócić. Tym razem miałem twarde postanowienie, że nie odpuszczę. Jak nie będzie chętnych, to pójde solo, choćby od samego dołu.

Już przy pierwszym wyjściu z bazy „wykruszył” się jeden z uczestników wyprawy: Darek. Po kilku dniach aklimatyzacji w bazie, na wysokości 4650 metrów, zaproponowałem Darkowi spacer w celu dalszej aklimatyzacji. Chciałem wejść na Koh-e-Awal (Szczyt Środkowy, 5800 m). Wyszliśmy na dolny, pokryty piargiem, lodowiec koło bazy. Lodowiec był całkowicie bezpieczny, z odkrytymi szczelinami i zupełnie połogi. Darek zażądał związania się liną. Nie widziałem ku temu żadnego powodu, ale Darek zaczął się strasznie agresywnie ze mną kłócić, odsyłając mnie do podręcznika Popki.

Dla świętego spokoju ustąpiłem. „Śmiesznie, bo śmiesznie, ale przynajmniej nikt tego nie widzi” - pomyślałem.



Mutar harap (samochód się popsuł), tym razem ostatecznie. Okolice Zebaku. Fot. Krzysztof Łoziński.

Idziemy w górę lodowca, lina czepia się nam po kamieniach i przeszkadza jak cholera. Wyszliśmy na plateau poniżej Awala, a tam już był śnieg zmrożony w tak zwane „kalafiory”. „Klafiory” dokładnie maskują rzeźbę terenu i powodują, że zupełnie nie widać, gdzie są ukryte szczeliny. Darek odwiązał się od liny.

- Co ty robisz? - krzyczę do niego - Tu mogą być ukryte szczeliny!

- Ja się na śniegu nie będę asekurował - odpowiada Darek i zasuwa do przodu.

Daleko nie zaszedł, najwyżej dziesięć metrów. Nagle pod Darkiem zrobiła się dziura i Darek zniknął w szczelinie. Wbiłem czekan po łeb, przywiązałem do niego linę, założyłem na nią jumara i podchodzę do brzegu szczeliny. Zaglądam, nic nie widać. Ciemność. Wracam do plecaka po latarkę i podchodzę znowu. Powiększyłem dziurę młotkiem i świecę latarką.

Szczelina jest ogromna, szeroka na kilkanaście metrów, światło latarki nie sięga do dna.

- Darek! - krzyczę.

Odpowiada mi tylko echo. „No ładnie” - myślę - „mamy pierwszego trupa na wyprawie”.

- Darek! - krzyczę jeszcze raz, bez przekonania.

I nagle odpowiada mi jakiś stłumiony głos, gdzieś całkiem blisko. Świecę bardziej pod siebie i widzę Dareczka, siedzącego tyłkiem na lodowym występie, dosłownie trzy metry niżej. Nogi zwisają mu w luft, a twarz ma popielatą z przerażenia. Okazuje się, że szczelinę zamykały dwa mostki śnieżne. Darek przebił górny i zawalił dolny, zostając na jego resztkach, trzymającej się nie wiadomo jakim cudem. Usiadł na tej resztkach dolnego mostka jak na krześle i zajął w luft pod sobą. Gdy pierwszy raz wołałem, to ze strachu nie mógł się odezwać.



Karawana przekracza potok. Skoro *mutar harap*, to trzeba się pogodzić z końmi i osłami.
Fot. Krzysztof Łoziński.



Dolina Wahanu stanowi odcinek jedwabnego szlaku. Po prawej Hindukusz, po lewej Pamir, na końcu widoczne szczyty Tien Shan w chińskiej prowincji Xinjiang. Fot. Krzysztof Łoziński.

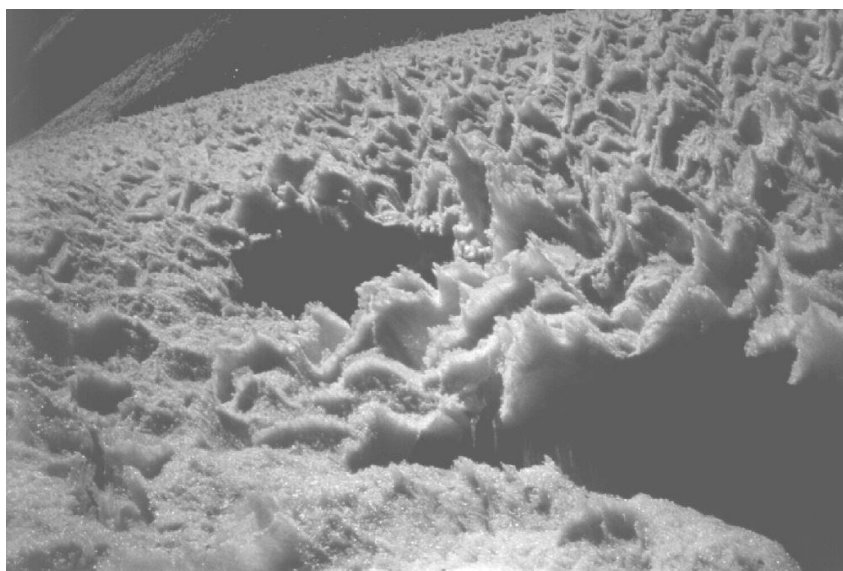
Rzuciłem mu linę i wylazł. Też były z tym problemy, bo okazało się, że nie umie podchodzić na jumarach, ale już przynajmniej nie odsyłał mnie do podręcznika Popki, tylko dał sobie wytłumaczyć.

Po tym incydencie Darek więcej nie wyszedł z bazy. Właściwie można by to wydarzenie przemilczeć, ale miało ono niestety poważne następstwa. Darek, siedząc beczynn timer w bazie i bojąc się wyjść w góry, stał się specjalistą od czarnej propagandy i siania defetyzmu. Niestety, w miarę upływu czasu, znajdował coraz większy posłuch.

Towarzystwo, które brało udział w tej wyprawie, miało, najdelikatniej mówiąc, nierówny stosunek do wspinania. Głównym obiektem ich zainteresowania był „brydż wysokościowy” (od rana do wieczora grali w brydża), ale czasami dostawali niespodziewanych zapałów, by gdzieś pójść, i mogły z tych zapałów wyniknąć tylko kłopoty. Szybko zorientowałem się, że liczyć mogę tylko na siebie i nawet mi to odpowiadało.



Dolina Urgund-e-Bala. Pierwszy widok na góry. Najwyższy szczyt to Koh-e-Urgund (7038 m, pośrodku) dalej w lewo – Koh-e-Shah (ok. 6920 m) i Sayoz Zom (ok. 6856 m, na lewej krawędzi zdjęcia). Fot. Krzysztof Łoziński.



Szczelina Dareczka, a raczej dziura w mostku śnieżnym nad szczeliną, którą Dareczek wybił własnym ciałem (ta z lewej). Prawa dziura została wyrębana młotkiem przeze mnie w celu wyciągnięcia Dareczka. Widać śnieg ukształtowany w "kalafiory". Fot. Krzysztof Łoziński.

Po kilku dniach pobytu w bazie i okolicach przyszła pora, by ruszyć się wyżej. Brydż ma tę zaletę, że mogą w niego grać tylko cztery osoby, więc zawsze zostawał ktoś, kogo mogłem namówić na pójście ze mną do jakiegoś obozu, bo się nudził. Zacząłem od założenia prowizorycznego obozu I na wysokości około 5500 m. Obóz - to wielkie słowo. Każdy z moich obozów na Koh-e-Tez składał się z jednego namiotu. Prowizoryczna „jedyńka” polegała na namiocie typu „szmatka prezesa”[17], będącego właściwie zmodyfikowaną płachtą biwakową. Była to piramidka na podstawie kwadratu z jednym masztem w środku.

Taki namiocik ma parę zalet, ale i poważne wady. Jego zaletą jest bardzo mała waga i zadziwiająca odporność na wiatr, który w górach wysokich potrafi osiągać huraganową siłę i drzeć namioty. Wadą natomiast jest bardzo niski komfort mieszkania w tym sprzęcie. Chodzi głównie o to, że ortalionowe ścianki piramidki pochylone są pod kątem 45 stopni i alpinista leżący w śpiworze ma ortalion namiotu tuż nad twarzą. Ponieważ w górach wysokich w nocy panują zawsze bardzo niskie temperatury, na ortalionie skrapla się oddech i alpinista cały czas na twarz opada szron. Jest to bardzo nieprzyjemne. Nieprzyjemne jest też samo wrażenie, że jakaś szmata niemal leży nam na twarzy. No, ale coś za coś. Niewiele jest namiotów ważących niecały kilogram.

Prowizoryczną „jedyńkę” założyłem z jedną z panienek. Przenocowaliśmy tam dla aklimatyzacji. Moja towarzyszka miała rano wszystkiego dosyć i na dobry tydzień miałem ją z głowy. Dla osoby, która dotąd nigdy nie była na większej wysokości, a nawet nie bardzo wspinała się zimą w Tatrach, potężny, nocny mróz Hindukuszu musiał być ciężkim przeżyciem. Mój bimetaliczny termometr pokazywał rano - 38 stopni C. Panienska całkiem wpadła w panikę, gdy jej powiedziałem, że jak na góry wysokie, to jeszcze ciepło.

Średnia roczna temperatura na wysokości pięciu tysięcy metrów wynosi - 50 stopni i tak jest, na przykład, gdy się leci samolotem, niezależnie od pory roku. W górach jest jednak nieco inaczej. W dzień słońce nagrzewa bardzo mocno warstwę powietrza wypełniającą doliny i mogą tam nawet występować temperatury dodatnie. Po zmroku temperatura błyskawicznie spada, bo zamiast nagrzanej ziemi, jak na nizinach, jest lodowiec, a przez warstwę rozrzedzonego powietrza ciepło zostaje błyskawicznie wypromieniowane. Ogromne lodowce Hindukuszu działają jak wielka chłodnia. Ich gigantyczna masa lodu trzyma w swoim wnętrzu średnią temperaturę roczną, czyli ok. - 50

stopni. Lato jest za krótkie, by taką masę lodu ogrzać. W jednej z publikacji wyczytałem, że lodowiec Urgund-e-Bala zawiera 7,5 miliarda ton lodu.



Od prawej: Koh-e-Tez (Szczyt Ostry 7015 m) i Acher Czioh (Ostatni Gruby, lub Ostatni Potężny, 7020 m) ze szczytu Koh-e-Awal (Szczyt Środkowy 5800 m). na prawo od Koh-e-Tez przełęcz Shogordok An (6400 m). Fot. Krzysztof Łoziński.

Zeszliśmy z powrotem do bazy i początkowo nie mogłem nikogo namówić na ponowne wyjście w górę. Dwa dni później poszedłem więc sam na spacer na Koh-e-Awal. Tak, na spacer, nie na wspinaczkę, bo nazywanie tego wejścia wspinaczką, to potężna przesada. Na poprzedniej wyprawie podeszliśmy prawie pod szczyt Koh-e-Awal od strony plateau znajdującego się między nim a początkiem filara Koh-e-Tez, czyli starą, wielokrotnie już przechodzoną drogą. Tym razem jednak wybrałem inną trasę.

Tuż nad bazą znajduje się niewielka, wisząca dolinka, wypełniona piargiem, a nad nią - południowo-zachodnie zbocze Koh-e-Awal. Tak, zbocze, a nie ściana, co oznacza, że jest to teren raczej pochyły[18]. To zbocze nie jest pokryte lodowcem, co chyba jest wynikiem jego południowo-zachodniej wystawy, i niewielką, jak na Hindukusz, wysokością. Kruche skały opadające ze szczytu Awala ograniczone są po prawej i po lewej wielkimi żlebami wypełnionymi piargiem. Te żleby nawet nie są specjalnie strome i

wyprowadzają na grań w pobliżu szczytu. Poszedłem prawym z nich i dotarłem do potwornie kruchej, ale łatwej grani, która pod koniec pokryta była już lodem. Na jakieś ostatnie sto metrów założyłem nawet raki, bardziej dla porządku, niż z rzeczywistej potrzeby. Jedyłą trudnością tego wejścia była wysokość, bo nie byłem jeszcze w pełni zaaklimatyzowany.

Na szczycie postawiłem na statywie aparat i zrobiłem pełną panoramkę doliny. W sumie kilkanaście zdjęć. Wówczas byłem przekonany, że dokonuję bardzo ważnej czynności, że kogoś, kto będzie robił mapy Hindukuszu, taka dokumentacja bardzo zainteresuje. Myliłem się jednak. Mam te zdjęcia do dziś. Nikogo one nie obchodzą.

Na szczycie nie byłem długo. Było już dość późno i, wprawdzie miałem latarkę, ale przynajmniej zejście kruchą grańką chciałem odbyć przy świetle dziennym. Dotarłem do bazy mocno po zmroku.

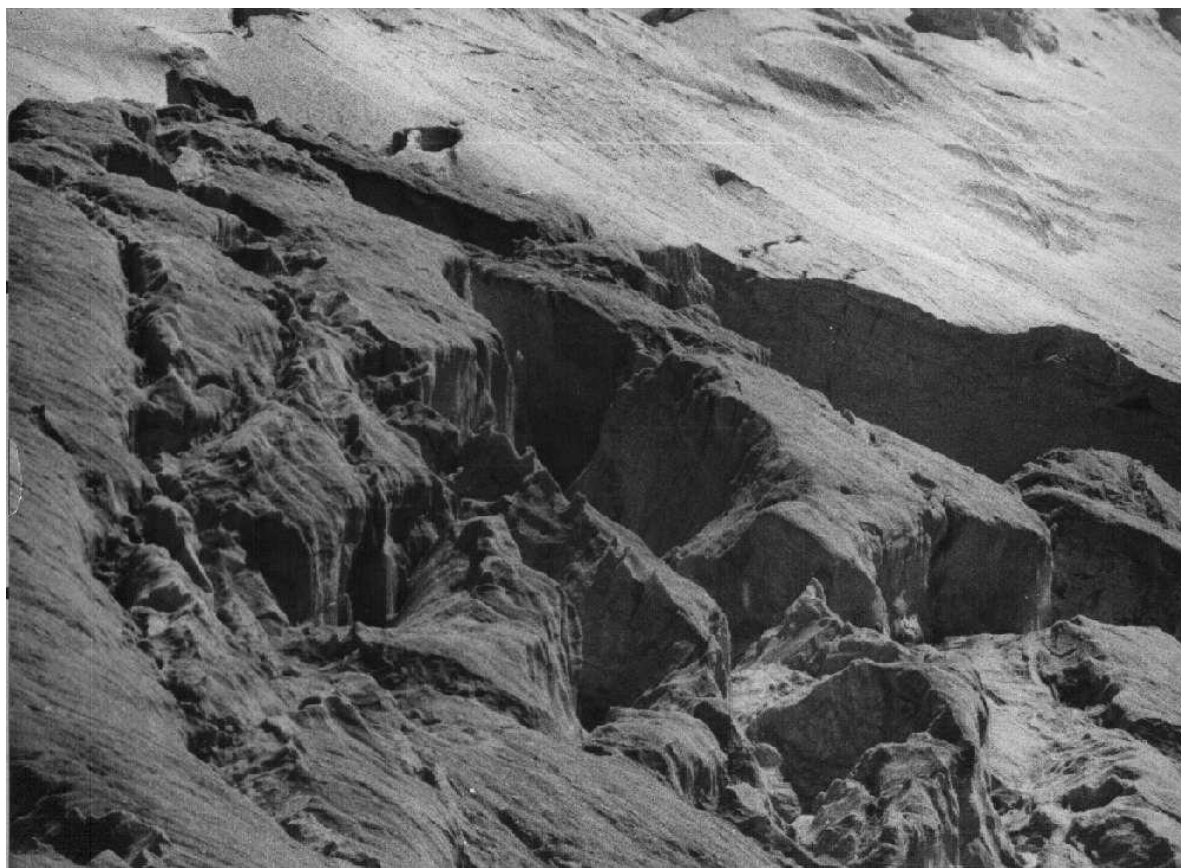
Tu okazało się, że moi wyprawowi koledzy to naprawdę błogie towarzystwo. Wszyscy spali. Nikogo nie interesowało, że jeden z uczestników wyprawy wyszedł rano na spacer, nie mówiąc dokąd, i do zmroku nie wrócił. Dlaczego nie powiedziałem dokąd idę? Bo nie było komu powiedzieć. Panowie (i panie) o godzinie dziewiątej rano jeszcze spali.

Ciągle nie mogłem znaleźć chętnych do wyjścia w górę. Postanowiłem więc pójść na kolejny spacer. Nieco w dół doliny, po tej samej stronie lodowca, jest kolejna, wisząca dolinka, a wokół niej jakieś szczyty leżące w tej samej grani co Koh-e-Awal. Pamiętałem tę dolinkę i widok otaczających ją szczytów z dojścia do bazy. Z progu dolinki, będącego naprawdę moreną wypełniającego ją niewielkiego lodowca, płynęły trzy strumienie. W każdym z nich woda miała inny kolor i zawierała jakieś mocno cuchnące minerały. Dopiero w strumyku płynącym po lodowcu była woda nadająca się do picia.

Wybrałem szczyt pokryty pochyłym lodowcem, pełnym dużych, ale odkrytych szczelin. To, że szczeliny były odkryte, było bardzo ważne, bo niebezpieczne są tak naprawdę dopiero te, których nie widać. Widoczne mogą być bardzo efektowne na zdjęciach, ale bać się ich nie ma powodu. Podchodziłem przez cały dzień poszczelinionym zboczem, chwilami dość mocno lawirując. Na szczycie byłem po zmroku.

Według mapy, jaką wówczas miałem, góra nazywa się Koh-e-Jarm i oznaczona jest kotą 6000 m. Nie miałem pojęcia, czy była już wcześniej zdobyta. Kłopot jednak w tym, że nie wiadomo do końca czy to ta góra. Dlaczego? A no dlatego, że mapka tej części grani jest szalenie uproszczona.

Jest to tak zwana mapa graniowa, bez poziomicy i niestety też bez paru gór, które w rzeczywistości tam są. Problem identyfikacji tej góry powstał dlatego, że rok czy dwa później odbyła się wyprawa, bodajże zakopiańska, na Koh-e-Jarm, ale od przeciwnej strony, z innej doliny. Wyprawa ta zdobyła Koh-e-Jarm, ale na sporządzonej przez nich mapce grań ma wyraźnie inny przebieg. Obie mapki mają zresztą przebieg szalenie schematyczny. Także kóta, równo 6000 m, świadczy o tym, że mapa opracowana jest dość pobieżnie. Góry bardzo rzadko mają takie równe wysokości. Nic nie wyjaśniają też zdjęcia, bo góra z drugiej strony może wyglądać zupełnie inaczej. Pozostaje więc zagadką, na co właściwie wszedłem i kto pierwszy zdobył Koh-e-Jarm. Tę zagadkę można by bardzo łatwo rozwikłać, weryfikując rzecz w terenie lub robiąc porządną mapę z poziomcami i rzeczywistymi, a nie przybliżonymi, wysokościami. Kłopot w tym, że w Afganistanie od ponad czterdziestu lat trwa wojna i nie widać rychłego jej końca, a nawet gdyby się wkrótce skończyła, to minie sporo czasu, nim będzie w tym kraju na tyle bezpiecznie, by mogły tam jeździć liczne wyprawy. Pojedyncze wyprawy ostatnio się już pojawiły, ale do pełnego bezpieczeństwa naprawdę daleko.



Lodowiec Urgund-e-Bala w drodze do obozu I. Fot. Krzysztof Łoziński.



Prowizoryczny obóz I na tle północno-wschodniej ściany Koh-e-Urgund (7038 m). Fot. Krzysztof Łoziński.

Zagadki nie udało mi się też rozwikłać na podstawie map Jerzego Wali. Na każdej z trzech jego map, jakimi dysponuję, układ grani i szczytów w tym rejonie jest nieco inny. W dodatku w „Taterniku” (nr 2/1977) został zamieszczony rysunek tegoż Jerzego Wali przedstawiający jeszcze inną konfigurację terenu.

Na razie nazywam swoją górę Szczytem Sąsiednim, w odróżnieniu od Koh-e-Awal, czyli Szczytu Środkowego. W farsi byłoby to Koh-e-Nazdik.

Rozwikłać problem mogłyby też zdjęcia ze szczytu, ale byłem na nim po ciemku i zdjęć nie mogłem zrobić. Trudno. Niedowiarki muszą mi uwierzyć na słowo, a jak nie uwierzą, to ich problem. Na szczęście to wejście nie ma żadnego znaczenia sportowego, bo trudności techniczne określiłbym słowem: brak.

[Tak myślałem dwadzieścia lat temu, gdy pisałem książkę. Obecnie wiem, że to, na co wszedłem, to Koh-e-Jarm i że byłem tam pierwszy, przed wyprawą zakopiańską. Sprawę rozstrzygnęły zdjęcia satelitarne gogle map]

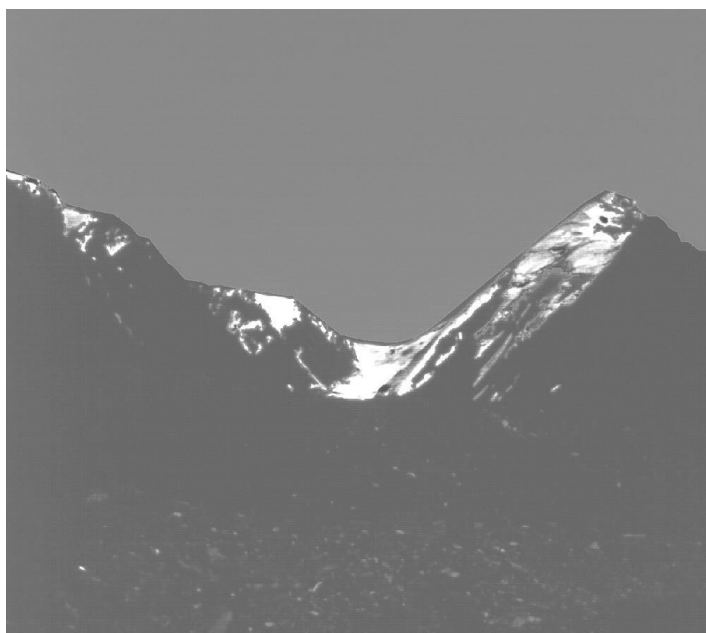


Lodowa północna ściana Sayoz Zom (6856 m). Niewybitny wierzchołek po lewej - to Shogordok (6700 m). Fot. Krzysztof Łoziński.

Wróciłem do bazy mocno po północy, zmordowany jak nieboskie stworzenie. W końcu wlałem w jeden dzień na sześciotysięcznik, więc trudno bym był wypoczęty. W bazie zastałem zamieszanie. Okazało się, że dwaj chłopcy dostali zapachu alpinistycznego, poszli do obozu pierwszego i do tej pory nie wrócili. Reszta, przestraszona i poruszona, czekała na mnie, by ruszać na akcję ratunkową. Tymczasem ja byłem już tak spruty, że nie byłem w stanie gdziekolwiek jeszcze iść. Zarządziłem spanie do rana, a dopiero potem wymarsz.

Rano w towarzystwie kilku osób wyruszyłem do jedyńki. Wprawdzie dobrze jeszcze nie wypocząłem, ale i tak miałem lepszą od nich formę, bo jednak gdzieś do góry łąziłem, a przy brydżu zaaklimatyzować się trudno. Naszych poszukiwanych zobaczyliśmy z daleka. Stali nad szczeliną w lodowcu i coś kombinowali. Okazało się, że mostek śnieżny, po którym przeszli idąc do góry zawalił się i nie wiedzieli jak sforsować szczelinę. Szczelina była szeroka na jakieś trzy metry i głęboka na pięć czy sześć. Jej dno wypełnione było śniegiem i lodowym gruzem. Po tym dniu można było chodzić. Znalazłem miejsce, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, gdzie ściany szczeliny nie były pionowe, tylko odchyłone pod kątem około 60 stopni. W tym miejscu, po prostu, za pomocą raków i czekana, można było z jednej strony do szczeliny zejść, a z drugiej wyjść. Problem w tym, że nasze zguby kompletnie nie umiały wspinać się w lodzie. Musiałem przejść się do nich, następnie asekurować ich z góry, gdy złazili do szczeliny, zejść do nich na żywca (to akurat nie był żaden problem), wyjść z drugiej strony i pomóc wyleźć „za pomocą długiego elastycznego chwytu”, czyli więcej po linii niż po ścianie. Na wszelki wypadek to przejście przez szczelinę zostało później zaporęczowane. Mnie ta poręczówka nie była do niczego potrzebna i trochę żałowałem, że marnuje się jedną linę, bo przecież nie wiedziałem, czy nie będzie potrzebna wyżej.

Następnego dnia odbyliśmy w bazie coś w rodzaju narady, w czasie której parę razy omal nie doszło do rękoczynów. Ostatecznie zawarliśmy pewien kompromis. Po pierwsze, towarzystwo nie będzie nigdzie łązić beze mnie. Po drugie, ja - w zamian za to - pozwolę im uczestniczyć w akcji na Koh-e-Tez, a nawet, być może, umożliwię komuś wejście na szczyt. W ten sposób zostałem w trakcie wyprawy jej nieformalnym kierownikiem, choć nikt nie używał tego słowa. Teoretycznie wyprawa ciągle kierownika nie miała.



Moje spacerowe góry. Koh-e-Awal (5800 m, zdjęcie górne) od strony bazy i Koh-e-Jarn (ok. 6000 m, zdjęcie dolne) od strony, z której na niego wszedłem. Zdjęcie tego drugiego jest fatalnej jakości, mimo intensywnej obróbki komputerowej (co znawcy zauważą), ale lepszego nie mam. Fot. Krzysztof Łoziński.

Kompromis był możliwy, bo towarzystwo zaczynało już powoli rozumieć, że Hindukusz przerasta ich możliwości. Część z nich była po prostu ciężko przestraszona, bo człowieka, który wspinał się dotąd tylko po łatwych drogach wokół Hali Gąsienicowej, rzeczywiście może w Hindukuszu ogarnąć powaga. Ludzie, którzy nie byli wcześniej poza Tatrami, na ogół nie zdają sobie sprawy z tego, że problemy gór wysokich nie polegają na trudnościach technicznych. A właściwie, polegają nie tylko na trudnościach technicznych. Tacy ludzie bardzo optymistycznie wybierają się na wyprawy i tam, w konfrontacji z rzeczywistością, doznają ciężkiego szoku. Oczywiście ten szok bywa mniejszy lub większy, bo w końcu każdy kiedyś jedzie na wyprawę pierwszy raz. Rzecz w tym, że sprawny taternik, który już parę razy ostro dostał w kuper na trudnych drogach w zimie, da sobie z tym szokiem radę. Taternik „halowy” lub „pięciostawiański”, może mieć do pokonania zbyt duży, jak na jego możliwości, dystans między tym co robił dotąd a wymogami Himalajów lub Hindukuszu.

Nie będę zanudzał czytelników opisami, kto i którego dnia założył który obóz, czyli takimi opisami, przez które większości relacji z wypraw nie da się czytać. Ważne jest to, że powstał porządny obóz pierwszy na wysokości około 6000 metrów, nieco poniżej przełęczy Shogordok An, a następnie obóz drugi na samej przełęczy. Obóz drugi był tylko 400 metrów wyżej niż pierwszy, ale dzieliła je spora odległość pozioma, co na wysokości powyżej 6000 metrów nie jest bez znaczenia. Poza tym zakładanie obozu wyżej nie miało żadnego sensu. Do szczytu pozostało zaledwie 600 metrów różnicy wysokości i mniej niż kilometr w linii prostej, a usytuowanie obozu na przełęczy dawało nadzieję na późniejsze atakowanie Shogordoka i Sayoz Zoma, na co wówczas jeszcze skrycie liczyłem.

Koh-e-Tez, gdyby nie był siedmiotysięcznikiem, byłby górą zupełnie łatwą, wręcz spacerową. Jedyne trudności, zresztą niewielkie, występują na odcinkach bardziej stromego lodu. Do obozu na przełęczy Shogordok An doszło ze mną dwóch Jasiów. Obaj radzili sobie tam nawet nieźle, gdy mieli górną asekurację. Trochę niestety opóźniali mi tempo akcji, bo na początku, zamiast się aklimatyzować, grali w brydża. Teraz ten brydż wychodził im bokiem. Gdy drugi raz doszliśmy do obozu II z zamiarem atakowania szczytu, okazało się, że na wysokości 6400 metrów dla Jasiów skończyły się właśnie możliwości marszu w górę. To był efekt nienajlepszej aklimatyzacji.

Przenocowaliśmy na przełęczy. Rano Jasio oświadczyły, że wyżej nie pójdą, a przynajmniej nie tym razem. Ja czułem się świetnie, a szczyt wydawał się być na wyciągnięcie ręki. Ustaliliśmy, że posiedzimy w obozie jeszcze

jeden dzień i być może przez ten czas Jasie poczują się lepiej. Po południu zobaczyliśmy podchodzące w naszym kierunku dwie sylwetki. Byli to Marylka i Bartek, którzy, łamiąc ustalenia, „też chcieli brać udział w ataku szczytowym”. Gdy jednak doszli do przełęczy, bardzo już mocno dzwoniło im od wysokości w głowach i miny mieli nietęgę. W dodatku powstał pewien problem lokalowy. Na przełęczy był tylko jeden, i to mały, namiot. Trzy osoby mieściły się w nim z wielkim trudem. O pomieszczeniu pięciu ludzi nie było mowy.



Cztero i pięcioletni grzbietu Sangi Pindża (Skalny Widelec, lub Skalny Grzebień) widziane z drogi na Koh-e-Jarm. Fot. Krzysztof Łoziński.

W dodatku Marylka i Bartek, po podejściu od bazy, byli tak spruci, że na zejście tego samego dnia nie mieli już siły. Nie było wyboru, schodzić musieli Jasie. Ku mojemu zdziwieniu, nie protestowali. Mało tego, nie skorzystali z mojej propozycji, by zeszli tylko do jedyńki i następnego dnia podeszli ponownie, bo może będzie szansa powtórzenia ataku szczytowego. Postanowili zejść aż do bazy.

Rano okazało się, że Marylka i Bartek wprawdzie „bardzo chcą brać udział w ataku szczytowym”, ale ich możliwości fizyczne mocno z tą chęcią nie korelują. Uprosilili mnie, bym odłożył atak jeszcze o jeden dzień. To wszystko już przestawało mi się podobać, bo na skutek powolności Jasiów, i ciągłego odkładania ataku, byłem już piąty dzień w górze. Zaczynałem być po prostu mocno zmęczony, choć pod względem aklimatyzacji czułem się całkiem dobrze.

6400 metrów to już jest wysokość, do której nie można się trwale zaaklimatyzować. Na tej wysokości, a tym bardziej na większej, z każdym dniem traci się siły, nawet gdy nie podejmuje się większego wysiłku. Na tej wysokości już się praktycznie nie odpoczywa. Człowiek kładzie się spać i zamiast następnego dnia obudzić się wypoczętym, to jest jeszcze słabszy niż dnia poprzedniego. Co najgorsze, nie zdaje sobie z tego sprawy. Po nocy wydaje mu się, że odpoczął, ale naprawdę sił mu ubyło. To jest taka pułapka wysokościowa, przez którą już wiele osób w górach zginęło. Myśli się: teraz jestem słaby, ale odpocznę, to zejść na dół. Tymczasem następnego dnia, i każdego kolejnego, jest się coraz słabszym. W końcu na zejście nie ma już sił.

Oczywiście, ja nie byłem jeszcze tak osłabiony, bym już musiał uciekać, ale każdy dzień tej ciuciubabki odbierał mi kolejne siły. Po kolejnej nocy Marylka i Bartek nadal nie nadawali się do akcji w górę. Zarządziłem, że idę na szczyt solo.

- O, jak to dobrze - ucieszyła się Marylka - to my już możemy schodzić!

- Co to, to nie - mówię - musicie przynajmniej poczekać na mój powrót, bo mogę być strasznie spruty.

Bardzo się zmartwili, ale ostatecznie zgodzili się poczekać. Wiedziałem, że był to ostatni moment na atak szczytowy. Szósty dzień od mojego wyjścia z bazy. W dodatku pogoda, do tej pory jak drut, zaczynała być niepewna. Wśród seraków kopuły szczytowej wiatr wzniecał pióropusze śniegu. Po stronie pakistańskiej całe doliny wypełnione były chmurami, z których wystawały praktycznie tylko Tirich Mir oraz Istoronal[19].

Wyprawa nie miała żadnych środków łączności. Ludzie, którzy zostali w bazie, nie wiedzieli, co się dzieje u góry, a ja nie wiedziałem, co się dzieje w bazie. O tym dowiedziałem się dopiero dużo później.



Poszczeliniony lodowiec. Fot. Krzysztof Łoziński.

Tymczasem w bazie nie działało się dobrze. Kilka osób, siedzących beczynnie w bazie już któryś dzień z rzędu, zaczęło wzajemnie podgrzewać panikarską atmosferę. Była już późna jesień, przełom października i listopada, i w bazie z każdym dniem robiło się zimniej. O ile na początku działalności można było chodzić w dzień tylko w sweterku, to pod koniec kurtka puchowa była już strojem obowiązkowym, nawet w południe. Moje wyprawy zawsze miały tendencję do płynnej przemiany z letnich w zimowe, z powodu licznych opóźnień na samym początku.

Towarzystwo, które zostało w bazie, było wybitnie nieprzyzwyczajone do niskich temperatur. To obniżało ich nastrój. Do tego beczynność. Po kilku dniach zaczęły się im rodzić w głowach pomysły, że wszyscy, którzy wyszli do góry, dawno zginęli i nigdy nie wrócą. Szóstego dnia od naszego wyjścia, w tym samym momencie, gdy ja wyruszałem z przełęczy w kierunku szczytu, zeszło do bazy dwóch Jasiów. Byli tak zmęczeni, że ledwo leżli. Powrót Jasiów, zamiast uspokoić atmosferę, jeszcze ją podgrzał. Jasio, wbrew faktom, zaczęły opowiadać, że góra jest straszna, trudności ogromne, a Łoza - to wariat, co się porywa z motyką na słońce. Ten wariat trzymał ich kilka dni na przełęczy i nie dawał zejść, aż w końcu niemal uciekli, niechybnie ratując życie. Teraz zapewne ich następcy ledwo tam żyją, i jak szybko nie zejda, to będzie strasznie.



Jedna z przeszkód w drodze na Koh-e-Tez. Ogromna bariera lodowa powstała z przesunięcia pionowego brzegów szczeliny. Fot. Krzysztof Łoziński.

Na domiar wszystkiego towarzystwo bazowe zauważyło, że zaczyna psuć się pogoda. Wieczorem Darek odczytał z bimetalicznego termometru, że jest - 41 stopni i wpadł w panikę. Nastrój w bazie był już taki, że wszyscy kombinowali, jak dać nogę na dół i tylko brakowało im do tego pretekstu.

W tym samym czasie ja, nieświadomy niczego, szedłem w kierunku szczytu. Pogoda psuła się coraz bardziej. Wzmagający się wiatr niósł od strony pakistańskiej śnieżną krupę. Pod wiatr nie dawało się już patrzeć. Byłem na nieco stromym, ale zupełnie łatwym śnieżnym zboczu. Wprawdzie z każdą godziną widoczność stawała się coraz gorsza, ale teren był łatwy, a kierunki oczywiste. Uznałem, że dokąd wiatr nie ma siły tak dużej, by utrudniać marsz w górę, to jeszcze nie ma powodu do paniki. Nie chciałem zresztą łatwo się poddawać. Miałem świadomość, że nie będzie już szansy na powtórny atak, a trzeciej wyprawy w ten sam rejon raczej nie zrobię. Na szczycie byłem około godziny 16-tej. Widoczność już była zerowa we wszystkie strony, a wiatr stawał się nieprzyjemnie silny. Żałowałem, że nie mogę zrobić zdjęć ze szczytu, ale niestety widziałem tylko własne buty. Byłem we mgle.



Seraki nieco poniżej obozu I w drodze na Koh-e-Tez. Fot. Krzysztof Łoziński.



Samotny namiocik obozu I na wysokości ok. 6000 m. W tle podszczytowe zbocza Sayoz Zom. Fot. Krzysztof Łoziński.

Wobec psującej się pogody nie było co na wierzchołku deliberować. Trzeba było czym prędzej zwiewać na przełęcz, a najlepiej jeszcze niżej. Zejście zajęło mi dość dużo czasu, bo wiatr stał się tak silny, że zmuszał do przeczekiwania w skulonej pozycji co silniejszych podmuchów. Sytuacja stawała się poważna. Zdałem sobie sprawę, że nawet nie wiem, czy śnieg pada, czy tylko wiatr go nanosi ze zboczy, bo kierunek opadu był niemal poziomy. Zejście utrudniał fakt, że wichura na zmianę nanosiła głębokie zaspę w jednych miejscach, a w innych wywiała cały śnieg, odkrywając skalne podłoże, co bynajmniej nie ułatwiało schodzenia. Ciągłe to wpadałem w zaspę po pas, to natykałem się na jakieś skalne prożki, których, gdy szedłem do góry, nie było. Te prożki nie były ani duże, ani trudne, ale znakomicie opóźniały zejście, a ja wiedziałem, że muszę się spieszyć, bo pełnego załamania pogody bez namiotu nie przeżyję.

Gdy docieram na przełęcz, jest już zupełnie ciemno. Widoczność praktycznie zerowa, siła wiatru potworna. Ledwo daje się ustać na nogach. Nie mogę znaleźć namiotu. Przełęcz jest rozległa jak boisko piłkarskie. Łażę w tę i w tamtą stronę, aż nagle uświadamiam sobie, że jestem sam. Ludzi, którzy mieli czekać na mój powrót nie ma! Dali nogę! Na szczęście po chwili znajduję opuszczony namiot. Dobrze, że chociaż namiot mi zostawili. Bez niego nie miałbym szans.

Moja sytuacja jest niewesoła. Jestem sam na wysokości 6400 w kompletnym załamaniu pogody. W dodatku jestem potwornie zmęczony po wejściu na siedmiotysięcznik. Rano będzie tydzień, jak opuściłem bazę.



Ostatnie zdjęcie z ataku szczytowego przed załamaniem pogody, zrobione na wysokości ok. 6700 – 6800 m. Widać dolinę Urgud-e-Bala. W głębi szczyty Pamiru. Fot. Krzysztof Łoziński.

Włazę do namiotu i przez jakiś czas leżę tak, jak padłem. Jest mi bardzo zimno. Mam koszmarne dreszcze i skurcze mięśni. To ze zmęczenia i wyziębienia. W końcu niemal zmuszam się do wejścia do śpiwora. Znajduję palnik i rozpalam butanowy płomień. W namiocie robi się trochę cieplej. Trzeba coś zgotować, napić się jakiegoś ciepłego płynu. Ale do tego trzeba wyleźć ze śpiwora i namiotu, by nabrać śniegu. Te czynności, przy moim zmęczeniu, wymagają nadzwyczajnej mobilizacji woli. Marylka i Bartek mieli czekać na mój powrót właśnie po to, by się mną zająć, gdy wrócę taki spruty, by zgotować mi jakiś płyn, dać coś jeść. A oni dali nogę.

Całą noc leżę w półdrzemce, mobilizując się z trudem, by co jakiś czas coś zgotować. Jestem odwodniony i wyziębiony, a pogoda nie zanoszą się na lepszą. Na szczęście mam sporo paliwa i żarcia. Jeśli uzupełnię płyny i ciepło, mam szansę.

Rano pogoda wygląda jeszcze gorzej. Wiatr szarpie namiotem z taką siłą, że boję się, by go nie podarł. Mimo kompletnego puchowego ubrania, spodni puchowych i kurtki, marzną nawet w namiocie i w śpiworze. Niemal

cały czas gotuję jakieś zupki i galaretki[20]. W pewnym momencie patrzę na mój bimetaliczny termometr i w pierwszej chwili nie rozumiem, co widzę. W końcu dociera do mnie, że jest - 60 stopni. Nawet jeśli ten przyrząd trochę oszukuje, to i tak jest źle. Tak niska temperatura, huraganowy wiatr i moje wyczerpanie - to za dużo przeciwności na raz. Dociera do mnie, że tej przygody mogę nie przeżyć.

Nie mam nic innego do roboty, niż czekać na poprawę pogody. W tych warunkach zejść się nie da. Ale nie można się poddać apatii. Trzeba cały czas walczyć, gotować, wychodzić na zewnątrz po śnieg. Mija siódmy dzień na wysokości. Noc jest jeszcze gorsza od poprzedniej. Wszystko w namiocie pokryte jest szronem. Rano wiatr zaczyna słabnąć i robi się trochę cieplej, ale wcale tego nie czuję. Termometr pokazuje - 47 stopni. Widoczność ciągle zerowa. Mija ósmy dzień od wyjścia z bazy i czeka mnie kolejna noc.

W nocy wiatr wyraźnie słabnie, a rano niemal zanika. Niestety pojawia się nowa atrakcja. Pada śnieg. Termometr pokazuje - 32 stopnie. „Prawie upał” - myślę. Trzeba czym prędzej wiać na dół.

Zwijam obóz i z ciężkim plecakiem zaczynam schodzić. Jestem bardzo osłabiony, ale jeszcze nie chcę porzucać sprzętu. Boję się, że przy złej widoczności zabłądzą. Muszę trafić na lodowiec, którym podchodziliśmy. Jeśli pójdę za bardzo w lewo, mogę wleźć w podciętą barierami seraków ścianę Sayoz Zoma. Co gorsza, padający, a przedtem nawiewany, śnieg przykrył szczeliny maskującymi mostkami, a ja, schodząc samotnie, nie mam żadnej asekuracji. Gdy szedłem do góry, szczeliny były widoczne. Teraz wszystko wygląda tak samo.

Idę jak po polu minowym. Pracowicie dziabię czekanem przed sobą. Co pewien czas natrafiam na pustkę. Omijam niewidoczną szczelinę i próbuję w innym miejscu. Jestem strasznie napięty. Boję się, że za którymś razem trafię na mostek na tyle gruby, że nie wyczuję czekanem dziury, a na tyle jeszcze słaby, że się pode mną zarwie. Kilka razy noga wpada mi w dziurę i w ostatniej chwili rzucam się do tyłu. W pewnym momencie czuję głuche tąpnięcie i jakieś dziesięć metrów przede mną samoczynnie zawala się most śnieżny ujawniając ogromną, szeroką na około siedem metrów szczelinę. Omal w nią nie wlażłem.

Znajduję obóz I. Wierzchołek namiotu ledwo wystaje spod śniegu. Zwijam namiot i zabieram sprzęt. Plecak staje się cięższy. Idę mocno w prawo, bo strasznie boję się zapychu w ścianę Sayoz Zom. Teren wyraźnie się

obniża i zaczynam go rozpoznawać. Jestem na dobrej drodze. W miarę schodzenia czuję się trochę lepiej, bo powietrze na mniejszej wysokości zawiera więcej tlenu. Nieco powyżej prowizorycznej jedyńki widoczność znacznie się poprawia. Wyszedłem z chmur.



Omijanie ogromnej szczeliny w drodze na przełęcz Shogordok An. Fot. z archiwum autora.

Namiot prowizorycznego obozu I jest zupełnie zawalony i podarty. Zabieram z niego kilka pełnych ładunków butanowych i palnik. Nic więcej tam nie ma. Niepokoi mnie, że nie widzę namiotów bazy, choć normalnie były już stąd widoczne. Ale wszystko jest przysypane świeżym śniegiem, więc może i one?

Jest wieczór. Nie mam już siły iść dalej. Rozbijam jeden z namiotów i idę spać. Po zmroku wychodzę po śnieg do gotowania. Patrzą w stronę bazy. Czemu nie widać żadnego światła? Może już wszyscy śpią. Dlaczego, do cholery, nikt nie wyszedł do góry, by mi pomóc? Przecież wiedzą, że jestem dziewiąty dzień w akcji i ledwo żyję ze zmęczenia. Prawdziwą niespodziankę poznam dopiero jutro.

Rano pogoda jest wyraźnie lepsza. Śnieg już nie pada, ale jest trochę mgieł. Schodzę dalej. Nogi mam jak z waty. Plecak niemiłosiernie wżyna się

w ramiona. Jeszcze nieprzyjemny odcinek po penitentach, jeszcze kawałek po piargach i już, za tą morenką będzie baza. I koniec. Będzie można odpocząć.

Wchodzę na morenkę i ... O kurwa! Nie ma bazy!

Stoję jak zbaraniały z worem na plecach. Zaraz, może to nie tu, może dalej. Ale nie, kamienne platformki po namiotach, spalone obręcze od bębnow... Nie ma wątpliwości.



Widok na Pamir z okolic przełęczy Shogordok An (6400 m). Fot. Krzysztof Łoziński.

Siadam na kamieniu i dłuższą chwilę siedzę bezradnie. Zupełnie nie wiem, co robić. Łudzę się jeszcze nadzieją, że oni tylko poszli po pomoc dla mnie i jeszcze wrócą, ale w końcu zaczyna docierać do mnie groza sytuacji. Do wylotu doliny mam dwadzieścia pięć kilometrów po lodowcu, po piargach, po potokach. Nie ma nawet ścieżki. Tam jest wieś Urgund-e-Bala. Ale to, że jest wieś, nic mi nie daje. W tym biednym kraju nie mogę liczyć na żadną bezinteresowną pomoc. Doliną Wahanu jeżdżą nawet ciężarówki, ale nikt mnie nie podwiezie za darmo. Nikt też za darmo mnie nie nakarmi. W tym kraju ludzie na co dzień umierają z głodu i nikt się nie zlituje nad jeszcze jednym głodującym. W Urgund-e-Bala niczego nie sprzedam, bo ci ludzie są strasznie biedni, ale może uda się wymienić coś z moich rzeczy na jedzenie. Może sprzedam coś, na przykład namiot czy śpiwór, w Iskashimie, ale i to niepewne, bo Iskashim - to straszna dziura. Jeżeli tam nic mi się nie uda, to

marne szanse. Do Iskashimu z Urgudn-e-Bala jest sto kilometrów. Nawet jak przejdę te sto kilometrów, to będę u kresu sił. Do Fajzabadu, gdzie jest telefon i są sklepy, jest kolejne sto pięćdziesiąt kilometrów. W dodatku przez górską pustynię. Muszę zdobyć jakieś pieniądze w Iskshimie, choćbym nawet wymienił wszystko, co mam, za samo podwiezienie do Fajzabadu. Inaczej zginę.

Robię remanent sił i środków. Jestem bardzo wyczerpany akcją górską. Powinienem kilka dni odpocząć, ale nie mogę sobie na to pozwolić, bo nie mam co jeść. Cały mój prowiant, na te łącznie 125 kilometrów marszu do Iskashimu, to dwie puszki szprotek. W dodatku nie mam nawet dokumentów[21], bo je zabrali razem z moimi pieniędzmi i resztą moich rzeczy. Nie mam bielizny na zmianę, nie mam lżejszego ubrania, lżejszych butów. Skoro już musieli uciekać, to mogli chociaż zostawić moje rzeczy i moje pieniądze...

Znacznie później udało mi się odtworzyć, to, co działo się w bazie przed moim powrotem. W tym dniu, gdy wyruszyłem na szczyt, do bazy zeszyły Jasie i podgrzały panikarską atmosferę. W dodatku popsuła się pogoda. Następnego dnia rano całe towarzystwo patrzyło przerażone na góry spowite chmurami i słuchało odgłosów niewidocznych z bazy lawin. Wczesnym popołudniem z mgieł wyłonili się Marylka i Bartek, którzy opowiedzieli, jak to wycofali się z przełęczy, w strasznym załamaniu pogody. Byli przy tym trochę podrapani, bo gdzieś tam niegroźnie spadli. Powiedzieli, że „Łoza nie wrócił ze szczytu”. Oni „musieli schodzić, bo też by zginęli”. Wedle moich ustaleń, zaczęli schodzić już w cztery godziny po moim wyjściu. Cholernie szybko. W tym czasie jeszcze szedłem do góry. Pogoda faktycznie się psuła, ale ja uznawałem, że jeszcze nie jest tak źle, by się wycofywać z grani szczytowej, a oni uznali, że jest aż tak źle, że trzeba uciekać z przełęczy. Ot, kwestia oceny.

Po zejściu Marylki i Bartka, w bazie zapanowała panika. Darek łąził i powtarzał, że „Łoza nie żyje i nie ma na co czekać”. Któryś z Jasiów zaoponował nieśmiało, że Łoza może jakimś cudem jednak przeżyć, ale został przez wszystkich zakrzyczany. Dla uspokojenia sumień, ktoś wpadł na pomysł, że zejda tylko do Urgund-e-Bala i tam na mnie zaczekają, a nie „na tym strasznym mrozie”. Z tego co wiem, minęli jednak Urgund-e-Bala bez zatrzymania. Oczywiście, o tym, że mnie potrzebna jest pomoc „na tym strasznym mrozie”, a nie w subtropikalnej dolinie Wahanu, jakoś nikt nie pomyślał.



W serakach kopuły szczytowej zrywa się wiatr, zapowiedź zmiany pogody. Patrzę na szczyt Koh-e-Tez (w głębi) na chwilę przed wyruszeniem w jego kierunku. Fot. z archiwum autora.

Rozważali też pozostawienie moich rzeczy, czyli jednak nie do końca wierzyli w moją śmierć, ale doszli do wniosku, że jak zostawią, to i tak znajdą to miejscowi i zabiorą. Ktoś wprawdzie wpadł na pomysł, że można te rzeczy gdzieś schować, a mnie zostawić kartkę, napisaną po polsku, z informacją gdzie, ale dziwnie szybko ten pomysł zarzucono. Zgodzono się natomiast bardzo chętnie z pomysłem Darka, by moje rzeczy, w tym paszport i pieniądze „przekazać rodzinie”.

Szwędałem się po pustej bazie jakąś godzinę. Szukałem po okolicznych piargach, czy nie znajdę jakiś rzeczy dla mnie schowanych, albo choćby porzuconych a przydatnych. Okolica była jednak jak wyczyszczona.

Nieco się przebrałem, bo spodnie i kurtka puchowa, a także wiatrochrony, nie były w dolinie potrzebne. Żałowałem, że nie mam innych butów, bo w wielkich i sztywnych butach wysokościowych bardzo źle się chodzi po równym, a także po piargach. Przekonałem się o tym bardzo szybko. Już na drugi dzień miałem nogi poobcierane do krwi. Te buty są bardzo dobre do chodzenia w rakach i do ochrony przed mrozem, ale ich podeszwa niemal

wcale się nie zgina. No i każdy but waży prawie kilogram. Na zwykłej szutrowej drodze w dolinie Wahanu idzie się w czymś takim, jak w dybach na nogach. W dodatku w dolinie Wahanu jest ciepło, bo ta dolina leży bardzo nisko (ok. 2500 m.n.p.m.), i wielowarstwowe, bardzo ciepłe buty sprawdzają się w niej wyjątkowo źle. Że też, do cholery, nie zostawili mi choćby trampek.



Ostatnie spojrzenie na Koh-e-Tez pokryty świeżym śniegiem. Fot. Krzysztof Łoziński.

Tego dnia zaszedłem niezbyt daleko. Nie dotarłem nawet do Urgund-e-Bala. Położyłem się spać w samym śpiworze, bez namiotu, bo u wylotu doliny było już całkiem ciepło. Rano obudziło mnie dotknięcie w czoło. To pasący się samotnie biały koń dotknął mnie pyskiem. Wrażenie było dość niesamowite. Otworzyłem oczy i tuż nad głową zobaczyłem pochylony pysk konia. Dwa miesiące wcześniej, w czasie dojazdu, zrobiłem sobie wycieczkę w bok, podczas gdy kierowca naprawiał samochód. Wszedłem na jedną z bezimiennych gór tutejszego rejonu, o wysokości około 4000 metrów. Pod samym szczytem pasł się biały koń. To było niezwykle spotkanie. Byłem bez aklimatyzacji i na tej wysokości mocno to odczuwałem, a tu w najlepsze koń się pasie!

Teraz znowu spotkanie z koniem, przecież nie tym samym. Zrobiło mi się trochę różniej, tak jakby opiekował się mną jakiś duch pod postacią białego konia. Może jednak nie zginę.

Spakowałem graty i ruszyłem w dół. W Urgund-e-Bala spotkałem żołnierza, tego samego, który na poprzedniej wyprawie uczył mnie podstaw języka farsy. Poznał mnie i nawet się ucieszył.

Od żołnierza dowiedziałem się, że moje towarzystwo, dwa dni temu, opuściło wieś wynajętym samochodem. Niestety, nic mi się w Urgund-e-Bala nie udało pohandlować. Tak, jak się tego domyślałem, tutejsza ludność była zbyt biedna. Czekał mnie dalszy marsz piechotą.

Zorientowałem się też, że sytuacja w Afganistanie bardzo się zmieniła. Nawet w tak małej wsi wyczuwało się napięcie. Wojna wisiała w powietrzu. Posterunki nadgraniczne zostały wzmocnione. Zamiast jednego żołnierza, było trzech. Samochody, jadące w głąb kraju, wiozły poborowych z górskich wiosek. Ogłoszono mobilizację. Po drugiej stronie granicy nie starano się nawet maskować niezwyklego nagromadzenia ciężkiego sprzętu. Mój Askar[22] interpretował sytuację po swoim.

- Patrz - mówi Askar - Rosjanie trzymają tam całe bataliony, a tu jest nas tylko trzech, to czyja armia lepsza?

Mnie się niestety kojarzy to inaczej. Z granicą polską, w 1939 roku.

Dziś, znając wynik wojny afgańsko-radzieckiej, muszę przyznać, że Askar miał rację. Armia Afganistanu okazała się lepsza, ale kraj zapłacił za to milionem zabitych i trzema milionami uchodźców. W dodatku wojny zaczętej wówczas do dziś nie można zakończyć.

Patrzę na drugi brzeg Piandżu. Piandź jest rzeką graniczną. Po stronie ZSRR aż roi się od wojska. Nawet się nie kryją. Woda w Piandżu ma tak silny prąd, że przeprawa na drugi brzeg jest zupełnie niemożliwa. Ta woda szybciej by człowieka rozerwała na kawałki, niż by się zdążył utopić. Mimo to radziecki brzeg jest umocniony jak linia Maginota. Zasięki z drutów kolczastych, bunkry ukryte w skałach, co dwieście metrów wieża strażnicza. W Termezie widziałem taką wieżę z bliska. Żołnierz siedzi tam na czymś w rodzaju podstawy działka. Kręcąc korbkami obraca się razem a WKM-em[23], potężną lornetą i potężnym reflektorem. Gdy na kogoś patrzy przez lornetę lub oświetla kogoś reflektorem, ma go jednocześnie na celowniku. Ot, tylko pociągnąć.

Za tą *sistemą*[24] setki kilometrów bezludnego Pamiru, z lodowcami i przełęczami na sześciu tysiącach. Nawet, gdyby ktoś się przez te umocnienia przedostał, to w Pamirze zginie z zimna i głodu.

Wyrusząm w dalszą drogę. W twardych butach idzie się wyjątkowo źle. Bolą obtarte stopy. W dodatku nie mam czystych skarpetek. Od kilku dni mam na nogach te same, które już chyba można by postawić na sztorc. Ale nic na to nie mogę poradzić. Nie mogę ich uprać, bo musiałbym iść w mokrych albo czekać aż wyschną. Na zwłokę w marszu nie mogę sobie pozwolić, bo sił mam już bardzo mało i nie mam jedzenia. Błędne koło. Trzeba iść tak, jak jest, choć trochę boję się zakażenia w pokaleczonych stopach. Zjadam jedno z moich szprotek w oleju, na pusty od wielu godzin żołądek. Mam teraz do kompletu sensacje żołądkowe.

Plecak wydaje mi się bardzo ciężki. W następnej wsi, Urgund-e-Pajan, robię remanent. Śpiwór, ubranie puchowe, czekan, raki, namioty, ładunki butanowe i palniki, to mój majątek do ewentualnego sprzedania. Tego nie mogę wyrzucić, bo to może uratować mi życie. Co jeszcze? Latarka z wypaloną baterią. Próbowałem ją sprzedać w Urgund-e-Bala. Miejscowi nie rozumieli, że nie świeci, bo skończyła się bateria. Pokazywali, że nie świeci i mówili: „*harap*”[25]. Oni chyba w ogóle nie wiedzą, że trzeba zmieniać baterie. Zresztą, skąd wezmą baterie? Pewnie gdyby wiedzieli, że baterie się wyczerpują, to nie kupiliby żadnej latarki.



Widok z dolnej części doliny Urgund-e-Bala. Od lewej Sayoz Zom, Koh-e-Shah, Koh-e-Urgund i Sangi Pindża. Na pierwszym planie morena czołowa lodowca. Fot. Krzysztof Łoziński.

Wyrzucam baterię i zostawiam pustą latarkę. Ona prawie nic nie waży. Co jeszcze? Mam trzynaście stalowych śrub lodowych. Pewnie ich nie sprzedam, bo w Afganistanie nikt nie wie, co to jest. Ale dla mnie śruby lodowe to niemal skarb. Tyle zabiegów musiałem odbyć, by je kupić. Młodzi czytelnicy mogą tego nie rozumieć, ale dla mojego pokolenia sprzęt alpinistyczny był niezwykle trudny do zdobycia. W kraju prawie nic nie można było kupić. Te nieszczęsne śruby Aligator (Jan Łacki) zrobił na fuchę w jakiejś fabryce i sprzedawał w klubie. Kupujący omal się o te śruby nie pobili, bo dla wszystkich nie starczyło. I teraz miałbym je wyrzucić? A na czym będę się wspinał w Tatrach? Nie, nie, ratowanie życia to za mały powód, by wyrzucać sprzęt. Śruby zostają.

W sumie plecak waży tyle, co ważył. Idę dalej. Jestem strasznie słaby. Ja nie idę, ja ledwo leżę. Wyzaczyłem sobie cel na dzisiaj: Kazi Deh - 50 kilometrów. Strasznie chce mi się pić, ale woda jest tylko z potoków. Nie powinno się jej pić bez przegotowania. Mam wprawdzie butan i palnik, ale nie mam żadnego naczynia. Menażki i kubki zostawiłem w obozach. Skąd miałem wiedzieć, że nie zastanę bazy? W końcu piję wodę z potoku. Chrzanić amebę, muszę przeżyć. Ale piję tę wodę z takim uczuciem, jakbym pił cykutę. W końcu wiem, czym to grozi. Pamiętam, jak odchorowałem nie myte morele.

Parę kilometrów dalej przed ponownym pićm nie odkażonej wody ratują mnie koczownicy. Jeden z nich zauważył, że chcę pić ze strumienia i głośno protestuje:

- *Nez, nez, harob at!*[26]

Cała grupa się zatrzymuje. Zapraszają, bym z nimi usiadł i oto niespodziewanie uczestniczę w jednym z najstarszych azjatyckich rytuałów. Już po kilku minutach płonie ognisko, a na nim grzeje się woda na herbatę. Krąży czarka z kumysem[27], a za chwilę jest już prawdziwy *czaj sabs*[28]. Piję zachłannie. Ci bardzo biedni ludzie nie pomogą mi w marszu, nie nakarmią za darmo, ale zwyczaj częstowania kumysem i herbatą napotkanych wędrowców jest stary jak Azja. Niejednemu już pomógł przeżyć pustynię. Patrzę na tych azjatyckich nomadów i myślę o moich wyprawowych kolegach. I kto tu jest dziki?

Siedzę w kręgu brodatych mężczyzn w zawojach na głowach i rozmawiamy. Należymy do zupełnie różnych światów, ale tu jest pustynia i ogromne odległości jedwabnego szlaku. Nic innego nie ma znaczenia. Ci ludzie idą z jucznymi wielbłędami do Turkiestanu, w okolice Kaszgaru. Idą z

ładunkiem handlowym, jak ich przodkowie przed trzydziestoma wiekami. Granice ich nie interesują. Dla nomadów nie ma granic. Pytam, jak przedostaną się na teren dystryktu Kaszgar, przecież to w Chinach. Śmieją się. W Chinach, nie w Chinach, oni mają swoje starożytne szlaki, a jak ktoś tego nie rozumie, to mają jeszcze karabiny.



Marsz doliną Wahanu. Na zdjęciu uczestnicy poprzedniej wyprawy. Fot. Krzysztof Łoziński.

Afgańscy nomadzi zawsze mnie intrygowali, jako społeczność wyjątkowo tajemnicza. Jadąc samochodem przez pustynię niejednokrotnie mijaliśmy ich wielkie, czarne namioty. Nigdy przy drodze, zawsze z boku. Strzegła tych obozów niezawodna warta: wielkie półdzikie psy. Za którymś razem sfera około dwudziestu psów opadła samochód, tak że nie mogliśmy jechać dalej. I wtedy zobaczyłem pokaz niemal cyrkowej wołyżerki. Na odsiecz przyjechał facet, stojący bosymi nogami na grzbiecie konia bez siodła. Koń szedł galopem, a on stał na nim wyprostowany, wydawał mu głosem komendy, wykonywał zwroty, i wielkim batem odganiał psy.

Afgański koczownik całe życie spędza w siodle. Kilkuletni chłopiec ma już swojego konia i karabin. Grupa nomadów - to klan rodzinny złożony z około 30-50 mężczyzn, kobiet i dzieci. Ci ludzie żyją, jak przed trzema

tysiącami lat. W ich namiotach nie znajdzie się nawet gwoźdź, choć mogą wozić na wielbłądach kolorowe telewizory. Jedyne zdobycze cywilizacji, które uznają, to broń, radiotelefony, lornetki itp. Społeczność jest świetnie zorganizowana. W razie draki, grupy koczowników spieszą sobie na pomoc i zawsze wiadomo, kto kim dowodzi.

Opowiadano mi o takim incydencie, gdy armia pakistańska próbowała zrobić nomadom odprawę celną. Batalion Pakistańczyków zatrzymał karawanę i wywiązała się strzelanina. W tym momencie mali chłopcy na koniach popruli we wszystkie strony. Żołnierzy było więcej, ale koczownicy byli lepiej uzbrojeni. Początkowo nikt nie miał przewagi. Wojna pozycyjna. Ale już na drugi dzień okazało się, że Pakistańczycy nie mają łączności i odwrotu, bo wszystkie mostki i przełęcze obsadzone są przez snajperów. Trzeciego dnia, ze wszystkich stron ściągnęło kilka tysięcy konnych wojowników, którzy - zostawiwszy fraucymer i wielbłądy - zapakowali amunicję i ruszyli na odsiecz. Wojsku pozostała tylko sromotna rejterada. Gdy później w Afganistanie rozpoczęła się wojna, wiedziałem, że partyzantki nie trzeba tam organizować. Była gotowa.

W nocy docieram do Kazi Deh. Trudno to nawet nazwać wsią. Ot, kilka ajłaków z gliny, ale każdy polski alpinista zna tę nazwę. To stąd wyruszały wyprawy na Noszak. Pytam miejscowych o Polaków (nauka języka farsi jednak bardzo mi się przydała). *Bolandi nafari*[29] byli, ale pojechali dalej. Kładę się spać pod gołym niebem. Jest ciepło.

Rano mam poważny problem z założeniem butów. Nogi są nie tylko poobcierane do krwi, ale i opuchnięte. Z trudem, przełamując ból, wciskam je w wewnętrzne botki. Zastanawiam się przez chwilę, czy nie iść tylko w nich, ale na kamienistej drodze i z tak poranionymi nogami, po prostu się nie da. Muszę niestety znowu wbić się w twarde, zewnętrzne skorupy, przez które się obcieram. Błędne koło.

Zjadam moją ostatnią puszkę szprotek. Dziś muszę dojść do Iskashimu, bo na jutro śniadania już nie mam. To jednak nie takie proste przy moim wyczerpaniu, ciężkim plecaku i poranionych nogach. 50 kilometrów w poziomie i podejście na Przełęcz Iskashimską (Iskashim An - 3200 m.n.p.m.). Tysiąc metrów różnicy wysokości.

Koczownicy nadali mi imię: Mariz, co znaczy Chory. Faktycznie, na zdrowego raczej nie wyglądam. Przy okazji obserwuję, jak rozchodzą się wiadomości w kraju bez telefonu, radia i gazet. Mijające się na pustyni

samochody zatrzymują się na chwilę i następuje wymiana nowinek. Koczownicze grupy zasiadają przy każdym spotkaniu przy ognisku z kumysem i też odbywa się giełda wiadomości. W rezultacie podróży, których spotykam, i mieszkańcy wiosek wiedzą już, że doliną Wahanu idzie ostatkiem sił pewien Mariz z Bolandy, którego koledzy, też z Bolandy, porzucili w górach i uciekli. Mija mnie chłopiec na osiołku i pozdrawia: „Salem[30] Mariz”, ciężarówka zwalnia koło mnie i kierowca pozdrawia: „Salem Mariz”. No i co z tego? Salem, salem, ale podwożenia za darmo nie ma, choćbym nawet umierał.



Afgański koczownik z koniem. Fot. Krzysztof Łoziński.

Azjatycka nęcza ma swoje okrutne prawa. Karawany na swojej drodze wielokrotnie przekraczają rwące potoki. Ludzie starzy lub chorzy, za którymś razem, nie mają siły pokonać prądu rzeki. Czasem toną, a czasem zostają samotnie na brzegu i czekają na śmierć w otoczeniu cierpliwych sępów. A karawana idzie dalej. Tak jest od wieków i nikt nie widzi powodu, by ten zwyczaj zmieniać dla jakiegoś tam Mariz.

Idę coraz wolniej. Wręcz widzę, jak wyczerpują się moje siły. Coraz częstsze postoje, coraz krótsze odcinki między nimi. Zbliża się wieczór, a ja jeszcze nie zacząłem podejścia pod Przełęcz Iskashimską. Przy samotnym ajłaku siedzi stary człowiek i pali wodną fajkę.

- Mariz - mówi do mnie - nie idź nocą. *Szurawi nez hub[31]*.

„Co on chrzani” - myślę. Rosjanie są za rzeką, po swojej stronie granicy. Wprawdzie to nagromadzenie wojska, którego trudno nie zauważyć, nie wygląda zbyt sympatycznie, ale to w końcu inny kraj. Wkrótce jednak przekonuję się, że stary miał rację.

Po zmroku śledzą mnie reflektory z wież strażniczych po radzieckiej stronie granicy. W miarę, jak idę, jedna smuga światła przekazuje mnie drugiej. I w pewnym momencie słyszę przeciągły gwizd, a nad głową przelatuje mi seria smugowych pocisków. Padam na ziemię. Zrywam się i przeskakuję za wielki głaz, zasłaniający mnie od wieży, z której padły strzały. Rosjanie są zaledwie jakieś dwieście metrów ode mnie, choć dzieli nas rzeka. Dobiegają mnie śmiechy i jakieś pijackie wycia. To żołnierze armii, co łagodniejsza jest od dziecka, popili sobie i strzelają do wędrowca po drugiej stronie granicy. Ot tak, dla hecy. Sadowię się za głazem. Wolę nie sprawdzać, czy zabawa będzie kontynuowana. Zostaję tu do rana.

W dzień mijają lęki. Świeci słońce i świat wygląda jakoś optymistycznie, choć wiem, że ten dzień będzie dla mnie krytyczny. Nie mam już nic do jedzenia. To jest trzynasty dzień, odkąd wyszedłem z bazy w stronę Koh-e-Tez. Trzynasty dzień morderczej wyrypy. Czwarty dzień prawie bez jedzenia. No, bo co ja jadłem? Dwie puszki szprotek i czarkę kumysu. Po spojrzeniach mijających mnie ludzi widzę, że muszę wyglądać koszmarnie. Przede mną przełęcz. Tysiąc metrów różnicy wysokości. Nie wiem, jakim cudem tam wejść. Co ciekawe, gdy później, w Polsce, rozmawiałem z kolegami, nikt nie uświadamiał sobie, że ta różnica wysokości jest tak wielka. Oni tego nie odczuli, bo ten odcinek normalnie przejeżdża się samochodem.

Ledwo leżę. Kręci mi się w głowie, serce wali, z trudem przestawiam nogi. Może zostawić plecak? Nie. Jego zawartość - to towar handlowy i moja polisa na życie. Do Fajzabadu, kolejne 150 kilometrów, nie dojdę. Muszę w Iskashimie sprzedać namioty, śpiwór i resztę. I dalej jechać, a nie iść. A może... w Iskashimie jest most, a za nim „bratni kraj socjalistyczny”. Nie, to głupi pomysł. Ten „bratni kraj socjalistyczny” dopiero co chciał mnie dla zabawy zastrzelić i szybciej wysłać mnie na Kołymę, niż nakarmi. Idę dalej. Powoli, ale jednak do przodu. Muszę dojść i już. Nie ma dyskusji.



Dolina Wahanu to ogromne przestrzenie. Widoczna na zdjęciu droga to zachowany do dziś starożytny fragment jedwabnego szlaku. Fot. Krzysztof Łoziński

Wolno zdobywam wysokość. Po południu zaczyna się zabawa w fałszywe przełęcze. Już wydaje mi się, że przełęcz jest tuż przede mną, ale za tą pozorną przełęczą teren dalej się wznosi, tylko łagodniej. I tak kilka razy. W końcu wychodzę na przełęcz, ale do Iskashimu jest jeszcze kilka kilometrów, tylko już po równym. Idę ostatkiem sił.

Dochodzę do jednego z pierwszych budynków, a zarazem jedyne w tym miasteczku hotelu. Na taras prowadzą schodki, a ja obawiam się, że nie mam już siły na nie wejść. Nagle na tarasie pojawiają się dwie postacie:

Dareczek i Marylka. Patrzą na nich zdziwiony. Myślałem, że dawno ich tu już nie ma. Oni też patrzą na mnie jak na ducha.

- To ty żyjesz? - mówi zdziwiona Marylka.

- Ja żyję, ale wy nie będziecie - odpowiadam.

Robi mi się ciemno w oczach i jakoś miękko. Zemdlałem.

Ocknąłem się na hotelowym tarasie. Pochylał się nade mną doktor Nadżibula Semadeni, afgański lekarz wykształcony w Europie, którego poznałem jeszcze na poprzedniej wyprawie. Miałem szczęście. W Afganistanie dominowały szpitale koraniczne, gdzie na rany postrzałowe przykładało się cytaty z Koranu. Doktor Semadeni był jedynym prawdziwym lekarzem w dystrykcie Wahan, którego stolicą był Iskashim. Zbadał mnie i powiedział, że poza ogólnym wyczerpaniem, odwodnieniem i powierzchownymi obtarciami nic mi nie jest. Przy okazji zostałem zważony na jego lekarskiej wadze i wynik wprawił mnie w osłupienie: 43 kilogramy! Spojrzałem w lustro. Wyglądałem, jakbym wyszedł z Oświęcimia.

Nigdy nie ważyłem bardzo dużo. Jestem niski i, aż do pięćdziesiątego roku życia, byłem szczupły. Moją normalną wagą w młodości było 56 do 60 kilogramów. W czasie wyprawy straciłem co najmniej 13 kilogramów wagi. Większość tego zapewne w czasie tych ostatnich, morderczych 13 dni. Jeszcze miesiąc wcześniej byłem człowiekiem bardzo silnym fizycznie. Uprawiałem nie tylko alpinizm. Trenowałem sporty walki: kung fu i judo, biegałem z kolegami na maraton. Teraz ledwo mogłem ustać na nogach. Nie wiem, co by było, gdyby Iskashim leżał kilka kilometrów dalej.

Przez pierwszy dzień przede wszystkim zachłannie piję. Dziwne, ale specjalnie nie chce mi się jeść. Okazuje się, że moje pieniądze zostały już radośnie wydane i będziemy musieli pojechać do Kabulu, aby wziąć pożyczkę z ambasady, bo inaczej nie starczy kasy na powrót do kraju. Wydawanie moich pieniędzy przebiegło towarzystwu lekko i radośnie, a z oddawaniem są problemy. Liczą i liczą, doliczyć się nie mogą, a ja po prostu nie pamiętam, co miałem w portfelu. Przecież przed wyjściem w góry nie robiłem remanentu. Jedno tylko wiem na pewno. Na pewno miałem tych pieniędzy więcej niż mi oddali, ale o ile, nie wiem.



Mija mnie chłopiec na osiołku. "Salem Mariz". Dziś patrzę na to zdjęcie i myślę, że wówczas, prawie umierając nie przestałem fotografować. Fot. Krzysztof Łoziński.

Moi koledzy nie zdołali przez kilka dni wyjechać z Iskashimu, bo ogłoszono mobilizację i wszystkie samochody wożą wojsko. W całej Azji polityka przewraca się do góry nogami. Rok temu zmarł Mao Zedong, teraz w Chinach sądzą „bandę czworga”. Na granicy Afganistanu stoją ogromne masy sowieckiego wojska i trudno tego nie zauważyć. „Trzeba stąd spieprzać czym prędzej” - myślę patrząc na betonowy most łączący afgański i sowiecki Iskashim. Doktor Semadeni mówi, że Rosjanie zbudowali ten most nie wiadomo po co. Dotąd nie przejechał nim żaden pojazd, bo w Iskashimie nie ma przejścia granicznego. Rok później okazało się, że Rosjanie wiedzieli, po co budują most. Przeszły nim czołgi.

Jedziemy ciężarówką do Fajzabadu. Na pace chyba ze sto osób. Potworny tłok, a ja jestem tak słaby, że ledwo stoję. Skrajnie przeciążony samochód jedzie niezwykle wolno. Przez cały dzień docieramy zaledwie do Zebaku. To nie więcej niż siedemdziesiąt kilometrów. Nocleg w koszarach armii afgańskiej. Potworny brud i zaduch. Dostajemy do dyspozycji niewielkie pomieszczenie bez okna. Wszystkie nasze latarki są już sprzedane, więc żołnierze dają nam lampkę z karabinowej łuski. Po pół godzinie kończy się w

niej nafta. Przez te pół godziny znajdujemy w naszym pokoju i zabijamy dziewięć tarantul. Czy wszystkie, nie wiadomo, bo później jest już ciemno. Nie pozostaje nic innego niż spać.

Dopiero z Fajzabadu wynajmujemy lepszy samochód, małego busika Toyotę. Do Kabulu jedziemy już sami.

Okazuje się, że mam kolejny problem: z ubraniem. Moje jedyne spodnie zostały w czasie wyprawy tak sponiewierane, że po prostu się rozłażą. Nic nie pomaga pracowite codzienne cerowanie. Dziura na dziurze. Przypominam sobie wracających alpinistów, których spotykałem jadąc w góry. Byli tacy wychudzeni, podrapani... Teraz sam wyglądam jeszcze gorzej.

W Kabulu pożyczam od ambasady 75 dolarów. Nasze dotychczasowe pieniądze właśnie się skończyły. Te 75 dolarów, na taką gromadę ludzi, to i tak grosze, a musimy przecież wrócić do kraju. Ratujemy się sprzedawaniem sprzętu. Pozbywam się aparatów fotograficznych, ale i tak z kasą jest niezwykle cienko.

Z Kabulu wyjeżdżam z wyprawą krakowską, wracającą z rejonu Koh-e-Baba. Moi wyprawowi koledzy zostają trochę dłużej, a ja wcale nie tęsknię do ich towarzystwa. Od naszego spotkania w Iskashimie atmosfera jest, najdelikatniej mówiąc, napięta. W towarzystwie Krakowiaków czuję się dużo lepiej.

Jedziemy wynajętym samochodem potwornymi serpentynami do przełęczy Salang. Pierwszy dzień do Puli-k-Humri, następny do granicy. Zbliżamy się do Heiratanu w nocy. Ten ostatni odcinek afgańskiej ziemi - to płaska jak deska pustynia. Prosta, monotonna szosa. Wszyscy trochę przysypiamy (łącznie z kierowcą) od tej monotonii, i nagle reflektor, drugi, trzeci... Potężne smugi światła z wież strażniczych po drugiej stronie Amu Darii trzymają nas, jak w kleszczach (i na celowniku oczywiście). Od razu widać, że dojeżdżamy do kraju, gdzie „*tak wolno dyszyt czelowiek*”[32].

Zatrzymujemy się przed szlabanem w Heiratanie. I wtedy, w świetle radzieckich reflektorów przez szosę przebiega skoczek pustynny.

- Nawet mysz się nie prześlizgnie - mówimy wszyscy na raz, jak na komendę i niemal jednocześnie wybuchamy śmiechem.

Na baraku przejścia granicznego w Heiratanie, jeszcze po afgańskiej stronie, wisi radziecki plakat z napisem po rosyjsku: „Związek Radziecki - kraj wielkich możliwości”.

- No jasne - zaczyna podśmiewać się z tego napisu jeden z Krakowiaków - może zbudować pierwszy most przez Amu Darię, pierwszą drogę do Uzbekistanu... Jaki kraj na świecie ma jeszcze takie możliwości?

- I może cię zastrzelić, jak mu przyjdzie ochota - dodaję od siebie.

Znów jestem w Moskwie. Wychudzony, z twarzą spaloną od słońca, w podartym ubraniu wyglądam jak kloszard. Mam cały dzień czasu do odjazdu pociągu do Warszawy. Łażę po Moskwie bez celu i nagle robi się wokół mnie gęsto od milicji.

- A wy towarzyszc iz kakich łagieriej ubieżali?[33]

Milicjanci są napastliwi, agresywni. Łagodnieją dopiero na widok polskiego paszportu. Resztę dnia przesiedziałem w poczekalni na Dworcu Białoruskim. Wolałem nie ryzykować, że ktoś najpierw wyśle mnie nad Peczorę, a dopiero potem wylegitymuje.



Bezimienne góry, ok. 4000 metrów, w okolicy Baraku. Nikt tu po tym nie chodzi. Fot. Krzysztof Łoziński.

Sprawa postępowania moich wyprawowych kolegów skończyła się na niczym. Dlaczego tak się wobec mnie zachowali? Myślę, że rola ich przerosła.

Góry wysokie, zwłaszcza późną jesienią, gdy zaczynają się już potężne mrozy, wymagają pewnej odporności psychicznej i fizycznej. Dlatego na wyprawy powinni jeździć ludzie, dla których nocowanie pod namiotem na mrozie lub huraganowy wiatr, nie są niczym dziwnym ani nowym. W przeciwnym wypadku strach może im odebrać rozsądek, a strach jest bardzo złym doradcą. Człowiek w panice zaczyna demonizować zagrożenia. Zaczyna też tworzyć samousprawiedliwienia typu: „przecież nic nie mogłem zrobić, by kolegę ratować”. Tymczasem nieprawda, mógł, tylko się bał.

Marylka i Bartek na przełęczu przestraszyli się załamania pogody, które rzeczywiście było groźne, ale przecież w trójkę, dysponując namiotem, żywnością i paliwem, przetrzymalibyśmy je zupełnie spokojnie. Później już cała grupa tworzyła samousprawiedliwienia. Wmawiali sami sobie, że ja na pewno nie żyję, i bardzo chcieli w to uwierzyć, choć do tej pewności nie było żadnych podstaw. Poza strachem oczywiście. Po prostu, nieodpowiedni ludzie znaleźli się w nieodpowiednim miejscu.



Kabul. Stan z 1976 roku. W 2001 roku Kabul był już tylko kupą gruzów. Obecnie trochę się odbudował. Fot. Krzysztof Łoziński.

Napisałem i wysłałem notatkę o moich wejściach do „Taternika”. Nie ukazała się. W siedzibie Pezety uświadomiono mnie, że „redakcja »Taternika« nie zamieszcza informacji o przejściach solowych jako nie zalecanych przez zarząd PZA”.

Do Afganistanu wróciłem jeszcze parę razy, już nie w góry. Ale to zupełnie inna historia.

Przypisy

[1] To się może dziś wydawać niezrozumiałe. Teraz to ja mogę pojechać zupełnie sam w każde góry świata i dam sobie radę, ale wówczas nie miałem jeszcze żadnego doświadczenia z wyjazdami zagranicznymi. Wtedy jeszcze zupełnie nie wiedziałem, jak się w tych Alpach poruszać. Nigdy wcześniej nie byłem w górach większych niż Tatry.

[2] Na siewodnia - na dzisiaj (ros.).

[3] Na siewodnia niet - na dzisiaj nie ma (ros.).

[4] innostraniec - cudzoziemiec (ros.).

[5] A nam towarzysz Leontiew powiedział, że dla nas będzie! (ros.).

[6] A ja go mam w dupie (ros.).

[7] To znaczy owadów i innych stworów mających więcej nóg i oczu, niż wypada.

[8] - A to co?

- To z Afganistanu! Przez Amu Darię pływają! (ros.).

[9] Bardzo zły wąż! (ang).

[10] Tarantula - gatunek ptasznika. Bardzo duży i jadowity pajak występujący we wszystkich krajach tropikalnych. Jego ukąszenie może być dla człowieka śmiertelne.

[11] Chodzi o gigantyczne trzęsienie ziemi z epicentrum w Chinach z 1976 roku. W samych Chinach zginęło w nim co najmniej 450 tysięcy ludzi, ale władze Chin przez wiele lat utrzymywały ten fakt w tajemnicy i odmówiły przyjęcia pomocy zagranicznej. Ofiarom państwo nie udzieliło też żadnej pomocy.

[12] Seraki - ogromne bryły lodu, których rozmiary dochodzą do kilkudziesięciu metrów, a masa wynosi nieraz tysiące ton. Seraki występują tam, gdzie lodowiec jest mocno spękany.

[13] - Kto to jest Żurek?

- Żurek jest Żurek. O co chodzi z tym Żurkiem? (ang).

[14] Noszak - a ściślej Noshaq. Najwyższy szczyt Hindukuszu Afgańskiego ok. 7492 m.

[15] Wśród biologów, których pytałem, czy tarantula i ptasznik, to jest to samo, zdania są podzielone. Przeważa zdanie, że wszystkie duże pająki zwane są ptasznikami a tarantula to konkretny gatunek. Nie mnie rozstrzygać. Ja wiem, że w Azji żyje wielki, jadowity pająk nazywany potocznie na przemian tarantulą lub ptasznikiem (*ghondal* w języku farsi)

[16] Akcję tę, w której dokonano dwóch wyczynów: ratowniczego - ściągnięcia rannych do bazy z takiej wysokości i medycznego - zoperowania ich po tygodniu od wypadku bez podstawowego sprzętu, opisał Adam Bilczewski w książce „Alpiniści”.

[17] Namiot ten zaprojektował Andrzej Zawada dla wyprawy na Kunjang Kish.

[18] Podkreślam to szczególnie dlatego, że wcześniejsze wejście na Koh-e-Awal, w identyczny jak mój sposób, zostało opisane w „Taterniku” jako pierwsze przejście „ściany”, trudności III, IV. Podkreślam więc wyraźnie: tam nie ma żadnej ściany, a trudności nie przekraczają I, II. Przede mną zszedł tamtędy na żywca Jurek Kukuczka, po przejściu rzeczywistej ściany między oboma żlebami.

[19] Dwa najwyższe szczyty Hindukuszu nie leżą w grani głównej.

[20] W tamtych czasach używało się galaretek owocowych jako napojów na duże wysokości.

[21] Brak dokumentów w azjatyckim kraju stojącym u progu wojny może być bardzo niebezpieczny.

[22] Askar - żołnierz (farsi).

[23] WKM - wielkokalibrowy karabin maszynowy, coś jeszcze większego od CKM-u. Kaliber 26 mm.

- [24] Sistema (ros.) - system umocnień granicy ZSRR.
- [25] Harap (farsi) - zepsuta.
- [26] Nie, nie, zła woda! (farsi).
- [27] Kumys - mleko z herbatą, tłuszczem i solą. Stawia na nogi.
- [28] Zielona herbata (farsi).
- [29] Bolandi nafari - ludzie z Polski, Polacy (farsi). Polska - to w niemal całej Azji Bolanda. Powstało to z przekształcenia angielskiego Poland. A że literę „P” w niemal wszystkich azjatyckich językach czyta się jako „B”, stąd Bolanda. Litera „a” na końcu wynika z właściwego dla farsi rodzajnika.
- [30] Salem, salemalejkum - pozdrowienie przyjęte w krajach islamskich.
- [31] Szurawi nez hub - Rosjanie niedobrzy (farsi).
- [32] Gra słów i zarazem fragment znanej piosenki Multima Magomajewa. Tekst przeczytany po rosyjsku znaczy, że człowiek swobodnie oddycha, a przeczytany po polsku, że wolno dyszy.
- [33] A wyście towarzyszu z jakich łagrów uciekli? (ros).

Koniec części pierwszej. Kontynuacja w części drugiej